

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Inne historie

PAWEŁ HUELLE

Inne historie

słowo/obraz terytoria

Ilustracja na okładce / Giuseppe Maria Crespi *Biblioteka*
Redakcja / Małgorzata Ogonowska
Korekta / Izabela Bilińska
Skład / Piotr Górski
Druk i oprawa / Drukarnia Wydawnictw Naukowych S.A.,
Łódź, ul. Żwirki 2

© Copyright by Paweł Huelle

© Copyright by słowo/obraz terytoria, Gdańsk 1999

Adres / wydawnictwo słowo/obraz terytoria
Gdańsk, ul. Grunwaldzka 74/3, tel. 341-44-13, tel./fax 345-47-07
e-mail: slowo-obraz@terytoria.com.pl
www.slowo-obraz.terytoria.com.pl

ISBN 83-87316-43-1

Imiona, miejsca

Aleksandria, rok 1886

Tak właśnie go sobie wyobrażam: w słomkowym kapeluszu i nieco luźnym surducie, gdy wychodzi z gmachu Giełdy w tłumie maklerów i dziennikarzy. Choć ma dopiero dwadzieścia trzy lata, jego greckie rysy znamionuje już cień powagi. Spojrzenie, jakim obejmuje uliczny zgiełk sierpniowego popołudnia, jest uważne i nie pozwala umknąć żadnemu detalowi: dwukonny tramwaj z łoskotem przecinający ulicę, zszarzałe od słońca i kurzu markizy, wystawa jubilerskiego sklepu – już na zawsze zapadną w pamięć o tym dniu.

Długie godziny, jakie upłynąć jeszcze muszą do schadzki, wypełni mu lektura wierszy Browninga, pisanie listu do brata i rozmyślenia nad Julianem Apostatą, cesarzem, któremu nie udało się przywrócić panteonu dawnych, pogańskich bóstw. Kwadrans po dwudziestej drugiej wyjdzie z mieszkania i nieśpiesznym krokiem uda się do kawiarni. Tu, z nieodłącznym papierosem, sącząc koniak i kawę, co chwila unosić będzie wzrok znad przeglądanych dzienników i wypatrywać sylwetki przyjaciela. Miną jednak długie kwadranse, skończą się papierosy, ostatni szyling starczy na jeszcze jeden kieliszek, a ukochana twarz nie pojawi się w łukowatym przejściu. Jest już dawno po północy, sala opustoszała, a zmęczenie i złe myśli

stanowią teraz całe jego towarzystwo. *Idoni* – to słowo określające pasję, namiętność, wreszcie obietnicę rozkoszy, powraca wśród gorzkich rozważań o ludzkiej niestałości i marnowanym życiu. Trzeba wstać, odsunąć plecione krzesło i wrócić do pustego pokoju, licząc już tylko na sen. I właśnie wtedy, gdy na dnie tego smutku nie pojawia się żadna, pocieszająca myśl, do kawiarni wkracza przyjaciel, uśmiechnięty, podekscytowany, od progu zwiastujący radosną nowinę: oto wygrał w szulerni sześćdziesiąt funtów!

Wszystko się zmienia jak za dotknięciem różdżki. Są razem – młodzi, piękni, żarliwie w siebie zapatrzeni, a perspektywa nocy z sześćdziesięcioma funtami w kieszeni wydaje się oszałamiająca. Nietrudno znaleźć przystań w tej lewantyńsko-arabskiej części miasta, gdzie domy złej sławy oraz powszechne zrozumienie dla tego rodzaju erotyzmu są częścią tradycji i kultury. W wynajętym pokoju, pijąc najdroższe trunki, kochankowie nareszcie są już tylko ze sobą: około czwartej rano, syci rozmów i wina, pograżają się w miłości. Ten, który wygrał tej nocy sześćdziesiąt funtów, na zawsze pozostanie bezimienny. Drugi z nich – ten, którego widzieliśmy przed gmachem Giełdy – to Konstandinos Kawafis, poeta. Wiele lat później – w wierszu zatytułowanym *Dwaj młodzieńcy w wieku 23-24 lat* opisze tamtą schadzke swoim dojrzałym, oryginalnym stylem, na który – obok faktograficznej dokładności – składa się autobiografizm, niemal protokolarna zwięzłość, ironia oraz zupełna powściągliwość w przedmiocie samego aktu miłosnego.

W znakomitej biografii pisarza, którą – oprócz przekładów wierszy – ofiarował polskiemu czytelnikowi Zygmunt Kubiak, ten aspekt biografii, erotycznego doświadczenia, a wreszcie samej sztuki poetyckiej Kawafisa nie wybija się na plan pierwszy. Zapewne nie mogło i nie powinno być inaczej, zważywszy

na rangę i bogactwo tej twórczości. Wiersze Kawafisa tworzą zdumiewający świat helleńskiego uniwersum, gdzie to, co wydarzyło się przed tysiącami lat w tej samej Aleksandrii czy nad tym samym Morzem Śródziemnym, trwa równolegle z naszym czasem: nie muzealnie, archeologicznie, lecz właśnie tak – jako żywy element teraźniejszości. Demetriusz czy Kleopatra za sprawą wiersza pojawiają się w pejzażu ulic Aleksandrii tak samo wyraziście jak postaci współczesne poecie, które włącza do swojej literackiej prowincji. Zdaniem Zygmunta Kubiaka, fenomen ten ma swoje źródło nie tylko w samym talencie Kawafisa, lecz także w ciągłości tradycji greckiej kultury i greckiego języka, w którym wiele słów da się wywieść z epoki klasycznej lub nawet od Homera. Jest w tym coś z dotknięcia wieczności, jeżeli w pełni zdamy sobie sprawę, czym jest owo długie trwanie słów, znaków i postaci.

W tym też zapewne tkwi klucz do erotyzmu wierszy Kawafisa. Jest wprawdzie chrześcijaninem – czemu daje wyraz w kilku utworach – ale jego zmysłowość, kult piękna i cielesności, wreszcie samo praktykowanie rozkoszy pochodzą z całkiem innych źródeł niż biblijne czy ewangeliczne. Bynajmniej nie dotyczy to wyłącznie aspektu homoseksualnego, lecz zmysłowości jako takiej, ofiarowanej człowiekowi jako najwspanialszy dar bogów. Daleko tu od świętego Pawła, a jeszcze dalej od izraelskich proroków, znacznie bliżej natomiast do wyznania Achillesa z XI księgi *Odysei*, że lepiej być pastuchem świń tu – pod jarzącym słońcem, niż bohaterem tam – w mrocznej krainie Hadesu.

Marguerite Yourcenar, pisząc o tych wierszach Kawafisa, w których do głosu dochodzi właśnie owa niczym niehamowana grecka *idoni*, nie waha się wytknąć poecie trywialności, sentymentalizmu czy wręcz „obcesowego realizmu”, które niebez-

piecznie zbliżają się do granicy złego smaku i sztuki ułatwionej. Jedyne, co w takich chwilach ratuje honor domu, to – zdaniem francuskiej pisarki – Kawafisowa zwiezłość, niechęć do ozdobników, nawet oschłość. Jeszcze ostrzejszy sąd ma o Kawafisie Guido Ceronetti. Już sam tytuł eseju włoskiego pisarza zdradza intencję: *Chorobliwość Kawafisa*. Jest nią – według Ceronettiego – narcyzm poety, mityczny kult piękna dostrzeganego za wszelką cenę, wreszcie – redukujący pełnię doświadczenia Erosa – jednostronny, bo wyłącznie męski charakter wtajemniczeń w sztuce, historię i cielesność. Poczucie tragizmu zostaje w tej poezji roztrwonione – powiada Ceronettii – podobnie jak w filmach Viscontiego, gdzie reżyser bezskutecznie usiłuje dotknąć tragizmu przez homoseksualną zasłonę.

A jednak Kawafis nie stał się patronem literatury gejojskiej, fabrykowanej na użytek mediów. Jest na to zbyt staromodny, elegancki i utalentowany, tak jak przystało każdemu wykształconemu Grekowi z diaspory w Aleksandrii. W jego poezji zmysłowość bywa zwodnicza, czasem nawet grzeszna, nigdy jednak nie staje się towarem wystawionym na sprzedaż w gigantycznym supermarkecie współczesności.

POR. EROTIKOS, ROK 96; HAIDGASSE, ROK 1927; PUBLIUSZ, HISPALA, BAKCHUS

Apollinaire

Gorączka przechodziła falami, co parę godzin. Rudowłosa Jacqueline zmieniała mu kompresy i podawała rozcieńczone wino, którego nie chciał już nawet pić. Jej palce wydawały mu się lodowato zimne, zwłaszcza gdy dotykały rozpalonego czoła. Czasami widział na policzku żony łzę, ale udawał, że tego nie dostrzega. Ostatni atak przyszedł późnym popołudniem,

kiedy szarówkę listopadowego zmierzchu rozświetlił blask gazowej lampy. Przypomniawszy sobie zapach frontowego lazaretu: ów słodkawy odór ropiejących ran, zmieszany z wonią karbolu i jodyny. Jakże bolała go wtedy głowa. Chirurg pokazał mu wyjęty z czaszki kawałek stali Kruppa. Biały kornet szpitalnej zakonnicy kazał myśleć o niedosiężnej bieli alpejskich lodowców. Zakonnica namawiała go do spowiedzi. W każdej chwili mogła przywołać księdza. Odpowiedział, że tacy jak on poeci są ulubieńcami Boga i nie potrzebują pośrednictwa. Przypomniawszy sobie wówczas rok gimnazjalny w Nicei, gdy razem z René Dalizem chodzili na poranne msze. Upajała ich łacina, śpiew, dym kadzidła i obietnica zawarta w białym opłatku hostii. Po latach opisał to przeżycie w *Strefie*, ale zakonnica nie mogła o tym wiedzieć, zapewne nie czytała jego poematów. René zginął na froncie, jak tyłu innych, i teraz, gdy twarz żony pochylała się nad jego twarzą, teraz, gdy przypomniał sobie lazaret, ból czaszki, zakonnice i chirurga, chciał powiedzieć coś o swoim przyjacielu, którego wspominali z Picassem i Vollardem jeszcze parę miesięcy temu, w dniu ślubu z Jacqueline. Powiedział tylko „prześliczna, rudowłosa” i ona zrozumiała wszystko, bo w przeciwieństwie do zakonnicy czytała jego wiersze. Ten najpiękniejszy, który po latach stać się miał hymnem kochanków na całym świecie, napisał dla Lou. Pierwsze linijki w okopie, gdzie zżerała go tęsknota, ostatnie w przyfrontowym hotelu, który niewiele różnił się od burdelu. – Dziewięć jest bram u twego ciała, siedem już znam, a dwie mi są zakryte – szeptał do Lou, ale kiedy Lou, okrutna Lou, porzuciła go jak zużyta zabawkę, poświęcił ten wiersz Madeleine, nowej miłości. To w liście do niej napisał, że jest trzech Polaków znanych dziś w literaturze, którzy nie piszą nic po polsku. Conrad w Anglii, Przybyszewski w Niemczech i on – Guillaume Albert Vladimir

Alexandre Apollinaire de Kostrowitzky – we Francji. Jacqueline czytała wiersze dla Madeleine, podobnie jak te dla Lou, choć nie wiedziała nic o dramatycznej zmianie adresatki *Dzień w dniu bram*. Nie wiedziała też, że najmocniej ze wszystkich swoich kobiet kochał Marię Laurencin i że rozstanie z nią było dla niego klęską znacznie gorszą od napaści w prasie, kiedy nazwano go grafomanem, podejrzanym cudzoziemcem, Żydem, destruktozem literatury francuskiej. Wiedziała natomiast, że nie potrafił pisać bez miłości i że miłość była dla niego religią, której oddawał ciało, duszę i talent. Gdy mówił teraz do niej „piękna, rudowłosa”, czuła, że te słowa – choć są wierszem – zarazem są modlitwą. Zwilżyła jego spierzchnięte wargi gąbką i odeszła zasunąć story. Ten dźwięk przypomniał mu pewną scenę z przeszłości: on i René idą wąską uliczką na Wyspie Świętego Ludwika i poszukują domu, gdzie w 1843 wynajął apartament Baudelaire. Wtedy, w czterdziestym trzecim, miał jeszcze pieniądze, a jego kochanka, Metyska Jeanne Duval, mogła uchodzić za najpiękniejszą z paryskich metres. Ale hotelu Lauzun dawno już tutaj nie ma, zmieniły się adresy i właściciele domów, a René jest zniechęcony bezowocnym poszukiwaniem. Przechodzą przez most, z którego widać katedralne wieże i nagle wchodzi do obskurnego, taniego hoteliku. René gdzieś zniknął, a do pokoju wchodzi Lou, ubrana w uniform siostry miłosierdzia. Za oknem smugi pocisków znaczą swoje świetliste transeje, a Lou mówi do niego, że miłość w obliczu powszechnej śmierci to symbol wyuzdania i upadku ich epoki. Tej, która zaczynała się tak optymistycznie od wieży Eiffla i aeroplanu. To także opisał i przewidział w *Strefie*. Samolot na tle stalowej wieży i perspektywy Pól Marsowych tworzy figurę krzyża. Ale o tym nie ma już komu powiedzieć. Lou odeszła, podobnie jak Annie Playden, jak Marie, jak Ma-

deleine i jak Baudelaire z piękną Metyską Jeanne Duval. Jest tylko szum lampy gazowej i grzywa rudych włosów Jacqueline Kolb. Umierał na grype, zachwycony ich płomienną, rdzawą barwą. Miał trzydzieści osiem lat. Dwa dni później skończyła się wojna światowa, Paryż lśnił od iluminacji, a na warszawskim dworcu wysiadł z pociągu Józef Piłsudski, o którym Guillaume Apollinaire nie napisał ani jednego wiersza.

POR. FRANKFURT, 21 WRZEŚNIA 1860

Arann Islands

William Butler Yeats nie zgadzał się z Joyce'em we wszystkim, ale tym, co dzieliło ich najbardziej, była koncepcja literatury. Według Yeatsa, irlandzka proza i poezja powinny nawiązywać do tradycji narodowej, czerpiąc zarówno z miejscowego folkloru i celtyckich legend, jak z ducha języka gaelickiego, którym posługiwali się jeszcze wieśniacy na północy. Joyce uznał to za anachronizm. Nie interesował go folklor, a próby wskrzeszenia celtyckiego narzecza w literaturze i życiu społecznym Irlandii określał mianem niedorzeczności. Wyszydział eksperymenty Abbey Theatre, przyszłemu laureatowi Nobla powiedział zaś: „Jest pan już za stary, panie Yeats, żebyś mógł pana przekonać”. Z punktu widzenia Yeatsa, James Joyce – ten nieuprzejmy, wiecznie podpity i pyszałkowaty młodzieniec – był dla literatury irlandzkiej stracony.

Ale Yeats nie tylko wobec niego przejawiał apostołskie skłonności. W roku 1896 napisał do innego Irlandczyka, przebywającego we Francji: „Porzuć Paryż, w którym nie stworzysz niczego, czytając Racine'a. Jedź na wyspy Arann i spróbuj tam żyć jako jeden z miejscowych. Właśnie wróciłem z Arann i moja

wyobrażnia jest pełna szarości tej wyspy, gdzie mężczyźni muszą żąć nożem z powodu kamieni”. Tym, do którego zwracał się Yeats, był John Millington Synge, wówczas dwudziesto-pięcioletni i nikomu nieznany dublińczyk, marzący o karierze literackiej w stolicy Europy, Paryżu.

Synge zaprzestał pisania swojej parnasistowsko-symbolicznej prozy, powrócił do Irlandii i odwiedził tak zachwalane przez Yeatsa wyspy. Niezwykła uroda tego miejsca zrobiła na nim ogromne wrażenie. Efektem odwiedzin była bodajże najlepsza sztuka Synge’a – *The Playboy of the Western World* – wystawiona w roku 1907. Jej akcja osadzona została w realiach irlandzkiej wioski, wyjętej żywcem z Wysp Arańskich. Bohaterowie mówili językiem odbiegającym zasadniczo od eleganckich fraz Oskara Wilde’a. Wymiar obyczajowy dramatu okazał się skandalem i wywołał poważne rozruchy na widowni dublińskiej Abbey Theatre.

Podróżny pragnący odwiedzić Arann Islands musi udać się do Galway, skąd na skaliste wyspy zabierze go mały samolot lub niewielki statek. Nie sposób wymówić ich celtyckich nazw bez kaleczenia tego starożytnego języka. Największa – utrwalona w literackiej legendzie – nazywa się Inis Mor. Mniejsze, choć równie piękne, to: Inis Oirr, Inis Meain, Olean na Tui, Oilean Da Bhranóg oraz Ant-Oliean Iarthach. Wszystkie, ze względu na przyrodnicze i widokowe walory, są atrakcją turystyczną. Na każdej z nich znajdują się celtycko-irlandzkie starożytności, pamiętające co najmniej czasy świętego Patryka, który – jak głosi legenda – srebrnymi dzwoneczkami zawieszonymi na pasterkiej lasce potrafił wskrzeszać zmarłych, nawet pogan.

Największe atrakcje ofiarowuje jednak Inis Mor: od strony Galway – płaska i niepozorna, od strony Atlantyku – ucięta idealnie pionowym, czterdziestometrowej wysokości klifem,

w który biją nieustannie potężne fale oceanu. Ma około pięciu mil długości, a w najszerszym miejscu osiąga niewiele ponad dwie mile. Można ją przemierzyć wynajętą bryczką (uwaga, dla woźnicy angielski nie jest językiem ojczystym!) albo wypożyczonym w porcie Cill Ronain żółtym bicyklem z przerzutkami. Te są niezbędne przy pokonywaniu alpejskich wzniesień i spadków wąskiej, krętej szosy.

Szarość, o której pisał Yeats, daje się zauważyć już od pierwszej chwili podróży po Inis Mor. Szare są murki okalające ubożuchne pastwiska, szare są ściany kamiennych, często opuszczonych chat, szara jest sierść pasących się tu dziko osłów, szare są w końcu skały, niebo i morze, bo nad zatoką Galway rzadko świeci słońce. Drugim kolorem wyspy jest soczysta, głęboka zieleń trawy, wyrastającej nawet w skalistych zagłębieniach klifu.

Samotne gospodarstwa, kamienne krzyże małych cmentarzy, ruiny monasterów z VIII wieku i wielkie mury obronne celtyckiej warowni z czasów mitycznego władania królów-bogów, przypominające budowle Majów – oto, co ujrzymy po drodze, jadąc między skałami Inis Mor. Wszędzie czuć tutaj oddech historii. Tej pradawnej, tej z eposów średniowiecza i tej z okresu narodowych powstań, kiedy cywilizowana Anglia poddała irlandzki naród eksterminacji. Na wyspie nie ma takiego miejsca, w którym nie byłoby słyszeć uderzeń fal o niebotyczne skały klifu. Jak wyznał mi jeden z Irlandczyków, „to głos przeznaczenia, w którym odnajdujemy echo zamordowanych królestw”. Nie wiem, czy był to cytat z Yeatsa.

Oczekując na powrotny statek do Galway w portowym pubie w Cill Ronain, przysłuchiwałem się rybakom i woźnicom, którzy mówili w języku gaelickim. Niepodległa Republika Irlandii uczyniła wiele, aby go wskrzesić i uczynić językiem narodowym. Ale napisy na publicznych gmachach, mapach i drogo-

wskazach, podobnie jak specjalne programy edukacyjne i lekcje szkolne, nie przyniosły takiego rezultatu jak niegdyś w Czechach czy na Litwie, gdzie umierający i odnowiony następnie język stał się elementem odbudowanej tradycji narodowej. W Dublinie, Galway, Ballinasloe czy Tipperery mówi się po angielsku. Po angielsku pisali Yeats, Synge i po angielsku pisze największy obecnie i prawdziwie genialny poeta irlandzki Seamus Heaney. Stary język Irlandii rozbrzmiewa dziś tylko w takich miejscach jak Inis Mor, w archipelagu Arann.

POR. DEDALUS, DUBLIN, TULLA; KRZESŁO CONOLLY'EGO; ÖLAND

Asfodelowe Łąki

Gdyby Platon został ministrem spraw wewnętrznych Ateńskiego Polis, być może nasza wiedza o Hadesie i pośmiertnych losach bohaterów *Iliady* byłaby dzisiaj znacznie uboższa. Platon podchodził do poezji poważnie i w sposób skrajny. Uważał, że jej zadaniem jest wychowywanie. Dawać dobre przykłady, zachęcać do czynów szlachetnych, uczyć szacunku do bogów i lojalności wobec państwa, a także zdejmować z ludzi lęk przed śmiercią – oto miały być jej główne zadania. Platon uważnie przestudiował Homera i ku swemu niezadowoleniu dostrzegł w jego eposach wiele rzeczy gorszących, które mogły mieć zgubny wpływ na młodzież. W III księdze swojego *Państwa* filozof proponuje zatem, aby z eposów Homerowych wykreślić pewne fragmenty. Te, w których bogowie przedstawieni są w niekorzystnym świetle, jak też i te, w których obraz Hadesu i pośmiertnej egzystencji dusz może budzić lęk, niepewność, a nawet przerażenie czytelnika. Gdyby tak się stało, *Odyseja* byłaby dzisiaj znacznie krótsza. Zwłaszcza pieśń jedenasta,

w której Odys – złożony odpowiednio ofiary – wkracza w mroczne królestwo Persefony. Wiedza Greków o sprawach ostatecznych, ukształtowana przez mity podziemia, nie była czymś jednoznacznie skodyfikowanym. Podobnie jak w judaizmie czy chrześcijaństwie, wielość wariantów i ujęć mogła powodować swoisty szum informacyjny, a w skrajnych wypadkach – zwątpienie. Homer, tak silny i przejmujący w kreowaniu obrazów, nie był tu wyjątkiem. Zdumiewa nas w pieśni jedenastej *Odysei* plastyczność mar, ich głęboki smutek i rozpacz, ale nie jesteśmy w stanie pojąć, na czym polega ich status. Innymi słowy – kim są w istocie umarli? Zjawami? Obrazem dusz? Samymi duszami? Dlaczego jedni umarli – jak Antikleja – wiedzą wszystko o tym, co dzieje się na ziemi, inni natomiast – jak Achilles – nie mają takiej wiedzy? Homer dotyka obrzeża tajemnicy, daje nam zarys sytuacji, ale z najważniejszymi pytaniami pozostawia nas samych. Jak można wierzyć w cielesne męki Tantala czy Syzyfa, skoro dusze przebywające pod ziemią dawno już „odpadły od ścięgien i kości”? I dlaczego owe dusze, aby mogły przemawiać, muszą pić krew ofiarną? Dźwięki tego chleptania są może zbyt dosłowne jak na istoty pozbawione ciała... Pozostają przejmujące obrazy i słowa. „Trzykroć biegłem do niej – opowiada o zjawie swojej matki Odys – gnany popędem serca, trzykroć umykało mi z rąk coś, co było podobne do cienia lub snu”. Albowiem ciało – objaśnia mu Antikleja – „strawiła nieprzeparta moc ognia o ciemnym blasku”. Jan Parandowski, w którego tłumaczeniu przytaczam te słowa, oddał ten oksymoron z prostotą i siłą. Tylko w Hadesie ogień trawiący ludzkie ciała mógł mieć ciemny blask.

Ten akurat, nadzwyczaj wzruszający fragment podziemnej wędrówki Odysa nie wzbudza Platońskich zastrzeżeń. Natomiast moment spotkania z Achillesem – a zwłaszcza rozmów

herosów – miał być z *Odysei* wykreślony po wieki wieków, jako gorszący. Co powiedział Odys do swojego towarzysza? „Za życia na równi z bogami czciliśmy ciebie, a tu dziś potężnie władasz umarłymi. Nawet w śmierci, Achillesie, nie masz powodu do smutku”. Marna to jednak musiała być pociecha. Achilles, czy też raczej jego dusza w cielesnym pojawie, wybucha gniewem i rozpaczą. „Nie zachwalaj mi śmierci, prześwietny Odysie – powiada – wolałbym na ziemi być, służyć u jakiegoś parobka, bez gruntu i bez utrzymania, niż tu panować nad nieboszczakami”. Platon uznał te słowa za niemoralne. Sprzeczne z helłeńskim duchem, kulturą i powołaniem. Wynika z nich bowiem, że od pośmiertnej sławy i rządu dusz w podziemiach lepsze jest jakiegokolwiek, nawet najędzniejsze życie pod słońcem. Któż zresztą – ku oburzeniu Platona – wypowiada te słowa? Nie żaden ciura obozowy czy niewolnik, ale największy z achajskich bohaterów.

Na szczęście Platon nie miał udziału we władzy i nie wykreślił z dzieł Homera ani tego fragmentu, ani innych. Dziś można dumać: kto miał rację – Poeta czy Filozof? Mądrość Poety wydaje się głębsza, bardziej ludzka. To, co powiada zrozpaczony duch Achillesa, to nie tylko wyraz greckiego umiłowania cielesności życia. To także prawda wypowiedziana z zupełnie innej perspektywy: kogoś, kto przeszedł już przez „ciemny blask ognia”. Po spotkaniu z Odysem duch Achillesa odchodzi na łąki pokryte kwiatami asfodelów. Według Greków, ta roślina z gatunku lilii, o żółtych lub fioletowych kwiatach, rosła także w Hadesie. Uosabiała moce śmierci i tajemniczy mrok Persefony. Wielkość poetów polega właśnie na tym – potrafia wyrazić to, czego nie pojmują nawet filozofowie.

Beckett

Przyjaźnił się z Joyce'em. Gdyby wówczas, w trakcie ich rozmów, włączony był magnetofon, dziś mielibyśmy jeden z najciekawszych zapisów dyskusji XX wieku. Prawdopodobnie mówił mniej od zawsze zaafierowanego czymś dublińczyka, może dlatego, że tamten był katolikiem, a on – protestantem. Gdyby snuć tę religijną metaforę dalej, okazałoby się także, że w sprawach alkoholowych katolik pozwala sobie na znacznie więcej niż powściągliwy protestant. Ale sprawy wyznaniowe – o ile były poruszane – nie różniły ich tak zasadniczo jak podejście do języka. Rzecz jasna, pojmowanego jako tworzywo sztuki. Słowne fajerwerki, rozbłyśki świadomości, strumienie pracowicie naniżywanych słów – to była nowa estetyka wychowanka kolegium jezuitów. Lubił bawić się słowem w taki sposób, by wydobyć z niego nowe, nieoczekiwane znaczenie. Beckett – przeciwnie. Uważał, że język, słowo, to bariera, która w jakiś sposób oddziela nas od prawdy egzystencji. Im większa zatem powściągliwość, im mniej zbędnych dźwięków – tym bliżej prawdy. Kiedy spojrzymy na ich ostatnie, późne dzieła, różnica ta porusza nas do głębi. Joyce tworzy słowny potok, niezrozumiały dla nikogo poza nim samym. Jest to język hermetyczny. Prywatny kod pisarza, do którego klucz artysta zabrał ze sobą do grobu. Beckett osiąga natomiast szczyty ascetyzmu. Jego właściwym tworzywem wydaje się cisza, na której tle – niczym światła morskich latarni – rozbłyskują ostrożnie i z namysłem wyważone słowa. Zupełnie tak, jakby w dialogu wielkich Irlandczyków szaleństwo barokowych ozdób konkurowało z kalwińską pustką ogołoconych ścian kościołów.

Obaj opuścili swoją ojczyznę, w której było im za ciasno – tak artystycznie, jak i duchowo. Joyce w pewnym sensie do końca

życia pozostał tułaczem. Beckett związał się z Francją, pisząc wiele swoich tekstów w języku Kartezjusza. Obaj wiedzieli, że literatura – ta jeszcze dziewiętnastowieczna – jest niemożliwa. Że nie wyraża już niczego, co istotne. Obaj poszukiwali rozwiązania tego dylematu, nie tylko w formie, ale także w treści swoich dzieł. Każda epoka miała swoich bohaterów – Odysa, Rolanda, Falstaffa, Makbeta czy Fausta... Kim miał być, kim był bohater XX wieku? Ów „każdy” epoki największych przewartościowań i największych zbrodni? Robert Musil powiedział, że jest to człowiek bez właściwości. Joyce wybrał rozwiązanie, które dziś nazwalibyśmy postmodernistycznym. Co znaczy, że współczesny bohater może być jedynie naśladowcą tamtych, dawnych bohaterów, wykoślawionym, trochę śmiesznym, trochę groteskowym. Jest nim Leopold Bloom, współczesny Odys dublińskiej epopei. Podobnie zresztą rozumował Tomasz Mann. Faust, niemożliwy w XX wieku, na kartach powieści może być jedynie doktorem Faustusem. Beckett nie powtórzył tego gestu. Poszukiwał czegoś więcej, przeczuwając, że tego typu rozwiązania nadal nie zaspokajają naszej ciekawości: kim tak naprawdę jest człowiek XX wieku? Bo na pewno nie współczesnym Odyssem, współczesnym Faustem i tak dalej. I wreszcie Beckett odpowiedział na to pytanie w sztuce o dwóch kłoszardach-włóczęgach i Godocie, który nigdy nie nadejdzie. Nędza materialna bohaterów jest tutaj jedynie metaforą ich zupełnej pustki duchowej. Pozbawieni jakiegokolwiek metafizycznej i praktycznej racji istnienia, wiodą życie zawieszone w próżni. W bezcelowej wędrówce, jałowych dialogach, beznadziejnej nadziei. Pan Leopold Bloom powraca w końcu do własnego domu, by zanurzyć się w miódopłynnym łonie swojej małżonki. Bohater Tomasza Manna przeżywa wzniosłość własnego upadku. Kłoszardzi Becketta nie mają już nawet takich

satysfakcji: dom nie istnieje, a wszelka wzniosłość, nawet ta w upadku, jest im odjęta. To jest właśnie nasz świat – mówi Beckett – finał nieuchronny wspaniałej cywilizacji, która niegdyś wznosiła akwedukty i katedry, a teraz jest śmietnikiem. Być może dla niektórych kolorowym i atrakcyjnym, ale – śmietnikiem. A śmietnik to takie miejsce, gdzie możliwe są tylko fragmenty. Odpadki. Odłamki. Nigdy całość. Marzenie o odnalezieniu Świętego Graala, który przywróci ginącemu królestwu dawną świetność i żywotność, jest w świecie sztuki i prozy Becketta zupełnie nieobecne. Minione epoki żyły dzięki własnym mitom. Obecna – zdaje się podpowiadać Beckett – nie ma już żadnego. W tym sensie jest to więc najbardziej pesymistyczny pisarz, jakiego wydała Europa. Surowy i bezlitosny aż do bólu. Nie opisuje klęski, ale stan po klęsce. I nie stosuje żadnego pocieszenia. Jest to świadomość trudna do zaakceptowania. Bo – jak powiada Pascal – człowiek zawsze wynajduje sobie jakieś zajęcia, gry i szaleństwa, byle tylko nie myśleć o sprawach ostatecznych. Beckett pisał tylko o sprawach ostatecznych. Nawet kiedy milczał.

POR. DEDALUS, DUBLIN, TULLA; POGRZEBACZ WITTGENSTEINA

Caius Plinius Maior

Odkąd przeczytał sławne dzieło Leukippa *Megas diakosmos*, w którym grecki filozof wyłożył atomistyczną teorię wszechświata, nie zaznał spokoju. Porzucił swoje prace historyczne, traktaty militarne i komentarze. Tajemnice natury, opisywane przez Demokryta, Epikura, a wreszcie Lukrecjusza, ów zagadkowy świat niewidzialnych, a przecież istniejących cząstek, składających się na ludzkie ciała, rośliny, minerały i planety –

wszystko to stanowiło zagadkę, której nie potrafił rozwiązać, ale która stała się jego – Pliniusza zwanego Starszym – obsesją. Aby napisać 37 ksiąg swojej *Historia naturalis*, przestudiował ponad dwa tysiące dzieł, wśród nich egipskie papirusy i zwoje zapisane w języku punickim. Gdziekolwiek się znajdował – w zaciszu domowego atrium, obozie naddunajskiej legii czy w spalonej słońcem Hiszpanii – lubił przyglądać się roślinom, ptakom i zwierzętom. Intrygowały go meteoryty, przyływy morza, trzęsienia ziemi, powietrzne trąby i wulkany. Był zbyt wykształcony, aby wierzyć w Jowiszowe pioruny, kuźnie Hefajstosa i innego tego typu bzdury, którym zarówno grecki, jak i rzymski lud dawał wiarę. Z drugiej wszak strony wiedza filozofów i jego własne, to jest Pliniusza, obserwacje nie dawały wystarczająco jasnych odpowiedzi. W roku 79 po narodzeniu Chrystusa nadarzyła się okazja do nowych badań. Groźny Wezuwiusz wyrzucił z siebie lawę, skały i popiół, zasypując żyzne pola Kampanii. Eskadra okrętów, którą dowodził Pliniusz, wyruszyła spod Mizenum, aby nieść pomoc umęczonej prowincji.

W niewielkiej skrzyni Pliniusza znajdowały się tylko dwie księgi – *De rerum natura* Lukrecjusza oraz nieznaną zwój punicki, który dostarczył Pliniuszowi na kilka dni przed wypłynięciem eskadry Severus, jego zaufany bibliotekarz i handlarz. Księgę szóstą dzieła Lukrecjusza, a zwłaszcza wersy od 539 do 702, poświęcone wulkanom, Pliniusz znał na pamięć. Według rzymskiego poety, to podziemne wiatry, pędzące w grotach wulkanicznych z zawrotną prędkością, powodowały rozżarzenie skał, następnie zaś erupcję. Lukrecjusz przyrównał Ziemię do ludzkiego ciała, którym także od czasu do czasu wstrząsają dreszcze i gorączka. Pliniusz nie miał na ten temat wyrobionego sądu. Zamierzał czynić obserwacje i notować wszystko, co będzie tego warte. W drodze do Kampanii czytał też zwój pu-

nicki. Był niekompletny, prawdopodobnie skopiowany z oryginału, pozbawiony tytułu oraz imienia autora. Lecz jego treść zaintrygowała Pliniusza w najwyższym stopniu. Słyszał już kiedyś o Himilkonie, żeglarzu kartagińskim, który sześć stuleci wcześniej dotarł ponoć do brzegów Brytanii i opisał żeglugę po Atlantyku. Pliniusz nie miał ze sobą swojej biblioteki i nie mógł sprawdzić, czy wzmiankę o Himilkonie-żeglarzu zawarł w swoich epickich poematach Antagoras z Rodos czy może Akusilaos z Agros – ów dziwak, który kosmogoniczne wiersze Hezjoda przerabiał na prozę. To, co czytał teraz, wyglądało na relację z pierwszej ręki. Opowieść Himilkona o podróży na zachód była porywająca. Opisy ponurych, kamiennych kregów, gdzie składano ofiary z ludzi, portrety barbarzyńskich Brytów czy bukowych lasów ciągnących się w nieskończoność zdawały się godne Homerowego pióra, choć spisane były bez znajomości heksametru i po punicku. Ostatnią, XI księgę dzieła bez tytułu Pliniusz czytał już na lądzie Kampanii, wśród zgiełku uciekinierów, w dymie pożarów i chaosie administracyjnych działań. Zdążył jednak wysłać list do Severusa. „Himilkon opowiada – relacjonuje bibliotekarzowi – o żegludze na Północ i o cudownym, bajecznym mieście nad Zimnym Morzem, które całe zbudowane jest z żywicowego kamienia, który Grecy zwali elektromem, a my, Rzymianie – sucinum. Polecam ci Severusie, abyś przed moim powrotem najął kopistów i tłumacza, albowiem mam pewne kłopoty z punickim, którym nie posługiwałem się od lat”.

Nie wiemy, czy Marek Severus spełnił życzenie zamożnego klienta. Dzień po wysłaniu listu odłamki rozżarzonych skał i tony duszącego popiołu spadły na kwatere Pliniusza. Razem z nim zginął egzemplarz *De rerum natura*, w którego szóstej księdze Lukrecjusz tłumaczy istotę erupcji wulkanicznej, oraz

nieznany zwój, zapisany w języku punickim ze skopiowaną relacją kartagińskiego żeglarza Himilkona. Niestety, Pliniusz w swoim liście do Severusa nie podaje nazwy bursztynowego miasta. Umierając pod zwalami wulkanicznego popiołu w Kampanii, nie mógł wiedzieć, że po dwóch tysiącach lat uczeni Wschodu i Zachodu nadal będą poszukiwać legendarnego miasta, nadając mu czasami imię Truso. Podobnie jak nie mógł wiedzieć, że w 146 roku, a więc zaledwie sześćdziesiąt siedem lat po jego śmierci, Scypion Młodszy obróci Kartaginę w popiół, po wieczne czasy. Lud, który wynalazł purpurę, szkło, stopy metali i wydał z siebie żeglarza Himilkona, stał się jeszcze jednym ludem, który zniknął z powierzchni ziemi.

FOR. PUBLIUSZ, HISPALA, BAKCHUS

Castorp

Zaginione rozdziały najświetniejszych powieści świata, historie dzieł, które powstawszy, nigdy nie ujrzały światła dziennego, wreszcie legendy o Księgach, które – jak *Megas Diakosmos* Leukippa – znane niegdyś mędrcom, nie przetrwały do naszej ery... oto cudowne pole, na nim spekulacje, przypuszczenia i powstające mity plenią się gęsto, niczym chwast. Odpowiedzialny profesor uniwersytetu czy fachowy historyk literatury znają niejedną tego rodzaju opowieść, lecz zachowują je dla siebie i sytuacja taka przypomina trochę salonową konwersację, podczas której o pewnych rzeczach mówić nie wypada. Czasami tylko padnie jakieś napomknienie, aluzja, w pół przerwane zdanie, którego pełnej treści możemy jedynie się domyślać, skazani na przypuszczenia i snucie fantastycznych wątków.

Mój znajomy, wnuk pastora P., który żył we Lwowie do 1945 roku, niejedną raz przedstawiał tę historię: gdy jego dziadek przeczytał pierwsze wydanie *Czarodziejskiej Góry*, zdobył adres Tomasza Manna i napisał do autora długi list, będący w istocie mądrą i głęboką interpretacją powieściowego arcydzieła. Widocznie w ujęciu pastora musiało być coś intrygującego, skoro Tomasz Mann odpowiedział długim, bynajmniej nie konwencjonalnym listem, w którym – rzecz niesłychana – podzielił się wątpliwościami co do pewnych niezrealizowanych w powieści wątków, zarzuconych pomysłów, wreszcie wariantów, z których zrezygnował. Pastor P. napisał wówczas list następny i oto między nieznanymi nawiązała się korespondencja, trwająca kilka lat. Stałym jej wątkiem – obok wymiany filozoficznych idei i pomysłów – była *Czarodziejska Góra*, która teraz właśnie, z roku na rok, stawiała się najślawniejszą w świecie książką. O listach tych – jak o bezcennym, utraconym skarbie – pastor niejedną raz wspominał na wygnaniu. Pakiet z odręcznie kreślonymi uwagami Manna, zakopany w piwnicy lwowskiego domu, czekać miał powrotu gospodarzy. Ten jednak nigdy nie nastąpił. W 1976 roku pastor P., przeczuwając swoją śmierć, zostawił dokładnie sporządzony szkic, z opisem miejsca i sposobu ukrycia Mannowskich rękopisów.

Historia ich poszukiwania zapewne mogłaby stanowić osnowę powieści z lat przełomu: mój znajomy, wnuk pastora P., udaje się do Lwowa z wizytą turystyczną, w istocie jednak odnaleźć musi dom i piwnicę dziadka, a w niej pakiet listów Tomasza Manna. Dawne, mieszczańskie kamienice zmienione w „komunałki”, piękne mieszkania zdewastowane przez dziesiątki lat dokwaterowań i podziałów to tylko tło w bułhakovskim stylu: istotne były spotkania i rozmowy mające doprowadzić do piwnicy. Zważywszy na mentalność i podejrzliwość

niechęć obecnych lokatorów, nie było to zadanie łatwe. Mój znajomy, nie tylko „Lach”, lecz na dodatek wnuk pastora, musiał się nieźle starać, by opowieść o „listach i fotografiach, które nie mają żadnej wartości poza rodzinno-pamiątkową...”, brzmiała realistycznie i niegroźnie. Listów jednakże nie odnalazł. Gdzieś w pięćdziesiątym ósmym wszystkie podłogi piwnic pastorowego domu zalano cementową breją. Był to jedyny zresztą remont, jaki tu wykonano od polskich czasów: zamiast przetkać wylewające co jakiś czas burzowce, podłogę piwnic uzbrojono w socjalistyczny beton...

Tu zakończona opowieść wnuka pastora P., ma wszakże swoje konsekwencje, przynajmniej dla kogoś, kto – jak ja – lubi Tomasza Manna i mieszka w Gdańsku. „Niejeden raz – wspominał mój znajomy – dziadek opowiadał, że w swoim pierwszym, długim liście Mann tłumaczył, dlaczego zrezygnował z opisu pobytu Hansa Castorpa w Gdańsku...” Istotnie, w *Czarodziejskiej Górze* Mann pisze o swoim głównym bohaterze: „Miał już poza sobą cztery półrocza studiów na politechnice gdańskiej i cztery następne, które spędził w wyższych szkołach politechnicznych w Brunświku i Karlsruhe”. Gdański epizod biografii Hansa Castorpa trwał zatem aż dwa lata, jednakże w retrospektywnym fragmencie narrator poświęca mu jedynie dziesięć słów. Dlaczego? Oto pytanie, na które nigdy już nie uzyskamy odpowiedzi: czy Tomasz Mann nie lubił miasta nad Motławą? Jeżeli tak, po co nakazał Hansowi Castorpowi studiować na tutejszej politechnice aż cztery długie półrocza? A może w którymś z niezachowanych szkiców *Czarodziejskiej Góry* znajdował się rozwinięty fragment opisujący gdańskie doświadczenie Hansa Castorpa?

Jedynie wyobraźnia może podsunąć nam ów jakże pociągający obraz: Hans Castorp, przespawszy stację we Wrzeszczu,

wysiada z kolejowego wagonu na dworcu głównym w Gdańsku. Jest mglisty, chłodny poranek i drobny incydent z dorożkarzem nastroja Hansa nieprzychylnie do tego miasta i do idei studiowania tutaj. Nie lepiej dzieje się na stacji przy Kastanienweg; odnajmująca pokoje pani Hinz twierdzi, że nie dostała żadnego telegramu, i chociaż nieporozumienie nie jest groźne, solidny Castorp czuje rosnącą niechęć, która przeradza się w irytację, kiedy już następnego dnia okazuje się, że w całym Wrzeszczu, a nawet w gdańskim składzie Kummera, nie może kupić cygar swej ulubionej marki – „Maria Manzini”... Tak, wnuk hanzeatyckich kupców i konsulów, Hans Castorp, który z Hamburga przybył do tego dziwnego miasta na wschodzie, nie może uznać tutejszej mowy dorożkarzy, tutejszych obyczajów wdów wynajmujących pokoje, wreszcie tutejszych składów tytoniowych za wystarczająco cywilizowane. Wytrwa tu jednak aż dwa lata i uprzedzając nieco jego późniejsze losy, możemy napomknąć tylko, że powodem okaże się kobieta: pierwsza wielka miłość Hansa Castorpa, o której potem nigdy nie dowie się ani Joachim, ani tym bardziej piękna Kławdia Chauchat.

Podobnie jak my nie dowiemy się nigdy, dlaczego Tomasz Mann nie napisał tego gdańskiego fragmentu, a nawet jeśli napisał – czemu nie włączył go do *Czarodziejskiej Góry*?

FOR. CODIX FLORIAE; „DER SCHERZ”; KLEPSYDRA ASCHENBACHA

Cnotliwy człek Godlewski

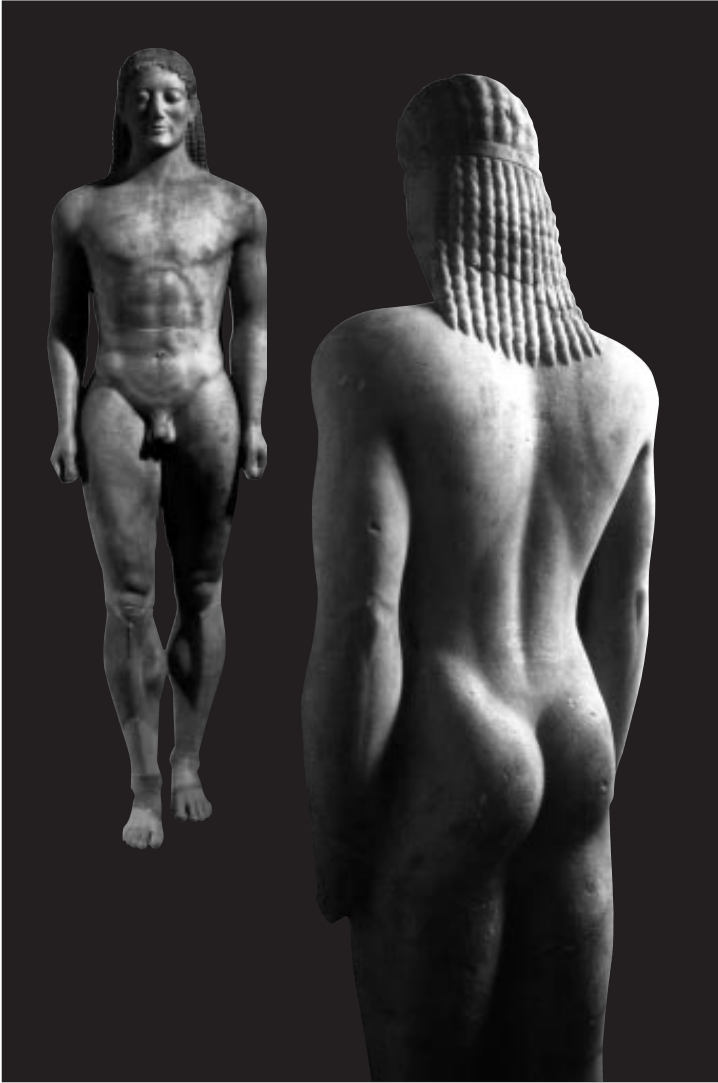
Czy rzeczywiście nie lubił księży? Faktem jest, że kiedy o nich pisał, jego obserwacje – pozornie beznamietne, zawsze realistyczne, podszyte obok rubaszości głęboką ironią – niejednego gorliwego katolika przyprawić mogły o zgrzytanie zębów.

Nawet dylemat, czy słowo ksiądz pochodzi od księcia, czy też raczej od księgi, Waław Potocki rozstrzyga zabawnie. „Na kształt mitry czapeczka rogata”, noszona przez duchowną osobę, świadczyć może o pretensjach do książęcego panowania. Pismo jednak – podkreśla poeta – nakazuje im służyć, nie panować, stąd bycie księdzem winno brać przykład z Księgi, nie zaś z księcia, ponieważ nie o stroje i władzę chodzi, ale o ducha służby. „Czapeczka rogata” to także aluzja do figury diabła. Niejeden pleban czy wikary, których wizerunek Potocki zamknął w swoich fraszkach, z powodzeniem mógłby służyć – zamiast do mszy – rogatej postaci.

Pośród wielu grzechów, o jakie poeta-szlachcic oskarża kler, najczęstszym jest chciwość ziemskich dóbr. „Každy się z nas uskarża, každy się z nas dziwi, że tak bardzo łakomi księża są i chciwi. Póki klerykiem – to nic; jak wnidzie do cechu – i żywych i umarłych drze pleban do zdechu”. *Z d e c h* – to piękne słowo, dziś w takiej formie już nieużywane, bawi nas równie dobrze, co wytłumaczenie nagannego stanu rzeczy. Zaobserwowawszy pewnego razu w Krakowie ceremonię wyświęcania księży, Potocki – nie bez zdumienia – odnotowuje fakt, że biskup namaszcza świętym olejem dłonie diakonów. „Czemuż nie głowę?”, pyta sam siebie i odpowiada, „lepiej mu było głowę niż ręce namazać, pilniej niż groszów chować, uczyłby się kazać”.

Co do kazań zaś – oburzały go nie tylko te głupie i prostackie, ale też takie, których zaniechano. Gdy pewien pleban z wikarym pili w Wielki Czwartek aż do świtu i wreszcie trzeba było wejść na ambone, stanęła między nimi kwestia – który?

Ich dialog przybiera obrót groteskowo-blasfemiczny: pleban twierdzi, że tak mu żal Pana Jezusa, iż nie jest w stanie – ze względu na własne wzruszenie – wygłosić smutnego kazania,



Dwaj kurosi attyccy
posagi z Volomandry i Anavyssos, 540-530 p.n.e.

na co wikary stwierdza, że jemu również żal Pana Jezusa, który w dodatku nie był mu ojczymem. „Tak nic nie powiedziawszy obadwa przed żalem, poszli spać do komory miasto Jeruzalem” – konkluduje bezlitośnie poeta. Gdyby oceniać tego rodzaju utwory Potockiego głosem niektórych słuchaczy Radia Maryja, mogłoby się okazać, że mamy w nich do czynienia z antykatolicką i antynarodową krucjatą. O niczym takim jednak mowy być nie może – siedemnastowieczny poeta, który oprócz frazsek napisał wiele głębokich, metafizycznie pięknych wierszy, w krytyce kleru zachowywał się jak typowy szlachcic. Żył przecież w wolnym kraju i jako wolny jego obywatel pisał o tym, co go w tym kraju doprowadzało do rozpaczki: buta magnatów, głupota polityków, powszechna pazerność, nietolerancja, a wreszcie płytka religijność, która nader często z odpustu czyniła r o z p u s t – jak napisał w jednej z frazsek.

„Krytyka stanu duchownego – przypomina Czesław Hernas – była dla szlachty czymś naturalnym. To zaś, że stan duchowny usiłował dyskusję o obowiązkach społecznych traktować jako działanie antykościelne, heretyckie, było tylko formą obrony interesów stanu i nie przekonywało wcale szlachty”. Zapewne konwersja Potockiego na katolicyzm, wymuszona przez bezduszną konstytucję sejmową w roku 1658, podobnie jak wytoczony mu cztery lata później proces o kryptoarianizm, nie pozostały bez wpływu na jego widzenie Kościoła rzymskiego. Ale też nigdy, nawet w najbardziej dosadnych ujęciach, nie podejmował z nim polemiki teologicznej. Z arianizmu pozostała mu demokratyczna niechęć do hierarchii i przekonanie, że Kościół winien być przede wszystkim wspólnotą duchową, a nie organizacją przypominającą feudalny dwór. Taką opinię dzieliło z Potockim jeszcze w pierwszej połowie XVII wieku wielu panów-braci, niekoniecznie poetów i niekoniecznie byłych arian.

Postępująca kontrreformacja stępiła znacznie popularność tego rodzaju poglądów. Kiedy w siedemdziesiątym piątym roku życia Wacław Potocki oddał swoją duszę Bogu, sarmacka, krytyczna rubasznosc transformowała się w sarmacką pobożność, tworząc ideał państwa katolickiego. Ów sardoniczny i odważny ton przetrwał jednak w utworach Potockiego i dzięki nim możemy dziś podziwiać zaskakujące koncepta kaznodziejskie, jakimi w Wielki Piątek kraszono nabożeństwo.

Było to na Mazowszu, tradycyjnie wyśmiewanym przez małopolskich i wielkopolskich panów. Aby osiągnąć lepszy efekt, ksiądz przed kazaniem kazał nabić muszkiet i umyślnemu wypalić zeń za ścianą w tym momencie, gdy sam stanie na ambonie i zawoła „Zabito!!” Tak też się stało. Zgromadzona brać szlachecka, przeczuwając po takim komunikacie srogi tumult w powiecie, wybiegła na zewnątrz. W środku zostały jedynie kobiety. Jedna z nich pyta na głos: „kogóż to śmierć wzięła?”. Ksiądz odpowiada: „Pana, Jezusa Chrystusa, naszego”, na co kobieta – „Chwała Bogu, że nie Godlewskiego; bo dobry, cnotliwy człek, daj mu Boże zdrowie...” Uspokojeni szlachcice wracają do kościoła i – jak kończy poeta – „ksiądz kazanie dopowie”.

Do dziś nie wiadomo, ani czy muszkiet ów nabity został w Wielki Piątek ostrą kulą, ani kim był pan Godlewski z mazowieckich równin. *Trefunek na Mazoszu*, który opowiada o tym wydarzeniu, należy do grupy utworów Potockiego raczej ironicznych niż szyderczych. Był poetą uniwersalnym właśnie dlatego, że nie wstydział się swoich powiatowych prowincji.

Codex Floriae

Chyba wszyscy lubimy takie wątki: przygodnie odwiedzony antykwariat, stos najdziwniejszych starodruków, pośród nich odnajdujemy – rzecz jasna przypadkowo – bezcenny manuskrypt, o którym przez stulecia krążyły jedynie legendy lub – jeszcze lepiej – o którego istnieniu nie wiedzieli do tej pory nawet najbardziej wtajemniczeni badacze. Wachlarz pomysłów jest tutaj właściwie nieograniczony: od zaginionego dzieła Leukippa *Megas diakosmos*, w którym ów nauczyciel Demokryta wykłada atomistyczną budowę wszechświata, przez nieznaną odpis listu Nostradamusa, do – powiedzmy – nieukończony partytury Wagnera, z jakiej odczytujemy porywający szkic opery, nienotowanej przez żadnego wagnerologa, ani nawet przez samego kompozytora. Ileż wdzięcznych powieści oparły autorzy na tym właśnie pomysle: znaleziony rękopis jest zawsze znakiem odkrycia nowej, nieznanego dotąd rzeczywistości, daje spore możliwości narracyjne, a przede wszystkim pozwala zrewidować ustalone poglądy – na konkretną epokę, wydarzenie historyczne, słynną postać albo nawet szkołę filozoficzną. I chociaż umowność tego chwytu jest zawsze oczywista, to przecież lubimy mu się poddać, śledząc z uwagą odkrycie „nowej prawdy”, jak też pomysłowość i spryt autora. Ten ostatni musi wszak trzymać się pewnego prawdopodobieństwa i na przykład nie powinien w „odkrytym” dziele Arystotelesa, doszukiwać się poglądów Isaaca Newtona lub Alberta Einsteina. Z tego punktu widzenia apokryficzne dzieło Jostaina Gaardera *Vita Brevis* spełnia wymogi gatunkowe. List-wyznanie skierowany do biskupa Hippończy, Augustyna, napisany przez jego byłą konkubinę, trzyma się mocno nie tylko realiów epoki, ale też wielu szczegółów,

które znamy z *Wyznań* – autentycznej i jedynej w swoim rodzaju autobiografii świętego.

Historia tego miłosnego związku nie była krótka i nie skończyła się szczęśliwie. Z faktów, które ujawnia w *Wyznaniach* sam Augustyn, wynika, że: mniej więcej w rok po przybyciu do Kartaginy (371), gdzie wedle jego własnych słów – „od razu znalazł się we wrzącym kotle erotyki”, osiemnastoletni Augustyn związał się z ubogą kobietą, do czego pchnęła go – jak napisze po latach – „wzniesiona fala namiętności młodzieńczych”. Wkrótce przyjdzie na świat ich syn Adeodat (Dany od Boga), a nieformalny związek przyszłego biskupa Hippony z kobietą, której imienia nigdy nawet nie wspomni w *Wyznaniach*, potrwa około piętnastu lat. Wypełnią je filozoficzne poszukiwania (manicheizm, neoplatonizm), szczyble kariery zawodowej (stanowisko retora), konflikty z matką (Monika, mająca chorobliwie przemożny wpływ na syna, nigdy nie zaakceptowała jego niechrześcijańskich poglądów ani nieformalnego związku z kobietą niskiego stanu), wreszcie odnalezienie „światła prawdziwej wiary”, uwieńczone chrztem w roku 387. Oba te wydarzenia – chrzest i pozbycie się matki Adeodata (zostanie wyrzucona z domu, pozbawiona dziecka, odesłana do Afryki i zmuszona do złożenia przysięgi, że nigdy nie będzie obcować z innym mężczyzną) – inspirowane były trojako: nieustępliwą postawą matki Augustyna, jego wewnętrzną przemianą oraz etapem kariery, jaki właśnie osiągnął. Wybitny profesor musiał się dobrze ożenić, Monika doprowadza do zaręczyn z nieletnią jeszcze córką bogatego rodu, a sam Augustyn – czekając na małżeństwo – bierze sobie kochankę, aby uśmierzyć swój ból po stracie wygnanej konkubiny, która – jak stwierdzi rzeczowo Peter Brown – „stała się ofiarą bardzo katolickich zasad oraz wybujałego snobizmu mediolańczyków”. Do małżeństwa nie

doszło, kolejno zmarli ukochany Adeodat i Monika, Augustyn zaś zostanie biskupem Hippony i jednym z najznakomitszych filozofów i pisarzy Kościoła. Kiedy napisze swe *Wyznania*, dotrą one do Florii (takie imię nadaje anonimowej konkubinie Gaarder), co spowoduje jej głęboką, uczuciową reakcję. Taka jest więc geneza „odnalezionego” przez Gaardera listu Florii do Aureliusza Augustyna: słuszne poczucie krzywdy, pamięć okrutnego potraktowania („odesłaliście mnie jak rzecz do Afryki”), a nade wszystko niemal jawna hipokryzja *Wyznań*, w których – wedle Florii – zarówno obraz kobiety, jak i samego Boga jest zaprzeczeniem miłości i prawdy. Dodajmy, że Floria – przez szesnaście lat towarzysząc ukochanemu w jego filozoficznej i nauczycielskiej epopei – stała się kobietą wykształconą i czytana, zatem jej argumenty w żadnym wypadku nie dadzą się zepchnąć do poziomu lamentu porzuconej kucharki. Cóż zatem zarzuca biskupowi Floria?

Pomijając wątek rodzinny (Monika jako toksyczna matka, spod której kurateli nie potrafi wydostać się dorosły mężczyzna) oraz społeczny (Floria, pozbawiona środków do życia, nawet nie mogła walczyć o swojego syna), powiedzieć można, że list zawiera ostro sformułowaną krytykę chrześcijańskiej obsesji grzechu, związanej z erotyką, cielesnością i urodą materialnego świata. Florię oburza ten fragment *Wyznań*, w którym biskup stwierdza, że jedynym co było w Adeotacie z Augustyna, to grzech. Jej sprzeciw wywołują także powtarzające się lamentsy, że tym, co łączyło go z ukochaną kobietą, była jedynie ślepa, grzeszna i zła namiętność. Ani Bóg Ojciec, ani Nazarejczyk, ani nawet sam święty Paweł Apostoł nie są – zdaniem Florii – tak okrutni jak teolodzy Kościoła, którzy swoje własne lęki i obsesje, życiowe klęski i niepowodzenia, a wreszcie nienasycone pragnienie władzy tłumaczą za pomocą wykrętnych

argumentów, urągających rozumowi i miłości, spychających w rezultacie kobietę albo do roli służącej, albo wysłannika szatana. Dlatego – jak pisze do biskupa Floria – nie boi się ona Boga, lecz teologów, ci bowiem nie wysnuwają z przesłania Ewangelii pieśni miłości, ale tworzą z niego narzędzie pogardy, panowania i represji.

Pogląd, jaki w usta Florii wkłada Gaarder, nie należy do rewolucyjnych: krytyka Augustyna, będąca w istocie krytyką stosunku chrześcijaństwa do ludzkiej seksualności, ma swoją bogatą tradycję od czasów starożytnych po dzień dzisiejszy i niewiele nowego da się tutaj stwierdzić. Najciekawszym fragmentem listu Florii wydaje się ten, w którym ukazuje ona rodzącą się przemoc: podczas ostatniego spotkania z Florią Augustyn, nie mając argumentów i pragnąc zagłuszyć własne poczucie winy, odwołuje się właśnie do przemocy. O tym spotkaniu milczą rzecz jasna *Wyznania*, ale czytelnik – świadom, że obcuje jedynie z prawdopodobną fikcją – może w tym miejscu rozszerzyć swą refleksję o dzieje całego Kościoła: zarówno ówczesnego, w IV wieku, jak i epok następnych. W biografii, wielkim dziele i nauczaniu biskupa Hippony, znacznie ciekawszy od spraw sercowych jest bowiem ten moment, w którym Augustyn dochodzi do wniosku, że do szerzenia Ewangelii, oprócz słowa i autorytetu instytucji, przydatna jest bardzo różga państwa, czyli realna siła fizycznego przymusu. Cesarstwo, zanim przestało istnieć, wcieliło tę zasadę w życie, rzecz jasna dla zbawienia dusz. Na korzyść Florii dodać trzeba, że nie chciała takiego zbawienia.

Colonna, rok 1992

Z Iowa City samochód skręca na autostradę w kierunku północno-zachodnim. Pejzaż jest monotony: kilometrami ciągną się falujące grzywy kukurydzianych kit, między którymi co parę mil wyrasta kepa drzew. To znak, że za zakrętem znowu ujrzymy farmę: dojazd do głównej drogi, czerwony dach ukryty pod koronami dębów, płoty, budynki gospodarcze. Czasami równina unosi się nieznacznie i jeśli farma stoi na szczycie długiego wyniesienia, to z okien samochodu można zobaczyć więcej: rząd okien, szeroki ganek z daszkiem i kolumnami, warzywny lub owocowy ogród, bieliznę suszącą się na słońcu... Czasami też mija się farmę opuszczoną i chociaż nie jest to Południe, można odnieść wrażenie, że wstąpiliśmy w świat Faulknera: pozarastane chwastem schody, wykoślawiony dach, na wpółotwarte drzwi do domu, a na podwórku zardzewiały traktor w chaszczach soczyście wybujałych zielsk...

Kiedyś była tu preria i wyobraźnia Europejczyka, ukształtowana nie bez udziału amerykańskich filmów, łatwo podsunie dawny obraz tej ziemi. Więc najpierw trawa: wysoka, gęsta, porastająca tysiące mil kwadratowych. Siegała końskich piersi, dlatego wozy pionierów jechały tak powoli, cierpliwie przecierając szlak. Leniwe rzeki nie były malownicze i tylko wiosną ich bieg przyspieszał wraz z wylewami. Stada bizonów i obozowiska Indian niech zamkną wizerunek, po którym nie pozostał żaden ślad, jeśli nie liczyć nazwy stanu i rezerwatów, gdzie pijąc najtańszą whisky, wegetują byli synowie prerii, pozbawieni swej ojczyzny.

Im bliżej do miasteczka, tym częściej spotyka się na szosie konne powozy, zwane *buggy*. Kierują nimi mężczyźni w czarnych kapeluszach, ciemnych spodniach i charakterystycznych

kamizelkach. Wrażenie jest ogromne, wygląda to bowiem tak, jakby farmerzy sprzed stulecia nagle zjawili się na drodze, nie zwracając przy tym najmniejszej uwagi na pędzące obok nich toyoty czy landrovery. Ale to nie scena filmowa. Mijane teraz gospodarstwa mają zupełnie inny wygląd niż te poprzednie, współczesne: kształt domów, a przede wszystkim ogromnych stodół, jest archaiczny i przyciąga wzrok swą niecodzienną bryłą. Amisze – bo o nich mowa – przybyli tu jeszcze w zeszłym stuleciu i można powiedzieć, że od tamtego czasu ich życie nie zmieniło się prawie wcale. Nie używają prądu, silników spalinowych, nawozów sztucznych i wszystkich tych wynalazków, bez których dzisiaj nie wyobrażamy już sobie życia. A jednak żyją, gospodarując na niewielkich farmach jak ich przodkowie. Paradoksalnie można powiedzieć, że nie zmieniając nic, wyprzedzili współczesną epokę. Rolnictwo, jakie uprawiają, jest bowiem w pełni ekologiczne: siew, orka oraz żniwa odbywają się tutaj sposobem dziewiętnastowiecznym, i pewnie dlatego sklepy z ich produktami mają tak duże wzięcie. Niektórzy Amerykanie jadą przez kilka stanów, by raz w miesiącu kupić tu chleb czy sery, wyprodukowane bez najmniejszego udziału chemii. Lecz nie spożywczy aspekt wydaje się w tym wypadku najbardziej interesujący. Amisze to ludzie Księgi, ich religijne doświadczenie i sposób życia są jak wyzwanie rzucone cywilizacji wielkich miast, promów kosmicznych, Internetu. Czy są szczęśliwi?

Celem życia człowieka jest zbawienie. Chrześcijaństwo głosiło tę tezę przez tysiąclecia, lecz rozziw między ideą a praktyką co pewien czas budził sumienia reformatorów religijnych. Jednym z nich był Menno Simons, od jego imienia pochodzi nazwa wyznania – mennonici. W poglądach bliscy Kalwinowi, tworzyli zamknięte grupy, w których surowość obyczajów szła

w parze z życiem wspólnotowym i religijną ortodoksją. Nie upłynęły jednak dwa stulecia, gdy wśród samych mennonitów podniosły się głosy krytyki: wielu wyznawców prowadziło wystawny tryb życia, bogaciło się na kupieckim rzemiośle, nie przestrzegało dawnych zasad skromności i pokory. Jak prorok grzmiał Jacob Aman na niderlandzkie gminy, w których szerzyło się zepsucie. A kiedy jego słowa nie odniosły skutku, z grupką wyznawców odłączył się od mennonickich braci, tworząc własne wyznanie. To właśnie byli pierwsi amisze: niechętni miastom, nadzwyczaj skromni w ubiorze i obyczaju, pracowici, wierni biblijnym nakazom w sprawach fundamentalnych i całkiem drobnych. Nie budują kościołów, gdyż każdy dom rodzinny jest dla nich domem modlitwy. Tak jak anabaptyści, chrzczą swoje dzieci dopiero w wieku czternastu lat, nie uznają stanu kapłańskiego, lecz tylko „starszych gminy”, wybieranych spośród siebie. Palenie tytoniu, alkohol, seks pozamałżeński, podobnie jak tańce i rozrywki, nie są tolerowane. Zbawienie jest bowiem sprawą zbyt poważną, by je narażać przez pokusy, więc te ostatnie ograniczone zostały do minimum, także przez stroje kobiet.

Colonna nie różni się od innych miasteczek stanu Iowa. Wszystkiego parę ulic, w tym jedna główna: z barem, bankiem, biu-rem szeryfa i wystawami sklepów, które żyją z farmerów. Tylko bryczki amiszów, ich kapelusze, suknie i czepki kobiet, czynią ten nudny pejzaż nietypowym. Lecz ludzie Biblii, nawet gdy z konieczności muszą tu przybyć dla załatwienia spraw niezbędnych – rachunek w banku, zakup gwoździ – są jak za szybą, impregnowani na świat zewnętrzny. Podobnie w sklepie z ich produktami: trudno nawiązać rozmowę z kobietą w długiej sukni i haftowanym czepku, skoro udziela jedynie niezbędnych informacji o cenie miodu, kaszy gryczanej, chleba, sera

i wielu innych specjalów, zamkniętych w wekach albo blaszanych puszkach.

Trudno powiedzieć, czy Bóg kocha amiszów bardziej od ortodoksyjnych Żydów czy prawowiernych katolików. W Ameryce wielość wyznań i religii skupia się jak w soczewce i wyjazd do Colony sprzyja refleksji całkiem innej – czy mianowicie, mają rację ci filozofowie, którzy mówią, że wiek XXI będzie religijny albo nie będzie go wcale? Jeśli by tak być miało, amisz nie mają powodu do niepokoju. Żyjąc w wersetach Biblii, spokojnie oczekiwać mogą czasu Apokalipsy. Podobno niektórzy z nich twierdzą, że ten już nastał i tylko duchowej nędzy świata zawdzięczać można fakt, iż jest to skrzętnie ukrywane.

POR. CYSTERSI; ŻUŁAWA, POMEZANIA, PRUSY

Cystersi

Stare opactwa tchną powagą, może dlatego, że właśnie w takich miejscach czujemy to, co historycy nazywają długim trwaniem. Mowa przedmiotów i kamieni jest tu ściszona, lecz sugestywna: płyty posadzki, po których przez osiemset lat przechodzili zakonnicy z dormitorium do kaplicy, są wyżłobione, jak przez potok, odciskiem stóp pokoleń. Czas płynie tu inaczej. W romańskich łukach i rozetach zdają się trwać modlitwy śpiewane przez stulecia, jak gdyby świat autostrad, lotnisk, telewizji kablowej, wcale nie istniał lub był projekcją chorej wyobraźni. A kiedy w blasku świc, tuż przed świtem, wolną, wznoszącą się do góry frazą popłynie chorał gregoriański i twarze braci, skryte w biel habitów, skupią się na łacińskich wersach, przybysz – kimkolwiek jest – czuje wzruszenie, obcując ze światem form dawno zaginionych.

Cysterskie Hauterive jest starsze od Oliwy dokładnie o czterdzieści osiem lat. Piękny, choć niewielki kościół zaczęto wznosić w roku 1138. Zgodnie z tradycją zakonu świątynię, dormitorium, budynki gospodarcze, a także wzniesiony wiele stuleci później dom pielgrzyma ulokowano w dolinie nad potokiem, chociaż słowo „potok”, tak odpowiednie w wypadku Oliwy, w Hauterive domaga się przymiotnika „górski”, albo „rwący”. Jesteśmy przecież w Alpach, kilka kilometrów od Fryburga. Inaczej wygląda też dolina: drzewa na skalnych wypiętrzonych nie mają tak falistej, łagodnej linii jak na oliwskich wzgórzach. Są jednak pokrewieństwa: w Hauterive do romańskiej bryły kościoła przyłgnał klasyczny mur pałacyku; w Oliwie do gotyckich przypór lgnie rokokowa forma pałacu biskupiego. I chociaż oba te opactwa dzieli odległość ponad tysiąca pięćset kilometrów, zapewne osiem wieków temu ich gospodarskie sprawy toczyły się podobnie: w potokach budowano jazy i przepusty, stawiano młyny, tartaki, kuźnie i browary, meliorowano łąki i zarybiano utworzone stawy.

Nawet Paul Johnson, wyraźnie uprzedzony wobec cysterskich zakonników, w swojej *Historii chrześcijaństwa* nie może powstrzymać słów uznania dla ich osiągnięć cywilizacyjnych. Europa XII wieku wymagała swoistej, wewnętrznej „kolonizacji rolniczej”, ponieważ wzrost liczby ludności i rozdrobnienie feudalnych gruntów nie mogły gwarantować nadwyżek żywności wystarczających do odżegnania widma głodu. Cystersi, świetnie zorganizowani, działając dynamicznie na terytoriach, można rzec, pionierskich, stworzyli coś, co w dzisiejszym języku nazwalibyśmy żartobliwie „ponadnarodowym koncernem rolno-przemysłowym”. Wspomniany Johnson pisze: „Ekonomiczna ekspansja cystersów w XII wieku stanowi zjawisko bez precedensu w całej historii Europy. Pierwszy klasztor założony został w 1108

roku, pod koniec stulecia było ich 525...” Zagospodarowano dziesiątki tysięcy hektarów nieużytków, założono setki wsi, a nowoczesną myśl techniczną, podobnie jak sekrety trudnej sztuki hodowli czy sadownictwa, rozprzestrzeniano na tereny cywilizacyjnie opóźnione, jeśli nie dziewicze. Mądrzy władcy – tacy jak nasz pomorski książę Sambor – wiedzieli doskonale, co zyskują, nadając cystersom ziemię i rozmaite przywileje.

Rzecz jasna, intencje, założenia i projekty nie mogły – jak to zwykle u początków bywa – nawet przewidywać takiego obrotu spraw. Opat Molesmes z Citeaux w Burgundii (z łacińska zwano się Cistercium) przez wiele lat zastanawiał się, jak zlikwidować wynaturzenia we własnym, benedyktyńskim zakonie. Formuła *ora et labora* nie zawsze była przestrzegana, opaci zbyt często przypominali feudalnych władców, a kontemplację coraz bardziej wypierało światowe życie. Nowa reguła opata z Cistercium miała temu przeciwdziałać: dochody klasztor mógł czerpać tylko z uprawy własnej ziemi, a nie z donacji, odprawianych mszy, nabożeństw i pochówków. Ponadto zaostrezeniu uległa dyscyplina: bracia mieli mieszkać razem, razem się modlić i pracować. Jak długo udało się cystersom zachować ją faktycznie? Już w XV wieku wiele klasztorów będzie dzierżawić własną ziemię, a tam, gdzie zabraknie zakonnych rąk do pracy, przyjdą wynajmowani robotnicy. W wielu krajach swoje trzy grosze wtrąca reformacja, spadek powołań, przemiany gospodarcze, wreszcie państwowe – tak jak w Austrii – represje i kasaty.

Pionierski duch cystersów pozostał w starych murach, na kartach ksiąg i w pracach specjalistów. Tym mocniej uderzy nas w szwajcarskim Hauterive widok zakonników, nie tylko podczas mszy w romańskim prezbiterium, lecz i przy pracy. Na przyklasztornej łące, z Alpami w tle, białe habity wyglądają

dość surrealistycznie, ale tylko przez moment potrzebny na rozpoznanie sytuacji. Jeden z braciszków, z witką w dłoni, zapełnia właśnie krowy do obory. Są takie, jak z reklamy znanej na świecie czekolady: wielkie, mosiężne dzwonki na ich szyjach słychać w całej dolinie. W drewnitni inny z braci piłuje pracowicie drzewo, a dwaj konfratry z kubelkiem i pędzlami w dłoniach odmalowują poręcz mostu. Czynności, prace i zajęcia, w których nie czuje się pośpiechu, mają tu swoje dostojenie, ponieważ – tak samo jak modlitwy – przez stulecia powtarzają się w tym samym miejscu o tych samych porach dnia i roku.

Oliwa nie miała tego szczęścia co Hauterive. Niszczona i grabiona wielokrotnie przez Prusów, Niemców, Husytów, Gdańszczan, Szwedów, Rosjan i Sowietów, oddalona o dwa kroki od wielkomiejskiej metropolii, po restytucji zakonu cysterskiego nie powróciła do swych źródeł. Może więc warto pomyśleć nad inskrypcją, która znajduje się do dzisiaj nad wejściem do kapitułarza – „*Hic Locus Odit Excessus, amat Pacem, punit murmura, conservat iura, honorat bonos*” – co się tłumaczy, że miejsce obrad dawnej kapituły „nie znosi błędów, kocha pokój, karze nieposłuszeństwo, szanuje prawo, honoruje dobrych...” I jakkolwiek historia po wielekroć zdawała się szydzić z tej dewizy, to ona, utrwalona w starych murach, może nam przypominać ludzi w białych habitach, sadzących drzewa nad potokiem.

POR. COLONNA, ROK 1992; ŻULAWA, POMEZANIA, PRUSY

Dedalus, Dublin, Tulla

Ta sekta nie posiada żadnej kapłańskiej hierarchii, ustalonych rytuałów czy biura werbunkowego, w którym uzyskać można – na kolorowej ulotce – obietnicę wtajemniczenia w za-

mian za wpłacenie na podane konto odpowiedniej sumy. A jednak ma wielu zwolenników, rozsianych dosłownie po całym świecie: ludzi nierzucających się w oczy, bardzo różnych profesji, którzy czasami kontaktują się ze sobą za pośrednictwem Internetu, tradycyjnej poczty lub podczas przypadkowego spotkania – w barze, księgarni czy poczekalni dworca lotniczego. Nie wiem, czy można ich nazwać *Dubliners*, to jest dublińczykami, ponieważ określenie to posiada co najmniej dwa konkretne odniesienia: jest mianowicie tytułem zbioru opowiadań Jamesa Joyce'a, a oprócz tego – w sposób naturalny – wskazuje raczej na mieszkańców Dublina niż na wspomnianych członków sekty. Skoro już jednak padło nazwisko pisarza i nazwa miasta, trzeba wyjaśnić rzecz bez dalszych komplikacji – mowa o czytelnikach i wielbicielach *Ulissesa*, którzy do Dublina nie przyjeżdżają, lecz pielgrzymują, i którzy nie chodzą zwyczajnie jego ulicami, lecz śledzą – krok po kroku – przecinające się w różnych punktach miasta ścieżki bohaterów powieści, Stefana Dedalusa i Leopolda Blooma.

W dawnym, pionierskim stylu odbywało się to z planem miasta w jednej dłoni, a Księgą z zaznaczonymi fragmentami w drugiej. Dzisiaj sporym ułatwieniem są specjalne przewodniki o poręcznym formacie. Zawierają odpowiednio uszeregowane partie tekstu (według kolejnych osiemnastu epizodów powieści), fotografie miejsc i obiektów, mapki z zaznaczonymi trasami oraz sposoby dotarcia do odpowiednich dzielnic środkami komunikacji publicznej. Członków sekty wprawne oko obserwatora wychwyci w Dublinie o każdej porze roku: zatrzymują się zwykle w tych samych punktach, sprawdzają precyzyjnie mapę, zerkają w odnośne fragmenty tekstu powieści (niektórzy znają je na pamięć), czasami pstrykną fotografie, po czym ruszają dalej. Najwięcej pielgrzymów pojawia się każde-

go roku w Dublinie w dniu 16 czerwca, zwanym *Bloomsday*, ponieważ właśnie 16 czerwca 1904 roku Stefan Dedalus i Leopold Bloom wyruszyli (każdy z innego miejsca) w swoją wędrówkę po labiryncie miasta.

W istocie, mamy tu do czynienia z niezwykle fenomenem: wielbiciele *Ulissesa* chodzą po Dublinie śladami fikcyjnych postaci literackich, czyli tropami ludzi, którzy nigdy realnie nie istnieli lub których istnienie – jak powiedziałby Ingarden – jest jedynie bytem intencjonalnym. Czego więc tak naprawdę szukają? Zapewne nie uroków Dublina, bo tych doświadczyć można w znacznie prostszy sposób, zapewne też nie prostej konfrontacji tekstu z rzeczywistością materialną miasta, ponieważ jako wytrawni czytelnicy wiedzą dobrze, czym jest umowność literackiej fikcji. A zatem? Arcydzieło Joyce'a jest wyjątkowo przemyślną konstrukcją. Akcja powieści ujęta w osiemnaście epizodów zamyka się w czasie niewiele dłuższym niż osiemnaście godzin tego jednego dnia z życia bohaterów. To pierwsza jedność. Drugą jest miejsce – Dublin z jego zaułkami, gmachami publicznymi, skalistym wybrzeżem i bulwarami portowej rzeki Liffey, a także swoją historią: celtycko-pradawną oraz patriotycznie obolałą od klęsk kolejnych powstań i angielskich represji. Trzecia jedność to nałożenie zwykłych, banalnych zdarzeń, myśli, rozmów i monologów bohaterów na mitologiczny schemat *Odysei*. Joyce wspominał tu wręcz o „architektonicznym planie”. Kosmosem do przebycia (pomiędzy opuszczeniem domu i powrotem doń) jest więc miasto, z całą przynależną mu w XX wieku specyfiką: nerwowym ruchem, nieustanną migotliwością perspektywy, dodekafonią dźwięków, obrazów i doznań. A jednak cały ten chaos i przypadkowość ruchów w ostatecznym efekcie okazują się odwieczną wędrówką ku określonemu celowi. Jeśli zatem powołaniem

działa sztuki jest uporządkowanie chaosu za pomocą własnego języka i nadawania znaczeń, *Ulisses* realizuje ten postulat w pełni. Może dlatego czytelnicy tej realistyczno-mitycznej opowieści pragną mieć swój udział w owych osiemnastu godzinach życia Dedalusa i Blooma? Zastanawiałem się nad tym, stojąc na Grattan Bridge z *Ulisses Guide* Roberta Nicholsona w dłoni, patrząc na róg budynku, w którym Leopold Bloom kupował papeterię. Nigdy nie należałem do wspomnianej sekty, moja wędrówka po Dublinie tylko w niewielkiej części odwoływała się do powieści, a jednak czułem się jak w domu, pośród ulic Gdańska, Wrzeszcza i Oliwy, znanych mi z dzieciństwa i wielu sytuacji powieściowych Günтера Grassa.

Choć oczywiście porównywanie Gdańska z Dublinem wydaje się równie bezzasadne, jak zestawienie *Ulisesa z Blaszanym Bębenkiem czy Kotem i myszą*, to jednak relacja pomiędzy literacką fikcją a realnie istniejącym miastem i jego topografią wydaje się w obu tych wypadkach pokrewna. Może polega to na zagęszczaniu znaczeń? Grattan Bridge w Dublinie byłby zwykłym dziewiętnastowiecznym mostem, niewiele znaczącym w przestrzeni miasta, gdyby nie właśnie owa treść naddana, w postaci Leopolda Blooma, jego przeżyć i myśli już na zawsze związanych z tym miejscem. Pewne podwórko we Wrzeszczu byłoby nic nieznaczącym, brzydkim i wstydliwie ukrywanym miejscem tej dzielnicy, gdyby pewnego dnia nie bawiła się tutaj niesamowita i niezwykła Tulla Pokriefke. Siła literatury jest w takich wypadkach rzeczywiście zdumiewająca, bo zmienia nasz obraz rzeczywistości, pod jednym wszakże warunkiem: nie za sprawą zwykłego katalogu rzeczywistości, czyli topograficznego naturalizmu, lecz za pomocą kreacji, tego – używając określenia Białoszewskiego – magicznego „obrotu rzeczy”. Takimi właśnie są Dublin Joyce’a i Gdańsk Grassa. I chociaż Joyce otwiera wiek XX, a Grass

zamyka go swym kluczem, chociaż spalony i tylko w niewielkim stopniu odbudowany Gdańsk nie miał tyle szczęścia co Dublin, chociaż mit Irlandczyka jest mitem powrotu, a mit gdańskiego Niemca mitem utraty i niemożności odzyskania równowagi świata, obaj pisarze są do siebie podobni, tworząc niezwykłą i pełną napięcie, epicką poezję miasta. Dodajmy, że to już przeszłość. Bohaterowie Joyce'a i Grassa żyjący w przestrzeniach rozrzuconych osiedli mieszkaniowych są nie do pomyślenia. Choćby dlatego, że tramwajowe dzwonki brzmią w zwartej zabudowie całkiem inaczej.

POR. ARANN ISLANDS; BECKETT; HRABAL; KUŹNIECZNY ZAULEK

„Der Scherz”

W powieści Arnima Stattlera najmocniej uderza nas klasyczna, trzyczęściowa kompozycja oraz postać głównego bohatera – Hermana von Zyczewitza. Czujemy do niego sympatię już od pierwszej sceny, gdy jego ojciec, junkier z Pomorza, oddaje go do słynnej Szkoły Kadetów w Słupsku, kładąc dłoń na głowie syna i mówiąc: „mój młody wojak!”. Otóż Herman nie chce być wojakiem, nienawidzi pruskiego drylu i przechodząc po raz pierwszy przez dziedziniec szkoły wojskowej, już tęskni za rodzinnym domem, łąkami dzieciństwa, matką oraz „śpiewkami polskich dziewczek, jakie słyszał często, przemykając się obok kuchni, albo izby czeladnej...” Być może klimat tej właśnie sceny wykorzystał Broch w pierwszej części słynnych *Lunatyków*, w których portretuje podobne środowisko: młody Joachim von Pasenow również ma iść do szkoły wojskowej (Chełmno), z tą wszakże różnicą, że zdanie o „młodym wojaku” wypowiada w *Lunatykach* pastor, a nie ojciec głównego bohatera.

Pierwsza epoka w życiu powieściowym Hermana – a więc szkoła kadetów – już od samego początku naznaczona jest pasmem udręk i upokorzeń. Nauczyciel szermierki, tępy zupak awansowany z gminu, przekręca nazwisko bohatera na Kotwitz. A ponieważ elew Kotwitz rzeczywiście uczęszcza do tej samej szkoły, rodzi to cały szereg nieporozumień, które o mały włos nie kończą się pojedynkiem. Właściwym tematem tej części powieści jest samotność, tym bardziej dojmująca, że wypełniona tęsknotą „za czymś nieokreślonym, czego nie mogło pojąć jego ograniczone otoczenie, ani zrazu on sam...” Młody junkier ucieka w świat poezji, lecz fakt, że pisze wiersze, musi ukrywać głęboko nawet przed kolegami. Scena, w której sekretny zeszyt dostaje się w łapy przełożonych, jest przejmująca. Jednak represje (specjalny capstrzyk, publiczne wyszydzenie poety, raport karny) nie załamują elewa von Zycewitz. Przeciwnie, to moment przełomu, w którym bohater świadomie rezygnuje z poezji i wkracza w świat filozofii, dociekając przyczyn ludzkiej podłości. Jest to zapowiedź trzeciej części powieści, w której dojrzały już Herman będzie pisał długie listy do Immanuela Kanta. Zanim jednak do tego dojdzie, nasz bohater – w części drugiej – przejdzie przez doświadczenie religijnych uniesień, małżeństwa, zdrady, rozczarowań i klęsk życiowych, po których wyląduje w Berlinie jako średniozamożny, rozwiedziony i samotny rentier. Oczywiście jest dziwakiem. Pożera książki całymi dniami, z wyjątkiem sobót, kiedy regularnie odwiedza swoją kochankę w podberlińskim letnisku. Usiłuje napisać dzieło *O znikomości atomów i natury ludzkiej*. Ironia Statlera ocala w tym momencie bohatera – mimo że jest on wybitnym filozofem jedynie w oczach swojej kochanki – czytelnik jest skłonny wybaczyć mu długie wywody podczas spacerów oraz ich wzniosły ton.

Przełom następuje, gdy nasz mizantrop czyta obie *Krytyki* Kanta – czystego i praktycznego rozumu. Najpierw pali własne dzieło („małe płatki zwęglonego papieru wirowały w kominku i ulatniały się bezpowrotnie jak marzenia przeszłości”), następnie zaś analizuje, interpretuje i komentuje poglądy Kanta, pisząc do niego poważne listy, adresowane do Królewca. Czytelnik, rzecz jasna, orientuje się w tym momencie, że Herman von Zycewicz wkracza w niebezpieczne obszary urojeń. Kant nie żyje już od wielu dziesięcioleci, a Urząd Pocztowy Regencji Prus Wschodnich odsyła listy z nieodmienną adnotacją, że „adresat nie zamieszkuje pod wskazanym adresem...” Nie przeszkadza to Hermanowi coraz głębiej zanurzać się w dylematy czasu i przestrzeni, rzeczy samej w sobie oraz autonomicznej etyki. Szczęśliwie dla swojej powieści Arnim Stattler nie czyni tutaj nudnego wykładu filozofii, ale wprowadza wątek sensacyjny. Niejaki Jürgen Saedlich, tajny agent berlińskiej policji, otrzymuje polecenie śledzenia Hermana von Zycewicz, którego listy adresowane do Immanuela Kanta zaczynają interesować władze.

Teraz historia robi się piętrowa: Jürgen Saedlich jest człowiekiem świetnie wykształconym i czytając dokładnie listy von Zycewicza, zaczyna zdawać sobie sprawę, że tworzą one głęboki, błyskotliwy i całościowy komentarz do kluczowych zagadnień filozofii Kanta, jakiego nikt jeszcze – w Niemczech i poza nimi – nie stworzył. Kiedy tajny agent wejdzie w zażyłość z kochanką bohatera, Bettiną, przeczyta w kolejnym liście: „jak zatem, skoro nie mogłem wybaczyć mojej żonie zdrady, mam stosować pański imperatyw, w którym żąda pan, aby zasada naszego postępowania mogła służyć w każdej chwili za zasadę postępowania wszystkich ludzi?”. Kiedy zaś tajny agent Saedlich (jest katolikiem) zwierzy się spowiednikowi ze swoich wątpliwości – czy Bóg istnieje? – przeczyta w następnym liście

Zycewitz do Kanta: „zgadzam się z panem, że p o w i n n i -
ś m y szukać najwyższego dobra, ale wcale z tego nie wynika to,
co pan twierdzi dalej, a mianowicie, że najwyższe dobro m u -
s i być zatem możliwe, zwłaszcza że wcześniej obala pan jak
kręgle wszystkie dowody na istnienie tradycyjnego Boga...”

Finał powieści jest zaskakujący. Zycewitz otrzymuje z Kró-
lewca jednozdaniowy list – „Niech pan przyjeżdża – Immanuel
Kant”. Saedlich nie potrafi ustalić, kto jest autorem żartu, wy-
rusza więc na wszelki wypadek do Königsbergu za swoim pod-
opiecznym. Ich rozmowa w przedziale bałtyckiego ekspresu
(Saedlich doskonale odgrywa nauczyciela gimnazjalnego)
dotyczy czasu i przestrzeni, które właśnie pokonują. Ostatnia
scena jest przejmująca: Zycewitz idzie główną ulicą Królewca
za konduktem żalobnym Immanuela Kanta, mamrocząc pod
nosem: „że też musiałem się tak spóźnić”, a tajny agent, obser-
wując siwego, zagubionego w tłumie starszego pana, który nie
zwraca uwagi na elektryczne tramwaje i pędzące automobile
– tajny agent Jürgen Saedlich uświadamia sobie nagle, że wła-
śnie minął kolejny, dwudziesty ósmy dzień lipca 1914 roku.
Może dlatego Arnim Stattler zatytułował swoją powieść *Der
Scherz*, co się tłumaczy po prostu jako *Żart*?

POR. CASTORP; CODEx FLORIAE; GDAŃSK, KWIECIEŃ 1773; KSIĘGA, WIEDEN 1893

Erotikos, rok 96

Piętnaście lat wcześniej, w roku 81, Tytus Flawiusz Domicjan,
obejmując władzę nad Impreium Rzymskim, wypowiedzieć
miał słynną sentencję: „Władca, który nie karci donosicieli, po-
dżega”. Według Swetoniusza, który przytacza to zdanie, młody
cesarz pragnął ukroczyć plagę donosów, wyznaczając surowe

kary dla fałszywych donosicieli. Jak na ironię, kiedy 18 września 96 roku do sypialni Domicjana wszedł zarządca dóbr, niejaki Stefan, zaanonowano, że przybywa w sprawie świeżo wykrytego spisku. Zamiast poufnych informacji Domicjan otrzymał kilka ciosów sztyletem i w ten sposób ostatni władca z rodu Flawiuszy zakończył życie. Następnego dnia senat obrał ceza-rem Marka Kokcejusza Nerwę.

Co jeszcze wydarzyło się w 96 roku? Prawdopodobnie wówczas spisano *Doktrynę dwunastu apostołów*, czyli *Didache* – zbiór wskazówek dotyczących chrztu, modlitwy, postów i eucharystii. Również w tym roku Klemens Rzymski napisał swój List do Koryntian, a słynny Apoloniusz z Tiany – mag, filozof i cudotwórca – otrzymał serię znaków zapowiadających jego rychłe wniebowstąpienie, które według Filostratosa dokonało się na Krecie około 97 roku.

Historia literatury starożytnej nie dostarcza zbyt często dokładnych dat powstania sławnych dzieł i zadowalać się musimy formułą „około” lub „pomiędzy”. Tak właśnie pisze we wstępie do dialogu *Erotikos* Plutarcha Kazimierz Korus – że powstał „około 96 roku, wkrótce po śmierci Domicjana”. Gdyby przesunąć tę datę nieco dalej, a więc na lata 97–100, cóż jeszcze należałoby wymienić ze starożytnego kalendarium? Zapewne zgon cesarza Nerwy, objęcie rządów przez Trajana, wydanie dzieła *O akweduktach Rzymu* pióra Sekstusa Frontinusa, odejście Józefa Flawiusza, a także śmierć Jana Apostoła.

Bieżące wydarzenia były jednak domeną kronikarzy i kiedy Plutarch w 96, a może 99 roku stawiał piewsze zdania swojego dialogu, nie myślał raczej o polityce, systemie dystrybucji wody w Rzymie ani o chrześcijańskich męczennikach. Tematem jego dzieła miała być miłość zmysłowa i duchowa, uniwersalne doświadczenie wszystkich ludzi, poddanych władzy Erosa i Afrodyty.

Szczęśliwie dla czytelnika – wyjściowa sytuacja, która staje się pretekstem dialogu, nie pozbawiona jest rysów komediowych. Efeb Bakchon, piękny osiemnastolatek, będący obiektem westchnień Pejsiasi, staje się równocześnie przedmiotem zabiegów Ismenodory, trzydziestoletniej wdowy – nie dość, że bogatej, to jeszcze urodziwej i cnotliwej. Który związek będzie korzystniejszy dla Bakchona? Pierwsza część dialogu to pojedynek pomiędzy zwolennikami miłości homoseksualnej i heteroseksualnej. Rzecz jasna, pierwsze skrzypce wiede Pejsiasi, wedle którego „żadna kobieta nie zna prawdziwej miłości”, czemu przytakuje Protogenes, łaskawie godząc się na stosunki mężczyzn z kobietami jedynie dla spłodzenia potomstwa, odmawiając im wszakże błogosławieństwa Erosa. Według tej argumentacji, pożądanie kobiety jest uleganiem niskim instynktom cielesnym, zaś miłość do pięknego efeba – wznoszeniem się ku szczytom filozofii i cnoty.

Przeczy temu Dafnajos: jeżeli nienaturalny stosunek cielesny pomiędzy mężczyznami nie wyklucza miłosnej czułości, to o ileż mocniej miłość mężczyzny z kobietą, według praw natury, doprowadza do przyjaźni i cnoty? Po stronie Pejsiasi i Protogenesa jest kilka wieków platońskiej tradycji, którą znają obie strony sporu. Czyż nie powiedziano w XXIX fragmencie *Uczty*, że „kto od kochania chłopców zaczął jak należy, a wznosząc się ciągle wyżej już to piękno oglądać zaczyna, ten stanął prawie u szczytu”? Ten argument zbija Dafnajos: pederastia, ubierając się w szaty przyjaźni, w istocie dąży także do rozkoszy cielesnej, tyle że pod płaszczykiem poszukiwania cnoty. Gimnazjony i palestry pełne są takich „filozofów”.

Przybycie posłańca z miasta zmienia sytuację dialogu. Okazuje się, że kiedy Bakchon przechodził obok domu Ismenodory, jej przyjaciele, „zawinawszy gładkiego chłopca w jego chlamide

i płaszcz, zanieśli go do jej domu i zabarykadowali drzwi”. Oburzony tą wiadomością Pejsias wykrzykuje, że „sama natura pogwałcona jest przez babskie panowanie”, na co ironiczny Soklaros wyjaśnia, iż porwanie było zapewne „sprytnym manewrem młodzieńca, który chroni się przed objęciami swoich miłośników”.

Dyskusja przechodzi teraz na nieco inny poziom i sam Plutarch zabiera w niej głos pierwszorzędny. Śmiało ustala nierozdzielność związku Afrodyty i Erosa, przestrzega przed ateizacją sumień, wygłasza wielką pochwałę wszelkiej miłości, pośród której miłość małżeńska pomiędzy mężczyzną a kobietą zdaje mu się najpiękniejsza i najgłębsza. „Cielesne obcowanie bez miłości – powiada – tak jak głód i pragnienie dąży do zaspokojenia, ale nie prowadzi do żadnego pięknego celu”.

Finał historii mógłby uwieńczyć nieistniejącą komedię Plauta: tłum zebrany przed drzwiami wdowy rezygnuje z próby odbicia efeba i z radością przyjmuje wiadomość o weselu, a Pejsias „pierwszy zgodził się na Ismenodore”, ponieważ pragnął bardzo „nałożyć biały płaszcz i wieniec, by móc poprowadzić orszak weselny do świątyni”.

Przez dzisiejszych zwolenników całkowitego liberalizmu seksualnego Plutarch niewątpliwie zostałby okrzyknięty konserwatystą i przedstawicielem społeczeństwa represyjnego, skoro już w pierwszej części dialogu zaznacza dyskretnie naturalność heteroseksualizmu i nienaturalność aktu cielesnego między mężczyznami. Ciekawe, jak skomentowałby telewizyjny obrazek, w którym dwaj uśmiechnięci homoseksualiści, złączeni węzłem małżeńskim, głaszczą po głowie adoptowanego dopiero co chłopczyka?

Ezra Pound

W geście porzucenia Ameryki Ezra Pound podobny był do T. S. Eliota. Podobnie jak on krytykował współczesną cywilizację, która – zwłaszcza w wydaniu amerykańskim – oferowała człowiekowi coraz więcej gadżetów i coraz mniej sensu. Dla kogoś urodzonego w Idaho i wykształconego w Pensylwanii mit Europy zdawał się wciąż ożywczym źródłem. Zupełnie jakby Grecja, Bizancjum, Rzym, a także średniowiecze katedr nadal promieniowały swoim tajemniczym światłem, rzucając na współczesność resztki dawnego blasku. W istocie trudno było o większe nieporozumienie.

Pound w roku 1908 pielgrzymuje do Europy, która ma coraz mniej wspólnego ze swoim wielkim duchowym dziedzictwem. Do Europy, która nie wierzy już w Europę. Do Europy, w której coraz więcej poetów, myślicieli, filozofów, artystów i polityków jest przekonanych o schyłku tradycyjnych europejskich wartości. W roku 1901 Marinetti wykrzykuje w Manifeście Futurystów: „Pragniemy wysławiać wojnę, jedyną uzdrowicielkę świata, militarizm, patriotyzm, niszczycielskie ramię Anarchisty [...], nie ma wspaniałego dzieła bez agresywności [...], będziemy opiewać agresywny ruch, gorączkową bezsenność, szybki marsz, salto, walkę na pięści, kastet”. Ów agresywny ruch nabierze rozmachu po pierwszej wojnie, kiedy dzieło Oswalda Spenglera o nieuchronnym upadku Zachodu rozejdzie się w tysiącach egzemplarzy, przekonując Europejczyków, że ich cywilizacja dawno już przegniła i jest skazana na zagładę. Awangardy Wschodu i Zachodu głosić będą Nową Sztukę dla Nowego Człowieka, którego wychowaniem zajmą się – już nie na papierze – nowi politycy.

Zdumiewające, do jakiego stopnia poeta tak wybitny jak Ezra Pound mógł się utożsamiać z „prawdziwą rewolucją europejskiego

ducha”, zapowiadana przez Nietzschego i Spenglera, ziszczona przez czarne, brunatne i czerwone koszule. Oznaczała ona przecież zaprzeczenie wartości nie tylko ludzkich, ale i artystycznych, w tym poetyckich. Wydała z siebie sztukę tak nędzną, że nie warto o niej nawet wspominać. A jednak. Pound upajał się nową retoryką, wzywał do likwidacji Żydów i amerykańskiej demokracji. Być może akces do faszyzmu był u Pounda efektem jego rozczarowania cywilizacją „kupiecko-merkantylną”, jak sam ją zwykł określać, jego nienawiści do liberalnego kapitalizmu, w którym stosunki międzyludzkie opierają się na pieniądzu i kredycie, a nie na poczuciu wspólnoty czy idei. Tęsknota za społeczeństwem ludzi złączonych czymś więcej niż troska o kurs giełdy czy płacę minimalną nie była niczym nowym ani wyjątkowym, zwłaszcza wśród poetów, i to nie tylko dwudziestowiecznych.

T. S. Eliot widział sprawy podobnie, cywilizacja Europy jawiła mu się jako ludzkie zbiorowisko, coraz bardziej wyplukiwane z wartości duchowych. Ale nie poszedł drogą Pounda i ostatecznie nie poparł nowego barbarzyństwa. Uważał, że najlepszym lekarstwem na kryzys jest trudne i mozolne sięganie do tradycji, tej dawnej i głębokiej, zwłaszcza chrześcijańskiej. Tylko w ten sposób wyrażeni ludzie współczesności mogliby odnaleźć ponownie sens swojej egzystencji, przywrócić utracone więzi, budować nową wspólnotę. Być może była to utopia, utopia naiwnego poety, ale w porównaniu z tym, co głosił Pound, głos Eliota ocalał czystość i poetyckie brzmienie. Eliot nie upadł tak jak Pound, który w radiowych pogadankach i artykułach powtarzał tezy o światowym spisku Żydów, burżuazji i bankierów, wymierzonym przeciwko „zdrowym i witalnym wspólnotom narodowej krwi”.

Gdy bełkoce polityk, jest to przykre i niebezpieczne. Gdy bełkoce poeta, i to poeta tak wybitny jak Ezra Pound, można jedynie ubolewać nad stanem zamącenia umysłów i nad tym, że zwycięża

ideologia. Zapisano tony papieru, relacjonując cierpienia Ezry Pounda, który po zwycięstwie aliantów został aresztowany przez wojska amerykańskie i osadzony w obozie karnym pod Pizą.

Zwłaszcza amerykańska lewica podniosła larum, gdy poetę osadzono w szpitalu dla psychicznie chorych, już w Waszyngtonie. Stał się bohaterem intelektualistów, dowodem na potworną represyjność systemu amerykańskiego, którym należało pogardzać, bo taka była moda. Te wzruszające apele, teksty i słowa pełne oburzenia są zupełnie niewzruszające. Wzrusza natomiast poezja Pounda – jej niezwykła precyzyjność, umiejętność łączenia tradycji wielu kultur, czasów, epok, osób, języków i obrazów. Porusza to, co Pound pisał o poezji w swoich esejach – że jest sztuką intensywności przeżyć, zagęszczenia znaczeń i pobudzania wyobraźni czytelnika.

Niewątpliwie Ezra Pound jako poeta godzien jest stanąć na Parnasie obok Rilkego, Milтона czy Horacego. Jako człowiek uwikłany w propagandę nienawiści przebywa na poziomie Rosenberga, Goebbelsa czy Lenina.

Gdyby Dante pisał swój poemat dzisiaj, miałby nie lada kłopot, w którym kręgu czyścica umieścić amerykańskiego poetę, autora zachwycających *Cantos* i sojusznika Mussoliniego.

Smutne jest to, że przypadek Ezry Pounda nie był w XX wieku odosobniony. Stara prawda Platona – że to, co piękne, powinno być także i dobre – została w Europie wyśmiana setki razy, jakkolwiek ożywcza siła tej idei ratuje Europę zawsze, ilekroć nadejdą barbarzyńcy. Także ci, którzy mówią nam dzisiaj: „sztuka się skończyła i puszka po coca-coli jest dziełem tej samej wartości, co obraz Leonarda”. Otóż nie, nie jest żadnym dziełem. Cokolwiek na ten temat twierdzą kolejne awangardy, kolejne instalacje i kolejni idioci.

Faulkner

To zdjęcie, wycięte z miesięcznika „Ameryka”, dostałem dawno temu. Przedstawia Williama Faulknera, stojącego przed drzwiami stodoły na jego własnej farmie. Trudno powiedzieć, co na tej fotografii jest bardziej niezwykle: wielkie, nieociosane, chropowate bierwiona, z których cieśla zbudował ścianę budynku, twarz pisarza czy jego strój. Laureat Nobla przypomina na tym zdjęciu jednego ze swych literackich bohaterów – białego, zubożalego farmera, który pod rządami Jankesów, zamknięty w sobie i melancholijny, rozpamiętuje minione klęski Południa, jego grzech i upadek. Dziurawe, drelichowe spodnie, drewniane saboty i absolutnie wysłużona marynarka kontrastują uderzająco ze szlachetnością rysów. Nie chce się wierzyć, ale tak było w istocie – Faulkner, nawet po otrzymaniu najwyższej literackiej nagrody świata, nie zmienił zasadniczo trybu życia. Gdy jeden z prestiżowych uniwersytetów amerykańskich zaprosił go na odczyt, odpisał najuprzejmiej, że nie może w proponowanym terminie przyjąć zaproszenia, jest bowiem farmerem i zbiory są dla niego ważniejsze niż uniwersyteckie odczyty. Nie była to poza. Wielka literatura, jaką pisał, wyrastała organicznie ze świata zaścianka, w którym żył i który kochał namiętną, gniewną miłością. Gorący oddech Południa, z jego krwawymi konfliktami, historią i nieodłącznym doświadczeniem klęski, Faulkner przetworzył w przypowieść o losie. Jest to przypowieść uniwersalna, tragiczna, przeniesiona w mit. Ameryka nie chciała takiego mitu. Na kartach jego dzieł nie znalazła amerykańskiego uśmiechu, amerykańskiego optymizmu, amerykańskiego postępu ani amerykańskiej higieny psychicznej. Może dlatego Faulkner jest dzisiaj przez amerykańską publiczność zapomniany. Moda na niego przeminęła, amery-

kańscy studenci zaś – pozbawieni jednolitego kanonu lektur – mylą go z Kiplingiem albo Tomaszem Mannem, też w końcu noblistą. Pokolenia młodsze wolą czytać powieści lesbijskie, w których problem orgazmu łączy się z walką o równouprawienie kobiet i z zagrożeniem atomowym. Mają innych klasyków – Hellera, Rotha czy Irvinga.

Czytając zwłaszcza tego ostatniego, można spostrzec, że literatura amerykańska stała się literaturą uniwersytecką w najściślejszym sensie tego słowa. Młody człowiek idzie na uniwersytet, bo pragnie zostać pisarzem. Jego pierwsza książka traktuje o tym, jak pisał swoją pierwszą książkę i jak w rezultacie tego zajęcia faktycznie pisarzem został. Druga powieść może na przykład opowiadać o tym, jak poznał swoją pierwszą żonę, koleżankę z pobliskiego college'u, która zakochała się w nim właśnie dlatego, że był pisarzem. Liryka szczęśliwego pożycia miesza się następnie z problemami natury seksualnej, które psychoanalityk rozstrzyga jakże bezlitośnie: żona pisarza też chciałaby pisać, ale jej podświadome pragnienia są tłumione przez bezwzględna, samczą i oczywiście falliczną w swojej istocie działalność literacką męża. Tu znajduje się klucz do powieści trzeciej, w której pisarz zatrudnia się na uniwersytecie jako profesor nauczający pisarstwa. Komplikacje z tym związane są oczywiste. Romans, a następnie miłość ze studentką szóstego semestru, nieunikniony rozwód z żoną, która – w końcu uwolniona – zaczyna sama pisać, a wreszcie pojawienie się pary rozkosznych bliźniaków, poczętych z żoną numer dwa – oto najbardziej lapidarny skrót fabuły. Do tego – jakże złośliwie przejaśkrawionego opisu, który nie jest przecież streszczeniem sympatycznych opowieści Irvinga, ale zarysem ich typowych tendencji – trzeba dorzucić jeszcze jeden szczegół: klimat. Klimat musi być OK, to znaczy luźny i swobodny. Czytelnik, zgodnie

z prawem hollywoodzkich scenariuszy, musi być co parę minut rozbawiony, aby – Boże broń – nie poczuł, że idzie tu o jakieś sprawy serio. Literatura tego stylu powinna być jak papier higieniczny – powszechnie dostępna, czysta, miękka, przyjemna w dotyku. Wyrastająca z doświadczeń uniwersyteckich, jest poza historią, poza konfliktami czasu. Jej babką była kontrkultura lat sześćdziesiątych, po której odziedziczyła zamiłowanie do odlotu i diety wegetariańskiej. Nie potrafi już mówić o miłości, bo tę zamienia na zabawne anegdoty o tym, czy staje, czy nie staje na widok wzmocnionej silikonem piersi partnerki. Optymizm zaprawiony mistrzowską ironią – to jej ostateczny horyzont.

Trudno domniemywać, co William Faulkner powiedziałby na świat przedstawiony w powieściach Johna Irvinga. I co powiedziałby o współczesnej Ameryce, w której znakomita większość pisarzy wzrasta na uniwersytetach, pisząc o życiu uniwersyteckim i nauczając na tychże uniwersytetach, jak zostać pisarzem. Wzruszyłyby ramionami? Splunął? A może powiedziałby kilka gorących słów, że pisarstwo, z którego wypłukano namiętność i szaleństwo, grzech i metafizykę, pisarstwo bez zapachu potu i smaku goryczy, jest warte dokładnie tyle, ile cały nasz świat elektronicznych mediów, czyli nic? Być może – i tak to sobie wyobrażam – zamiast mówić cokolwiek, William Faulkner uchyla wrota swojej stodoły, gdzie po żniwach stoją ustawione rzędem galony świeżej whisky. Próbuje jej piekielnych destylatów, pisarz myśli o swoim dziadku, który konno przemierzał w upale trzydzieści mil, aby spotykać się z ukochaną kobietą. „W tamtych czasach – mamroce, zamykając skrzypiące wrota stodoły – wszystko miało swoją cenę, podobnie jak dzisiaj, ale istniały także rzeczy i sprawy bezcenne”. Żłoty pył opada wolno na trawę, zapach starego drewna, whisky i trocin wiruje w po-



REMBRANDT HARMENSZ VAN RIJN *Ofiarowanie Izaaka*
olej na płótnie, 1635, fragment

wietrze jeszcze przez chwilę, a na podarowanej mi przed laty fotografii William Faulkner ma smutną, zamysłoną twarz. Jest to twarz, która niczego nie może reklamować. Podobnie jak zdarte drewniaki, dziurawe, drelichowe spodnie i absolutnie wysłużona marynarka.

POR. SPOON RIVER

Frankfurt, 21 września 1860

Nad ranem gorączka nieco opadła i wydawało mu się, że słyszy głos Adeli, rozbrzmiewający w sypialni, lecz przecież nie było to możliwe, siostra zmarła jedenaście lat temu, a w odwiecziny duchów, w owe zjawy z tamtego świata – tak ulubione przez literatów i publiczność – nie wierzył, a nawet wiarę tę na swój sposób zwalczał, rzecz jasna nie w swoich pismach (do takiego poziomu nie mógł ich przecież niżzyć), lecz w przekomarzaniach z Margarethą, nieodwracalną katoliczką, która prowadziła mu dom. „A cóż w tym niezwykłego – potrafiła spytać, dźwigając kosz z bielizną – że komu się pokaże święty albo i kto z rodziny, chociaż już dawno zmarły?”, na co fukał: „To tylko rzecz psychiki, moja pani Schnepf, owa, tak nieodparta, potrzeba wyobraźni...”. Lecz gospodyni nigdy nie dała się przekonać i sądził, że gdyby nawet przeczytała i pojęła Kanta, jej ogląd spraw zostałby niezmienny. Skoro zatem nie był to głos Adeli – rozważał dalej – może pojawił się tu Gwinner i widząc mnie drzemiącym, wycofał się bezgłośnie, ale przecież nie było zwyczajem adwokata (nawet jeśli przybywał tu do m i s t r z a pytać o zdrowie) składać uszanowanie rano, bez zapowiedzi, ostatnim zresztą razem wystarczająco długo ze sobą rozmawiali, pod koniec Wilhelm Gwinner powiedział: „Pańska filozofia,

teraz już sławna, jest jak zwierciadło prawdy, lecz nie wiem, czy tę prawdę zechcą przyjąć, taka jest gorzka”, na co przypomniał Gwinnerowi list od Brockhause, dokładnie sprzed lat czterdziestu dwóch. „Szanowny Panie Schopenhauer – pisał wydawca – mam nadzieję, że nie spełnią się moje niedobre przeczucia co do pańskiego dzieła i że po wydrukowaniu nie stanie się ono jedynie makulaturą”... Śmiali się z Gwinnerem głośno i teraz, przypominając sobie tembr głosu adwokata, jaki rozbrzmiewał w tej sypialni trzy dni temu, miał już pewność, że to nie jego słowa usłyszał był przed chwilą, jak również nie Adeli, że musiał je uchwycić gdzieś na granicy snu, z którego właśnie mozolnie się wydobył: był w Rzymie na via Condotti, moneta brzęknęła o marmurowy blat stolika „Café Greco”, a kelner o twarzy bałkańskiego Słowianina, dziękując za napitek, mówił staccato: „pan pewnie nie wie, szanowny panie, że właśnie przy tym samym stoliku, który szanowny pan raczy zajmować, rozmyślał swego czasu Goethe, a sam Goldoni pijał cianti”, tak, mimo wszystko był wówczas poruszony tą informacją – pewnie nie do końca ścisłą – Goldoni go nie obszedł, ale o Goethem – jak sobie teraz przypomina – pisała mu z Weimaru Adela: „podołała mu się w Twojej książce przejrzystość wykładu i styl...”; to było tylko tyle i aż tyle, Brockhaus donosił o kompletnej katastrofie, licząc na palcach jednej dłoni sprzedane egzemplarze, lecz wtedy jakoś nie przejął się tym zbytnio – Italia oddawała mu swój urok stopniowo, jak kochanka, właśnie opuszczał Rzym i jechał do Wenecji.

Przymknął powieki. Ulicą Schone Aussicht przejeżdżał właśnie wóz mleczarza, dudniąc obręczami kół po bruku. „Próć Ciebie – napisał chyba z Rialto do Adeli – nigdy nie pokochałbym żadnej kobiety niezmysłowo...”, a ona odpisała mu z Weimaru, że jest szalony i że ma nadzieję, iż nie skrzywdzi swojej

włoskiej przyjaciółki, o której wspomniał w liście. Jak to powiedział Gwinnerowi? W Italii wszystko jest takie, jakie być powinno: niebo, ziemia, drzewa, zwierzęta, twarze ludzi... A tu, na Północy? Takie, jakie z biedą zaledwie być może. Adwokat był dyskretny, nie stawiał wścibskich pytań, może dlatego jako jedyny usłyszał to wyznanie wprost: „w Wenecji zniewolił mnie urok miłości, zanim wewnętrzny głos nie nakazał mi się wyrwać z tego i pójść dalej, moją samotną drogą...” Adela chciała przyjechać wówczas do Wenecji i była pełna entuzjazmu: „na Twoim miejscu nie wypuszczałabym szczęścia z rąk – pisała – jeśli można być szczęśliwym, należy się cieszyć”. Wtedy domyślił się, że jednak nie czytała jego dzieła. Gdyby to uczyniła, wiedziałaby aż nadto dobrze, co to jest szczęście. Zaspokojenie zmysłów przynosi je chwilowo, połowicznie i zwodniczo, tak samo zresztą jak każda inna satysfakcja, o której pospolicie ludzie skłonni są myśleć jako o ostatecznym celu.

Z kanapy zerwał się pudel, jak zawsze obszczekiwał wóz mleczarza, stając przednimi łapami na parapecie okna. Jego pan otworzył oczy, ale tym razem nie zgromił ulubieńca, ponieważ myślami był na placu Świętego Marka, z tamtą kobietą o kasztanowych włosach. Nigdy nikomu nie opowiedział tylu rzeczy na raz. O świecie, który zdąża donikąd, czyli nie zdąża nigdzie. O dowodach na istnienie Boga, które obalił Kant. O błędnym i głupim mniemaniu Hegla, jakoby historia posiadała ukryty sens. O Gdańsku, w którym się urodził, o matce, której nie cierpiał, o siostrze, którą uwielbiał, i nieszczęśliwym ojcu, którego pamięć szanował nade wszystko. Słuchała go, zauroczona. Kilka dni później, gdy przechadzali się na Lido, minął ich, pędząc konno, lord Byron. Rozpoznała geniusza poezji, krzycząc z entuzjazmem: „ecco il poeta inglese!”. Nie powiedział jej, że ma do Byrona list polecający od Goethego. Nigdy nie wykorzystał tego

listu, nie spotkał się z Byronem i nie wyjawiał, kim była jego włoska przyjaciółka. Ponieważ w listach do Adeli występowała jako Teresa, niektórzy sądzili po latach, że była to młoda hrabina Teresa Guiccioli, późniejsza kochanka lorda Byrona. Teraz uśmiechnął się na tę myśl: owszem, widywał hrabinę Guiccioli, ale gdzież jej tam było do jego Dulcyniei. Dzień wstawał we Frankfurcie nieco mglisty i Gwinner, zasiadając do śniadania, nie mógł przypuszczać, że w tym samym momencie przestaje bić serce filozofa. Dzień później, gdy dawał nekrolog do gazety, próbował sobie wyobrazić jego ostatnią myśl, lecz nie zapisał w swych wspomnieniach, do jakich doszedł wniosków.

POR. APOLLINAIRE; GDAŃSK, KWIECIEŃ 1773

Gdańsk, kwiecień 1773

„Oświeceniem – pisze Immanuel Kant – nazywamy wyjście człowieka z niepełnoletności, w którą popadł z własnej winy. Niepełnoletność to niezdolność człowieka do posługiwania się własnym rozumem, bez obcego kierownictwa”. Trudno powiedzieć, czy z tak sformułowanym zdaniem królewieckiego filozofa zgodziłby się Ignacy Krasicki, biskup warmiński i poeta polskiego oświecenia. Jedynie wyobraźnia może nam podsunąć obraz tamtej rozmowy, która odbyła się w ogrodzie klasztorным oliwskiego opactwa w 1777 roku. Do spacerujących mężczyzn: biskupa Krasickiego i wojewody Ledóchowskiego podeszło czterech ciemno odzianych panów, przybyłych właśnie z Gdańska. Dwaj z nich byli nieznanymi dziś z nazwiska obywatelami miasta. O dwóch pozostałych biskup warmiński wiedział sporo: Jan Bernouilli i Natanael Mattias von Wolf należeli bowiem do intelektualnej elity tamtych czasów. Ich obecność w wielu towa-

rzystwach naukowych, ich publikacje, znane tak samo dobrze w Gdańsku, Królewcu, Warszawie, Berlinie czy Londynie, czyniły z nich ludzi znanych w wąskim, ale wpływowym kręgu europejskiego oświecenia.

Rozmowa była krótka, kurtuzyjna, a nie filozoficzna. Bardziej niż Janem Bernouillim biskup Krasicki interesował się von Wolfem. Wydany przez niego opis eksperymentalnego zaszczepienia ospy czterem córeczkom Henryka Trosieniera, kupca i rajcy gdańskiego, przed czterema laty wzbudzał sensację nie tylko nad Motławą. Odpowiadając sucho i rzeczowo na pytania księcia biskupa, von Wolf poirytował wojewodę. Ledóchowski nie lubił młodych, zbyt pewnych siebie, aroganckich ludzi, którzy medyczny fach mieli za oręż „przeciwno każdej rutynie i konwencjonalizmowi”. A na dodatek doktor nosił się z prostacka: zamiast przepisowego fraka – zwykły surdut, zamiast peruki – własne włosy, ufryzowane nową modą w harcap. Spacer zakończył się przy bramie i wojewoda westchnął z ulgą, gdy książę biskup łaskawie podziękował gościom za perypatetyczną pogawędkę. Zapewne żaden z jej uczestników nie przypuszczał nawet, że opis zaszczepienia ospy córeczkom Trosieniera po latach zostanie powtórzony w literackiej wersji, bynajmniej nie przez doktora Wolfa czy literata Bernouilliego. Jedną z dziewczynek poddanych eksperymentowi była Joanna Henrietta Trosiener, późniejsza pani Schopenhauer, matka światowej sławy filozofa, pisarka, której dzieła czytał z uznaniem Goethe.

W opisie tego wydarzenia zdumiewa wszystko. Najpierw decyzja i motyw ojca: pragnął, rzecz jasna, chronić córki przed śmiertelną chorobą, lecz z drugiej strony, będąc szermierzem oświecenia, „postanowił stawić czoło wszystkim sprzeciwom i skorzystać z pierwszej nadarzającej się okazji, aby opornym

współobywatelom postawić jako przykład przeprowadzenie tej kuracji na trzech najstarszych ukochanych córkach...” Taką okazją było pojawienie się w Gdańsku doktora Wolfa, o którym Jan Bernouilli pisze w swoich wspomnieniach, że był „człowiekiem równie uczciwym jak uczonym”, że swego czasu był zaufanym „sławnego księcia Adama Czartoryskiego”, a także że mieszkał przy Targu Węglowym, gdzie obok pracowni „udało mu się utworzyć niewielkie, wygodne obserwatorium astronomiczne...” Ów człowiek nauki i postępu nie musiał przekonywać Trosienera do eksperymentu, kupiec czytał europejskie dzienniki, w których niejedną raz pisano o nowej metodzie walki z ospą. Nie przerażały go przypadki nieudane, wierzył w naukę, chociaż – jak napisze po latach Joanna – „w poczuciu uczciwych zamiarów wynik powierzył z oddaniem Bogu...”

Dziewczynki poddano długotrwałemu postowi. Wreszcie „pewnego brzydkiego kwietniowego dnia wsadzono do pojazdów i wysadzono w najodleglejszym zakątku miasta, na środku brudnego, kurzego podwórka, przed starym i ubogim domem”. Mieszkała tam biedota, na czwartym piętrze, „pod rozwalonym dachem”, leżały dzieci chore na ospę. Trosienerówny musiały zostać na podwórku w obawie przed „zwykłym” zarażeniem. Pan Nixiux, rodzinny chirurg Trosienerów, dwadzieścia cztery razy wchodził na czwarte piętro, by pobrać z ran biedaków ropę zakażoną ospą. Na dole, pośród gdczących kur i prosięcego smrodu, doktor von Wolf zamaczał złotą igłę w dostarczonych wydzielinach, by następnie nakłuć ciała dziewczynek: każdej musiał zadać po osiem małych ranek. Całość szczepienia trwała więc dłużej niż godzinę.

Siostry zniosły tę operację doskonale, uodparaniając się łatwiej niż Joanna. Ona sama – jak pisze – w gorączce, z ospową krostą na oku (co groziło ślepotą), „upadała w omdleniu na

podłogę”. Dopiero po kilku dniach kryzys minął i doktor Nathanael Mattias von Wolf mógł uściskać dłonie Henryka Trosieniera na znak zwycięstwa nauki nad przesądem. Opis szczepienia krążył po mieście z rąk do rąk i stał się sensacją tyleż medyczną, co towarzyską. Joanna Schopenhauer nie wspomina w swych pamiętnikach, w jakiej dzielnicy był ów dom biedaków, gdzie zawieszono je chłodnego, kwietniowego dnia. Nie pisze również, czy dzieci, od których pobierano ropę, przeżyły własną ospę i jaką zapłatę dano ich rodzicom. Mówi natomiast o doktorze Wolfie, że stał się lekarzem „wszystkich bogatych i wysoko postawionych ludzi”. Sukces nie pozbawił go wszakże właściwych mu, dziwacznym przywar człowieka oświecenia. Osobiście nadzorował wykopanie grobu na Biskupiej Górcie, w którym życzył sobie być pochowany, i z którego następnie – po stu latach – pragnął zostać wydobyty dla celów naukowych. W roku 1869 grób otwarto, choć nic nie wskazuje na to, by ta ofiara doktora Wolfa przyniosła Gdańskiemu Towarzystwu Przyrodniczemu odkrycia w dziedzinie medycyny.

Zmieniły się czasy. W nowej epoce pary i maszyny postęp wykuwano w laboratoriach uniwersytetów, a zdolność „człowieka do posługiwania się własnym rozumem bez obcego kierownictwa” – tak jak pojmował ją Kant i Henryk Trosiener, kupiec gdański została wkrótce zakwestionowana, między innymi przez Artura, syna Joanny Schopenhauer.

FOR. „DER SCHERZ”; GDAŃSK, MARZEC 1793; JEJ MOŚĆ MAGDALENA

Gdańsk, marzec 1793

Zapewne bardziej filmowo wyglądałoby to latem. Najpierw zieleń wzgórz, które przechodząc w tarasowe ogrody i park,

otaczają pałacyk, staw z wyspą i oficynę. Potem widok z okna salonu, daleka perspektywa zatoki: po lewej stronie pasek Helu, na wprost punkciki żaglowców, po prawej maleńka kropka twierdzy Wisłoujście. Żadnej muzyki. Klawikord sprzedano Huberowi kilka tygodni temu. Pokrowce zaciągnięte na meble i puste ślady po obrazach zapowiadają długą nieobecność gospodarzy. Już na pierwszy rzut oka widać sporą różnicę wieku między nimi. Henryk Floris Schopenhauer ma w tej chwili czterdzieści sześć lat. Jego żona Joanna – dwadzieścia siedem. Ich syn, Artur, zaledwie pięć, i to on mógłby być bohaterem tej sceny: jak zawsze niesforny, przepadł gdzieś w parku i chociaż spakowane są już kufry i pudła z kapeluszami, woźnica i konie muszą cierpliwie czekać. „Co z tą Agatą – mówi Henryk Floris – miała go zaraz przyprowadzić”. Nie doczekawszy odpowiedzi, wychodzi przed fronton, mija fontannę, strumień i zatrzymawszy się pod rozłożystym dębem, nawołuje syna i służącą. Pani Joanna milczy, nie odrywając wzroku od okna. Ma na sobie nową, błękitną suknię, lecz pudermantel przełożony przez poręcz fotela to ten sam, który służył jej dawno temu, w podróży do Berlina, Paryża i Londynu. Zanim Henryk Floris i Agata odnajdą Artura, upłynie jeszcze kilka minut. Ten czas, obiektywnie krótki, w myślach pani Joanny wypełnia się latami wspomnień i niewątpliwie jej sentymentalna dusza odczuwa ciężar tego pożegnania jako nieznośnie trudny i bolesny.

O czym myślała? Być może o Kasi. Od niej słyszała polskie słowa i modlitwy wcześniej, niż zaczęto ją ich uczyć po niemiecku. To Kasia pewnego ranka, kiedy mężczyźni z całego miasta zaczęli gromadzić się przed ratuszem, powiedziała zapamiętane potem zdanie: „Prusak przyszedł w nocy!” I nie kto inny niż Kasia przetłumaczył słowa Andriuszy, służącego rosyjskich kupców, kiedy ten chłopiec zrobił awanturę ulicznemu

sprzedawcy ptaków w klatkach. A może pomyślała o kandydacie Kuschel? Kiedy przed pięciu laty zmarł, ledwie objawszy parafię Ujeścisko, zastanawiała się: „jak mogłam się w nim kochać?”. Kandydat na pastora Kuschel: brzydka, nieregularna twarz, młodzieńczo gorejące oczy, długie godziny w jej panińskim domu. Lekcje religii, lektura książki Lavatera, w której fizjonomika mieszała się z mistyką, podarowana wstążka i rysunek, na koniec interwencja matki.

Jej druga wielka miłość: Chodowiecki. Widziała go przy pracy w Gdańsku. Po kilku latach oświadczyła rodzicom, że chce się kształcić w Berlinie na malarkę, właśnie u niego. Śmiech ojca – czy córka kupca może pragnąć uprawiania rzemiosła? Uwaga matki – już sama myśl o tym poniża ciebie i twoją rodzinę. Ojciec był cholerykiem. Najcieplej zapamiętała go z letnich wieczorów, kiedy zapalał fajkę pod kasztanem, na ich przedprożu przy Świętego Ducha. Matka była dyskretna – słowem nie wspomniała ojcu o oświadczeniach kandydata Kuschela. Więc nie została pastorową ani malarką. A Henryk Floris?

Demokratyczne ideały, niechęć do Prus, niezwykła zręczność w interesach, dwór na Oruni, dom w Gdańsku, no i ta przepiękna posiadłość przy Polankach. Kiedy generał von Raum podczas blokady miasta chciał wydać Schopenhauerom specjalne zezwolenie na dowóz furazu dla koni, jej przyszły mąż odpowiedział: „dziękuję pruskiemu generałowi za uprzejmość, stajnia moja jest dostatecznie zaopatrzona, a gdy się zapasy skończą, każę konie zabić”. Wiele lat wcześniej, w Berlinie, Henryk Floris rozmawiał z Fryderykiem Wielkim w cztery oczy. Nie był tak ironiczny jak wobec von Rauma, ale odrzucił stanowiska i zaszczyty. Wolał być gdańszczaninem, wolnym obywatelem, niż poddanym króla. Tak, Henryk Floris spodobał się jej ojcu, otoczył ją luksusem, a najważniejsze przy tym, że nie wymagał,

aby udawała wielką miłość i nie obrzydzała życia drobnymi zardrostkami. Nigdy wprawdzie nie tańczył poloneza tak jak potrafią to Polacy, ale czy taniec potrzebny był do szczęścia w takim jak ich małżeństwie?

Na żywiwej alejce słyhać już kroki. Odnaleziony Artur, idąc pomiędzy Agatą i Henrykiem Florisem, śpiewa dziecięcą wyliczankę. Agata i dziecko wsiadają do powozu, a Henryk Floris raz jeszcze wkracza do salonu. „Joanno – mówi – już czas”. Jak chciała, a jak powinna była mu odpowiedzieć? „Dlaczego musimy stąd wyjechać?” To ich łączyło: nienawiść do absolutyzmu i Prus, republikańska egzaltacja, długie rozmowy na temat francuskiej rewolucji, smutek i gorycz z powodu beznadziejnej niemocy Polski. Gdyby tak powiedziała – „dlaczego musimy stąd wyjechać?” – być może wybuchłaby między nimi sprzeczka, naprawdę pierwsza w ich małżeństwie, ale nie powiedziała tego. Scena przedstawia oboje Schopenhauerów wsiadających zgodnie do powozu. Woźnica zacina konie, zaprzęg, wyjechawszy z posiadłości, skręca w lewo i linią dzisiejszej ulicy Polanki kieruje się ku Oliwie.

Zapewne tak mogłaby wyglądać ta chwila, ale Prusacy zajęli miasto w marcu, a nie latem. Henryk Floris stwierdził, że nie wytrzyma tutaj ani dnia dłużej. Z ogromną stratą dla własnych interesów postanawia opuścić Gdańsk na zawsze, nie mogąc się pogodzić z upadkiem swej ukochanej republiki. Tamtego pamiętnego dnia powóz państwa Schopenhauerów wyjechał z miasta, a nie spod rezydencji wiejskiej przy Polankach. Trzykrotnie zatrzymywany przez pruskie patrole, wreszcie rozkolebał się w błotnisto-śnieżnej mazi traktu.

Było zimno. Pani Joanna nałożyła mufkę, a Henryk Floris, mimo szarówki i wstrząsów wehikułu, kartkował Senekę. Mgła osiadła nad zatoką i wzgórzami. Fryderyk II Wilhelm podpisał

dekret o aneksji. Spichlerze nad Motławą nie były jeszcze puste, choć kronikarze zanotowali tej wiosny niezwykłą aktywność szcurów.

POR. FRANKFURT, 21 WRZEŚNIA 1860 ; GDAŃSK, KWIECIEŃ 1773

Gławrepertkom

To słowo prześladowało go przez wiele lat i miewał takie chwile, w których zazdrościł Gogolowi. Gdy po ostatnich słowach *Rewizora* w teatrze zapadła ciężka cisza, sam imperator Rosji, obecny na premierze, zaklaskał w dłonie i wypowiedział słynne zdanie: „każdemu dostało się wedle rangi”. Teraz nie było cara Mikołaja, jego miejsce zajmował Stalin, a Główny Komitet Repertuarów Teatralnych wyrósł na instytucję, bez której nie można było postawić nawet przecinka. Być może marzył o powtórzeniu tamtej sytuacji: oto wódz rewolucji ogląda jego sztukę i rozbawiony klaszcze w dłonie. Ten akt najwyższej aprobaty byłby jak namaszczenie. Sam autor czułby się bezpiecznie, a jego teksty wreszcie znalazłyby odbiorców. Lecz porównanie obu epok musiało doprowadzić do wniosków skrajnie oczywistych. Stalin to nie był car Mikołaj, a wszystkie dawne instytucje terroru, ucisku i cenzury wobec pomysłów nowego dyktatora zdawały się patryjarchalnie pieszczotliwe. Miejsce pisarza było w szeregu i ktoś, kto tego nie pojmował dostatecznie, w najlepszym razie liczyć mógł na zapomnienie, głód i nędzę. Inni ginęli od kul oprawców albo dogorywali w jednym z tysięcy łągrów Archipelagu Gułag.

Zdumiewające były wiara i nadzieja Bułhakowa, że właśnie w dziedzinie twórczości dramatycznej osiągnie sukces, który wyznaczy mu należne miejsce w hierarchii literackiej Rosji. Ta

miłość do teatru, której wierny pozostał całe życie, być może pozwalała mu w najgorszych chwilach wracać pamięcią w czasy szczęśliwe i bezpieczne. Rodzinny dom pisarza, inteligentki, klasycznie po rosyjsku otwarty i życzliwy muzom, zabawy teatralne szczególnie doceniał i promował. Na fotografii z roku 1903 widzimy rodzeństwo Bułhakowów, które wraz z przyjaciółmi wystawia *Księżniczkę na grochu*. Spektakl zagrano na cele dobroczynne, w pierwszym rzędzie po prawej siedzi przyszły autor *Mistrza i Małgorzaty*, przebrany za ducha lasów. Miał wtedy dwanaście lat i chłonał czechowowską atmosferę wiejskiego domu w Buczy, do którego latem zjeżdżała z Kijowa cała rodzina i tłumy przyjaciół. Dokładnie dwanaście lat później, w roku 1915, dwudziestoczteroletni Michał Bułhakow jako student medycyny pełnić będzie służbę w wojskowych lazaretach, podczas gdy w domu w Buczy – mimo działań wojennych – nadal celebrytuje się dawne formy życia. Świadczy o tym fotografia siostry pisarza, Warwary, z jej przyjaciółką Uszakową: w letnim ogrodzie, na tle bujnej zieleni parku, biało odziane panny ćwiczą pantomimiczną scenę. Ta fotografia jest przejmująca niczym *requiem* dla odchodzącej w niebyt Rosji. Dwa lata później dom w Buczy spłonie, rewolucyjne prawo zmiecie inteligencję raz na zawsze, a wszystko, co w rosyjskiej kulturze piękne i delikatne, zaleje rzeka prostactwa, chamstwa i prymitywnej propagandy.

Bułhakow nie miał politycznych złudzeń, jak tylu innych „poputczików” rewolucji. W 1919 roku pisze artykuł *Perspektywy na przyszłość*, z którego wynika jednoznaczna ocena władzy bolszewickiej. Żadna świetlana przyszłość nie czeka Rosji, nie może bowiem wynikać nic dobrego z morza przelanej krwi, terroru i barbarzyństwa, które w sztafażu robotniczo-rolniczej krzepy osiągną wymiar realnie apokaliptyczny. A jednak –

jako pisarz – miał złudzenia. Zdawało mu się, że siła argumentów zawartych w literackim tekście, jego kwalifikacja artystyczna, podobnie jak poszukiwanie prawdy, będą cenione nawet w tak nieludzkich warunkach, jakie zgotowali Rosji Lenin z Trockim. Za to złudzenie przyjdzie mu zapłacić w dwojakim sensie. Po pierwsze – marginalizacją. Po drugie – otarciem się o służalstwo władzy, której nie cierpiał, lecz której – krok po kroku – zmuszony był ustępować.

Historia *Dni Turbinów*, *Mieszkania Zojki* czy *Szkarłatnej Wyspy* pokazuje tę drogę dotkliwie i brutalnie. Sztuki okłaskiwane przez publiczność, wielbione przez aktorów schodzą z afisza prędko, w prasie zaczyna się nagonka, a urzędnicy Głównemu Repertoriemu skreślają Bułhakowa z listy pisarzy prawomyślnych, co równoznaczne jest z wyrokiem śmierci, jakkolwiek odłożonym w czasie. Bułhakow, pozbawiony środków do życia, zdesperowany, pisze list do Stalina. Dyktator dzwoni do pisarza i obiecuje pomoc. Rozmowa kota z myszą kończy się zawieszeniem: Bułhakow dostaje pracę w teatrze, lecz jego sztuki i książka o Moliere trafiają do szuflady. A kiedy na zamówienie Komitetu napisze sztukę o Stalinie, którą sam zainteresowany odrzuci z irytacją, pisarz poczuje najdosłowniej zaciskającą się na szyi pętlę. I w tym momencie swojego życia wróci do prozy, rozpoczynając – bez żadnych nadziei na publikację – *Mistrza i Malgorzatę*.

Jest paradoksem, że właśnie powieściowe, a nie teatralne dzieło przyniosło mu pośmiertną sławę w skali całego globu. Poprawiał je do śmierci, ciężko już chory na niewydolność nerek, drżąc tylko o losy rękopisu. Nie jest natomiast przypadkiem, że losy bohaterów arcydzieła krzyżują się w teatrze „Variete”: podrzędnej moskiewskiej instytucji artystycznej, która niczym soczewka skupia w sobie całą głupotę, tandetę i grozę

tamtych czasów. Bułhakow zmarł 10 kwietnia 1940 roku. Od słynnego przemówienia Mołotowa, w którym sojusz Hitlera i Stalina sławiony był w niebogłosy, w którym Polska przyrównana została do pokracznego bękarta Traktatu Wersalskiego i w którym Anglia z Francją nazwane zostały agresorami, upłynęło kilka miesięcy. Bułhakow – osamotniony, niewidomy, trawiony przez gorączkę – nie zdradzał już zainteresowania bieżącą polityką, dyktując ostatnie poprawki. Ten obraz Mistrza, rzucającego dzieło w ciemną otchłań historii, jest przejmujący dla wszystkich wielbicieli jego arcydzieła. Jako jeden z nich, mogę polecić biografię Bułhakowa pióra Marianne Gourg, wydaną przez „Czytelnika”. Rzadko lektura obowiązkowa bywa tak bardzo zajmująca.

POR. EZRA POUND; HERONDAS; MARSOWE POLE 1831; PALAC ZIMOWY, KWIECIEŃ 1998

Haidgasse, rok 1927

Pani Weinreb nie była kobietą atrakcyjną. Gdyby czytelnik dzieła Eliasa Canettiego mógł podróżować w czasie i w roku 1927 znalazł się w Wiedniu przy ulicy Haidgasse, zapewne nie zwróciłby uwagi na jej twarz, którą po latach pisarz określił jako „ciemną” i „psią”. Takie bywają wszakże nieoczekiwane związki życia i literatury: oto dwie zupełnie od siebie niezależne nitki biografii spletają się ze sobą na krótki moment, by wiele lat później rozbłysnąć niezwykłym epizodem pośród wielusetstronicowej opowieści.

Kim była pani Weinreb? Nikim ważnym. W roku 1926 Elias Canetti, wówczas młody student chemii, poszukiwał pokoju do wynajęcia w bliskim sądziedztwie Praterstrasse. Panią Weinreb, a raczej lokum przez nią oferowane, polecili Canettiemu

znajomi, których syn mieszkał tam wcześniej. Ta, zdawałoby się, pospolita sytuacja – warta być może jedynie linijki w trytomowej i tak bogatej epicko autobiografii pisarza – miała jednak w sobie coś niezwykłego, skoro poświęcił jej cały rozdział pod obiecującym tytułem – „Pani Weinreb i kat”. Rozdział – dodajmy – intrygujący z dwóch powodów. Po pierwsze, zawiera w sobie to, co zwykle się określać mianem mrocznego, wiedeńskiego erotyzmu z przełomu wieków. Po drugie, ukazuje jak na dłoni pisarską metodę Canettiego.

Tytułowy kat wcale nie jest mężczyzną. To gospodyni pani Weinreb – „potężna, masywna osoba w średnim wieku”, która „miała mocno wystające kości policzkowe i gniewną twarz, wyglądającą jeszcze o wiele groźniej, gdy się uśmiechała. Wyglądała tak – wspomina Canetti – jak sobie wówczas wyobrażałem kata, nie zdziwiłbym się, gdyby spoliczkowała mnie na powitanie”. Lecz w mieszkaniu Haidgasse nic takiego – rzecz jasna – się nie wydarzyło.

Monstrualna ta osoba związana była z kimś trzecim, kto również mieszkał pod łaskawym dachem pani Weinreb. Tym kimś okazuje się Rużena, młoda i krzepka Czeszka, niczym wciele nie sił witalnych, która łączy ze sobą obie wspomniane już kobiety. Jej dwuznaczna przeszłość, znana studentowi chemii z opowiadań przyjaciół, jej egzotycznie brzmiące, czeskie imię, wreszcie jej plebejska i jakże pociągająca uroda, wszystko to czyni postać Rużeny intrygującą dla lokatora.

A jednak żaden prosty schemat – w rodzaju „panicz i służąca” – nie rozegrał się w cichym mieszkaniu przy Haidgasse. Student chemii był wierny swojej ukochanej przyjaciółce Vezie, i z nią spędzał większość wolnych chwil. Z zabawnym wobec siebie dystansem Canetti opisuje tamtą scenę pokuszenia, z której po latach wydestyluje erotyczny fantazmat służącej-Czesz-

ki. Przaśny zapach jej ciała, ubijana silnymi, białymi ramionami pierzyna, lśniące sploty bujnych włosów, a wreszcie – „wysoko spiętrzona góra tyłka”, wszystko to przesłonił w pamięci jej niebywale piskliwy głos, który wówczas, w sypialni, „zniweczył całkowicie wrażenie jej urody i oddania”. Ta godna pochwały powściągliwość została jednak studentowi chemii sownie wynagrodzona, być może właśnie po to, żeby po latach – już jako pisarz – mógł skreślić ten epizod. Oto pewnego dnia przez uchylone drzwi kuchni ujrzał, zwabiony tam odgłosem egzekucji, kata-gospodynię z biczem w dłoni i obnażoną w pół Rużenę. I chociaż scena ta dla mimowolnego obserwatora wydawać się mogła bardziej groteskowa niż bulwersująca, łatwo odczytać jej erotyczny podtekst: Rużena co pewien czas karana jest przez swoją ciotkę za dawne występki, a związek obu kobiet, ujęty w sadomasochistyczną relację kata i ofiary, dostarcza tym osobom perwersyjnej przyjemności.

Cóż na to pani Weinreb? Milcząca, cicha, sterroryzowana przez własną gospodynię i służącą, za dnia przemyka ledwie przez mieszkanie. Ale i ona ma swoją tajemnicę. Nocą, gdy inni śpią, krąży od pokoju do pokoju, by odprawić wdowi rytuał: zdejmuje ze ścian portrety zmarłego męża – a jest ich kilkanaście – obwachuje płótna od ich spodniej strony, a wreszcie oblizuje je językiem. Misterium to – tyleż dziwaczne, co odrażające – pisarz zaobserwował w wynajmowanym przez siebie pokoju właśnie nocą, gdy przebudzony niezwykle odgłosami ujrzał panią Weinreb, która „stała się psem i wydawała się z tego zadowolona...”

Zwyczajne mieszkanie typowej wdowy okazuje się więc miejscem pełnym mrocznych namiętności i dewiacji. Niczym w teorii Freuda – „prawda” ukrywa się pod powierzchnią, w zakamarkach. Aż strach pomyśleć, co z takiej sceny zrobiłby Kaf-

ka, Genet czy Sartre. Lecz nie Canetti. Tok jego opowieści jest rzeczowy, zaledwie w kilku miejscach ironiczny, zupełnie nie-epatujący czytelnika. Taką metodę przyjął we wszystkich trzech tomach swojej autobiografii i nie widzi powodu, by nawet w tak niecodziennej sytuacji cokolwiek wyolbrzymiać, wypełniać intelektualnym komentarzem czy przekształcać w surrealistyczną wizję teatru okrucieństwa i absurdu. W tym sensie Canetti nie jest dzieckiem XX wieku. Jego dewiza to powściągliwa ironia, dyskretna elegancja stylu, a wreszcie mowa faktów przefiltrowanych przez doświadczenie upływającego czasu. Jest delikatny i to stanowi o niezwykłej sile jego trylogii wspomnień.

POR. ALEKSANDRIA, ROK 1886; KSIĘGA, WIEN 1893

Herondas

Odsłona pierwsza tej historii nie ma nic wspólnego z Herondasem, greckim autorem scenek rodzajowych, nie zawsze pierwszej próby. Herondas żył i pisał swoje skecze w III wieku przed Chrystusem, natomiast akcja opowieści, którą tu przytaczamy, dzieje się około siedmiuset lat później, w IV wieku naszej ery, gdy o Herondasie pamiętali już tylko nieliczni filologowie i aktorzy. Jego imię zostanie jednak przywołane, ponieważ bohaterami tego scenariusza są właśnie aktor i filolog: ten pierwszy ma na imię Hezechiusz i jest poganinem, drugi natomiast pełni wysoki urząd biskupa Hippony i jako Augustyn zostanie przez Kościół wyniesiony na ołtarze.

Pierwsza odsłona otwiera nam widok na skryptorium, przylegające do hippońskiej bazyliki. Jest późny wieczór, w migotającym świetle lamp oliwnych Augustyn pochyla się nad kartą

działa, które pisze od lat i którego końca wciąż jeszcze nie wi-
dać: *De civitas Dei – O państwie Bożym*. Kroki diakona odry-
wiają go od pisania i ten zrównoważony biskup tym razem nie
może ukryć irytacji: powiedział przecież wyraźnie, by o tej
porze nikt nie przeszkadzał mu już w pracy. Czyż nie zmitrężył
prawie całego dnia, rozsądzając spór między braćmi Maksymiu-
szami o spadek ziemski? Czyż nie przewodniczył komisji roz-
dzielającej pieniądze Melanii i Pinianusa pomiędzy najbied-
niejszych w gminie? Czyż nie przyjął sekretarza prokonsula
w sprawie bojówek donatystów, które na drodze do Tagasty
napadały zbrojnie na katolików? Diakon wie o tym wszystkim
oczywiście, lecz trudno nie przekazać biskupowi prośby wdowy
Priscilli, która – jak zawsze – swe zwariowane zachcianki i pro-
tekcje zrealizować chce natychmiast. Że trudno odmówić oso-
bie tak wpływowej, wiedzą obaj – diakon i biskup, dlatego
Augustyn z rezygnacją skinie głową, a do skryptorium nieśmia-
łym krokiem wejdzie Hezechiusz, znany w prowincji mim, ak-
tor uwielbiany przez tłumy.

Augustyn jest zdumiony: chrzest? Czyżby Hezechiusz nie
wiedział, że aby go otrzymać, musi porzucić swój zawód? Nie
tylko państwo ma w pogardzie mimów, broniąc im zajmowania
jakichkolwiek urzędów. Także Kościół ma swoje wymagania:
ten, kto wykonuje zawód w cieniu domów publicznych, pogań-
skich świątyń i uroczystości, nie może być członkiem wspólno-
ty. Hezechiusz mówi, że zgadza się na wszystko, tak, wdowa
Priscilla, jego potężna protektorka, udzieliła mu już pierwszych
lekcji wiary. Łaknie boskiego światła prawdy mocniej niż sławy
i pieniędzy. Augustyn kończy posłuchanie, wydając diakono-
wi polecenie, by Hezechiusza włączono do grupy katechume-
nów, czyli tych, którzy poznając pismo i uczestnicząc we wspól-
nocie, przygotowują się do chrztu.

Po kilkunastu miesiącach odsłona druga ma oprawę uroczystą i towarzyszy jej dreszcz sensacji. Któż w mieście nie znał Hezechiusza? Któż nie podziwiał jego występów? Któż z mężczyzn i kobiet nie doznawał przyjemności, patrząc na jego piękne ciało? Któż nie zazdrościł mu bogactwa i sławy? O tym wszystkim w wypełnionej po brzegi bazylice mówi teraz Augustyn. Zręcznie cytuje Tertuliana, podkreślając, że chrześcijanie nie chcą mieć nic wspólnego ani z szaleństwem cyrku, ani z bezwstydem teatru. Czyż to nie skandal, że honoraria mimów wynoszą nieraz i sto tysięcy sesterców rocznie, podczas gdy skromna i pobożna wdowa po legionście musi utrzymać swą rodzinę za niecałych pięćset? A czymże jest owo tłumne uwielbienie mimów, jeśli nie zgubnym kultem idoli, pogańską furtką do czczenia mrocznej rozkoszy pod płaszczykiem sztuki? Nieprzyzwoite dialogi, sprośne inscenizacje, ohydnie wyuzdane gesty – oto, co spływa ze scen teatrów i zatruwa dusze. Mąż, który wraca ze spektaklu, marzy o pięknej aktorce i nie dostrzega wdzięku swojej niemłodej żony. A ileż razy zamiast do rodziny trafi do domu publicznego, gdzie swoje żądze zaspokoi z tymi, których przed chwilą widział na scenie? Trzoda biskupa słucha tych słów w skupieniu: nie ma w nich żadnej przesady, Augustyn jest realistą, nie jeden ze słuchaczy zna doskonale portyk, przez który z teatru wchodzi się wprost do burdelu. Tym większe więc wzruszenie ogarnia zebranych, gdy biskup osobiście udziela chrztu Hezechiuszowi. Płaczą niemal wszyscy, także diakoni i wdowa Priscilla, autorka tego spektaklu.

Odsłona trzecia ma ścisły związek z meandrami psychologii i przemysłem stoczniowym. Hezechiusz, oddawszy tylko niewielką część swego majątku gminie, resztę zainwestował w upadającą stocznnię Pilajkosa. Stał się obywatelem szanowa-

nym, zwłaszcza gdy z zadłużonej firmy, uczynił kwitujące przedsiębiorstwo. Omijał teatr. Ale może zbyt często, wracając z biura, odwiedzał portową tawernę „Pod Delfinem”? To właśnie tam widzimy go w przebraniu mima, gdy *incognito*, skryty pod grubą warstwą szminki, odgrywa dialogi Herondasa. Gawiedzi szczególnie podoba się ta scena, gdy aktor głosem i gestykulacją oddaje rozmowę dwóch kobiet. Herondas zatytułował ten dialog *Przyjaciółki* – jego pikantna treść w łacińskim przekładzie i wykonaniu nieznanego mima roześmiesz widzów do łez. Równie podoba się *Rajfurka* i *Kobiety w świątyni Asklepiosa*. Hezechiusz prowadzi więc podwójne życie. Nie dla pieniędzy teraz gra, lecz dlatego że nie potrafi przestać być aktorem. Rzecz jasna, jego *incognito* zostanie już wkrótce ujawnione, co doprowadzi tę historię do odsłony czwartej.

Ekskomunika, ogłoszona od ołtarza, nie jest już tak uroczysta jak chrzest. Biskup Hippony wyraża smutek z powodu straty tej duszy i snuje refleksję filozoficzną: czyż nie jest tak, że w naszej walce z szatanem, grzechem i ciałem – zdani wyłącznie na siebie – zawsze przegrywamy? Dlatego niezbędną jest łaska, a tej Bóg udziela komu chce i kiedy chce.

W odsłonie piątej widzimy Hezechiusza wstępującego na statek płynący z Hippony do Rzymu. Nie mógł znieść atmosfery, jaka się wokół niego wytworzyła. Chrześcijanie potępili go pryncypialnie, poganie smagali szyderstwem, układając wierszyki o właścicielu stoczni odgrywającym rajfurki i kochasiów. I to już koniec historii o aktorze i biskupie, która wydarzyła się w rzymskiej prowincji Afryki Prokonsularnej pod koniec IV wieku. Resztę dopisze historia.

Hezechiusz zginie w Rzymie, w roku 410, gdy wieczne miasto – i imperium – padnie pod ciosami Alaryka i jego gockiej hordy. Augustyn umrze w Hipponie dwanaście lat później, na

rok przed spustoszeniem jego miasta i prowincji przez Wandalów. A pisma Herondasa? Zostaną całkowicie zapomniane, znikną ze sceny i świadomości historyków na długie lata. Dopiero w roku 1890, dzięki odkryciu papirusowego zwoju, imię greckiego poety znów stało się sławne w Europie. Jego dialogowe scenki nie mogły już zgorszyć nikogo. Okazały się natomiast bezcennym źródłem poznania obyczajów i języka ludzi portowego miasta z III wieku przed Chrystusem. Gdyby dzisiaj zagrał je hollywoodzki aktor, zapewne nie odniósłby sukcesu. Podobnie jak żaden biskup nie zwróciłby na to najmniejszej uwagi, choć niewątpliwie można traktować Herondasa jako nieśmiałego, delikatnego i pełnego wdzięku prekursora współczesnej pornografii.

POR. COD. FLOR. IAE; GLAWREP. RTKOM

Hrabal

Byłem w Pradze przez kilka dni. Nie znałem jej wcześniej, jeśli nie liczyć opowieści Hrabala, które towarzyszą mi od wielu lat, stosownych partii *Szwejka* oraz stronic Kundery i Škvoreckiego. Literatura ma jednak to do siebie, że zmienia obraz rzeczywistości na swój własny, tajemniczy sposób i poznawanie miasta wedle literackiego klucza (wyjąwszy Dublin Joyce'a) może okazać się zwodnicze. Wiedząc o tym, wybrałem z literackich pielgrzymek po Pradze dwie, całkiem różne. Zapragnąłem mianowicie ujrzeć Bohumila Hrabala, żywego i pijącego piwo z litrowego kufła, oraz odwiedzić miejsca związane z Franzem Kafką, którego *Dzienniki* wydał ostatnio Puls.

Jakież było moje zdziwienie, gdy o odpowiedniej porze udałem się do piwiarni „Pod Złatym Tygrem” i zamiast melanco-

lijnej, pomarszczonej twarzy autora *Postrzyżyn* zobaczyłem ze dwudziestu takich jak ja turystów, którzy przyszli tu po to samo. Uzbrojeni w aparaty fotograficzne, kamery i egzemplarze książek Hrabala, wydane po angielsku, francusku, włosku, japońsku, chińsku, a także suahili, zamarli w oczekiwaniu. Czy dzisiaj się pojawi? Czy będzie wystarczająco na rauszu? W jakim przyjdzie humorze? – Ostatnio – szeptano – powiedział tylko jedno: „A pocałujcie mnie wszyscy gdzieś”. A kiedy wielbiciel postanowili to uczynić, zrobił awanturę i groził wezwaniem sił porządkowych. Jego miejsce – niedaleko okna – pokazywano sobie z nabożeństwem. Jego strój, w którym pojawia się „Pod Złatym Tigrem”, zwłaszcza zaś szerokie rondo sombrera, opisywano w najdrobniejszych szczegółach. – Podobno siedzi w Kersku i karmi swoje koty – stwierdził zawiedziony Japończyk. – Od śmierci żony bywa tu coraz rzadziej – dodał flegmatycznie Anglik, oderwawszy wzrok od stronic *Obsługiwałem angielskiego króla*.

Następnego dnia, gdy zaszedłem „Pod Złatego Tigra”, sytuacja wyglądała podobnie. Z tą jedynie różnicą, że Japończyka zastąpił Koreańczyk, a Niemca – Norweg. Zaliczywszy już okno w pałacu Kinskych, z którego Franz oglądał ruch uliczny, a także schody budynku, w którym Franz pracował przez wiele lat, zaglądałem do innych knajp, podejrzewając, że Hrabal pewnego dnia zechce napić się piwa gdzie indziej, niekoniecznie w trzasku fleszów „Pod Złatym Tigrem”. Odwiedziłem „U Fleku”, „U Spiwaczków”, a także „U Kocourów”, gdzie kufle cudnie schłodzonego piwa wychylili nie tak dawno panowie prezydenci Havel i Wałęsa. Obejrzałem teatr, w którym grano po raz pierwszy na świecie *Don Juana* Mozarta, odwiedziłem synagogę i grób rabina L., który napisał *Golema*, i nie traciłem nadziei, że jednak zobaczę w Pradze Bohumila Hrabala.

Ostatniego dnia wreszcie, gdy z poetą Zbigniewem Machem spędzałem miłe popołudnie „U Vojvodów”, ktoś, nie pamiętam już kto, krzyknął: – On jest, jest „Pod Złatym Tigrem”.

Zapłaciłem. Wybiegłem. Pędziłem. Wbiegłem. I zobaczyłem. Tak, siedział otoczony wianuszkami takich jak ja wielbicieli. Wyjątkowo przystępny. Wyjątkowo wesoły. Pozujący do fotografii, opowiadający bawidulskie gaduły. Tryskający energią i humorem. Recytujący, na życzenie, najcenniejsze fragmenty swojej prozy. Stałem nieco na uboczu, nieśmiało, lecz nagle poczułem, że coś się tu nie zgadza. Obfajdana Julka nigdy nie była przecież Cyganką. Ojciec Hrabala, urzędnik w browarze, nie pijał borowiczki, tylko beherovkę. Wujaszek Pepin nie służył w carskiej, lecz w austriackiej armii. Na kanapie pana zawiadowcy pieczętowano pupe, a nie cycuszki pewnej pani. W poszumie rozmów i piwnej piany nikomu to nie przeszkadzało. Mnie jednak czegoś było żal, podejrzewałem rzecz okropną i kiedy wszyscy turyści otrzymali już autografy, kiedy wszyscy wielbiele wypili z Mistrzem bruderszaft, kiedy wszyscy czytelnicy usłyszeli z Jego ust fragmenty swoich ulubionych kawałków, kiedy gaszono już światła, wycierano pianę i sala opustoszała, podszedłem do stolika i powiedziałem: – Z ciebie to taki Hrabal jak ze mnie Tomasz Mann.

Był przerażony. – Pan się połapał? Pan zrozumiał? Tylko sza, bardzo proszę, błagam, chodźmy gdzie indziej, stawiam.

I tak spędziłem moją ostatnią praską noc: ja – turysta, wielbiciel Bohumila Hrabala – i on – N. N., człowiek przez niego wynajęty, aby przez trzy dni w tygodniu bywał „Pod Złatym Tigrem” i udawał Mistrza. – Ja wiem, że trochę zmieniam – wyznał. – Ale kiedy się napiję, to bierze mnie taka ochota do zmyślania, że aż strach.

Na Kampie, gdzie zastał nas świt, śpiewaliśmy rosyjskie romanse. Powiedziałem mu, że jestem inżynierem z Kielc. On,

nie zdradziwszy rzecz jasna swego nazwiska, powiedział, że przed emeryturą nauczał geografii.

POR. DEDALUS, DUBLIN, TULLA; KUŹNIECZNY ZAULEK; U IRLANDCZYKA; ULICA WIELKA MORSKA

Jej Mość Magdalena

Szkoda, że nie pisała pamiętników. Urodzona i wychowana w Krakowie, spędziwszy więcej niż 50 lat życia w Gdańsku, miałyby co wspominać. Chociażby rok 1697, kiedy kontrkandydat Augusta II Sasa do polskiej korony, książę Conti, przyplłynął francuską armadą do Gdańska i niewpuszczony do miasta, zatrzymał się u cystersów w Oliwie. Albo rok 1704, kiedy przedmieścia gdańskie palili Szwedzi: miasto musiało im wówczas zapłacić 400 tysięcy talarów i za prawowitego monarchę Polski uznać Stanisława Leszczyńskiego. Zresztą to właśnie z jego powodu trzydzieści lat później Gdańsk znowu uległ ogromnym zniszczeniom i znów musiał płacić – tym razem rosyjskiej carowej – jeszcze większą kontrybucję.

O tym, że Jej Mość Magdalena umiała pisać w swoich pamiętnikach nie tylko o zaciszu domowego ogniska, świadczy jej osobista biblioteka. Prócz *Wielkiej Biblii z wykładami, polskim drukiem...*, prócz wielu żywotów świętych, książek kucharskich, modlitewników, prócz ilustrowanego zielnika znajdziemy *Satyra* Jana Kochanowskiego, *Lekarstwo na uzdrowienie Rzeczypospolitej*, *Koronę Akademii Krakowskiej*, *Politykę polską*, a także *Rozmyślania, albo lament utrapiony Korony Polskiej*. Niewątpliwie była Jej Mość Magdalena osobą czytaną, w tym także w siedemnastowiecznej publicystyce politycznej. Nic jednak nie wiadomo o jej pamiętnikach. Wiadomo natomiast, że w roku 1706 – już jako wdowa po Ludwiku Schuman-

nie sporządziła *Inwentarz mienia domowego, własną ręką pisany*, a potwierdzony przez Jakuba Nethlera, prawnika i egzekutora testamentu. Zmarła niedługo potem, zostawiając wiele sutych legatów gdańskim oraz krakowskim jezuitom i dominikanom, a także instytucjom dobroczynnym. Pamięć o niej przywrócił nam Antoni Romuald Hodyński, odkrywca *Inwentarza*, wydanego wspólnie z Henryką Dwilewicz w roku 1984. Jakie więc było to długie, arcymieszczzańskie życie?

Panna Magdalena urodziła się w Krakowie jako córka Piotra Żywieckiego, zamożnego mieszczanina. Wyszła za mąż – jak się to mówi – bardzo dobrze, bo za Kaspra Hippolita, przedstawiciela bogatej rodziny, od pokoleń trudniącej się w Krakowie handlem suknem. Ojciec Kaspra – Paweł Hippolit – był ławnikiem i rajcą krakowskim. W „Polskim Słowniku Biograficznym” dowiadujemy się, że w roku 1610 przyszły teść panny Magdaleny kupił od starosty Leśniowolskiego za ogromną sumę 6000 florenów kamienicę Prosperowską, położoną obok kościoła Mariackiego. Ponadto posiadał dom przy ulicy Mikołajskiej, dom przy ulicy Szpitalnej, a także parę sukiennic. Wiemy też, że rodzina Hippolitów pochodziła z Włoch. Protoplasta, znany jako Hippolit z Pizy, przybył do Krakowa w złotym wieku XVI i ożenił się tutaj z Elżbietą Kaczycką, notabene córką sukienników. Nie wiemy natomiast, w którym roku panna Magdalena Żywiecka wyszła za Kaspra Hippolita, podobnie jak nie wiemy, kiedy ani z jakich powodów małżeństwo przeniosło się do Gdańska, zabierając ze sobą matkę Magdaleny. Nieznane są nam również daty śmierci Kaspra oraz matki, wiadomo tylko, że bliscy Magdaleny zostali pochowani u gdańskich dominikanów, w kościele Świętego Mikołaja, blisko tak zwanego wielkiego ołtarza. Datą pewną jest natomiast rok 1666, kiedy Magdalena powtórnie wychodzi za mąż, równie „bardzo dobrze”, tym

razem za Ludwika Schumanna, syna Krzysztofa – ongiś burmistrza Chojnic – i Elżbiety von Bergen. Schumannowie należeli od kilku pokoleń do gdańskiej i pomorskiej oligarchii finansowej: obdarzeni herbem, dziedziczyli majątki i stanowiska, także w Radzie Głównego Miasta, czyli najważniejszej części dawnego Gdańska. Wiemy również, że brat Magdaleny – teraz już Szumanowej (bo tak z polska chciała się pisać) – Piotr Żywiecki, wstąpił w roku 1661 w Krakowie do zakonu jezuitów, w którym pełnił rozmaite funkcje. Od 1697 do 1705 przebywał także w Gdańsku, początkowo jako profesor, a następnie rektor kolegium na Nowych Szkotach, o czym informuje rzeczowo *Encyklopedia wiedzy o Jezuitach*. Niewątpliwie widywał się z siostrą, jedną z najzamożniejszych gdańskich patrycjuszek. Jej dom stał przy Jopengasse (obecnie ulica Piwna), tuż obok ceglanej bryły kościoła Najświętszej Marii Panny. Ludwik Schumann zmarł w roku 1691 i pochowano go, jako luteranina, w tym właśnie kościele. Wkrótce po jego śmierci wdowa Magdalena sporządziła testament, a w roku 1706 – wspomniany już *Inwentarz...*

Jak wykazały badania Reginy Pawłowskiej (odnotowuję z wdzięcznością, że to właśnie dzięki jej specjalistycznym artykułom zamieszczonym w „Polszczyźnie regionalnej Pomorza” rozpocząłem swoją znajomość z panią Magdalena), Szumanowa świetnie władała językiem polskim, zachowując wszakże w fonetyce i słownictwie szereg typowych cech małopolskich (krakowskie dzieciństwo) oraz pomorskich (długie lata gdańskie). Zdumiewająco mało w nim germanizmów czy makaronizmów. Jest to piękna polszczyzna osoby wykształconej, chwilami nieco sentymentalnej, bardzo jednak rzeczowej i uporządkowanej. Dzięki *Inwentarzowi* poznajemy nie tylko dokładny rozkład gdańskiej kamienicy Schumannów, ale także mnó-

stwo przedmiotów, które tworzą prawdziwie epicką panoramę życia w XVII wieku. Nie sposób wyliczyć wszystkich dóbr, co pewien czas nasz wzrok zatrzymuje się wszakże na drobnym detalu i wówczas wyobraźnia wydobywa z otchłani czasu jakiś przedmiot, powołując go ponownie do istnienia.

W dziale „Złoto wszistko” zachwyca „iiędna mannelka [bransoletka] tabliczky w ny rogowe, podługowate, iest ich 8, wszistkie wokoło złotem oprawne y złotemy kułeczkami spiete, y zankliczka [zapinka] szczirozłota przy ny, imie Iesus na ni czarnym szmelcem [emalią] napuszczana”. Trudno ocenić, czy opisana tak dokładnie bransoletka była więcej warta niż na przykład „pięścionek o trzech diamentkach na puł palca” czy „68 perełek ruzny wielkosc y bardzo malusinkych”, które schowane były „w kałamarziku, kiedy i drugi klenociki”. W dziale sreber, oprócz nieprzeliczonych wspaniałości snycerskich, zapewne zachwyciłaby nas „czareczka maluska do wutky, wewnatrsh złocista, a po wirschu brzegi risowana”. Osobną kopalnią motywów są obfite spisy strojów, bielizny pościelowej, mebli, narzędzi, przyborów toaletowych i bibelotów – te ostatnie zgromadzono pod hasłem „Wiele inszych drobiaszguw”. Tam właśnie figuruje intrygujący przedmiot do samoobrony, a mianowicie „laska trzcinna, zelazem u doły okowana, a sżłoniową koscią u guri, nusz w ny iest”. Zapewne współczesna policja uznałaby tego rodzaju okutą łagę, z ukrytym w rękojeści nożem, za przedmiot, którego posiadanie wymaga zezwolenia. Możemy się domyślać, że dobrze służyła rajcy Ludwikowi Schumannowi, kiedy po paru piwach (podawano je na posiedzeniach Rady) wracał piechotą paręset metrów do domu z ratusza lub Dworu Artusa. Z gdańskich kronik wiemy, że nawet na ulicach Głównego Miasta rzezimieszkowie i hultaje napadali na zacnych obywateli, a straż miejska działała opieszale. Jest to



GRIGORIJ GRIGORIEWICZ CZERNIECOW *Pushkin, Kryłow,
Żukowski i Gnedicz w ogrodzie letnim, 1832*

bodaj jedyna gdańska tradycja, która w niezmiennym kształcie przetrwała do dzisiaj. Można się o tym przekonać, idąc po zmiętej trasie Ludwika Schumanna, źle oświetlonymi ulicami tak zwanej starówki. O czym donoszę bez satysfakcji, zważywszy, że w pobliżu nieistniejącego już domu Schumannów przy ulicy Piwnej znajduje się komisariat policji państwowej.

POR. GDAŃSK, KWIECIEŃ 1773

Jezioro Acheruzja

Co opowiada o tym Homer? Odys, aby przywołać dusze z Hadesu, najpierw za pomocą miecza wykopuje w ziemi dół „na łokieć wzdłuż i wszerz”. Następnie wylewa obok niego obiatę dla wszystkich umarłych. Płyną więc miód z mlekiem, słodkie wino, wreszcie woda posypana białą mąką. Odys w błagalnej modlitwie zwraca się „do mdłych głów umarłych”: jeżeli go wysłuchają i przybędą, ślubuje im złożyć – po powrocie do Itaki – jeszcze wspanialsze ofiary. Po tych wezwaniach Odys zabija dwie owce. Ich czarna, dymiąca krew ścieka do wykopanego dołu. Wówczas z Erebu wylaniają się dusze zmarłych, o których Homer mówi, że są jak „wielki tłum, krocący w stronę rowu z niesłychanym lamentem”. Odysa ogarnia lęk. Wzywa swych towarzyszy, aby zabite owce spalili w ofierze, modląc się przy tym do Hadesa i Persefony. Sam dobywa miecza i zasiada – jak strażnik – nad dołem. Jedynie te dusze, którym pozwoli się napić krwi, mogą herosa rozpoznać i do niego przemówić. A z całej, nieprzeliczonej rzeszy Odys wyłowić pragnie widmo Tejrezjasza. Tylko on może bowiem rozjaśnić przyszłość, a więc szczegóły i tajemnice powrotu do Itaki. Dlatego kiedy nad dołem pojawi się widmo matki Odysa, bohater – mimo wzruszenia

- nie dopuści go do krwawego źródła. Dopiero po wysłuchaniu tebańskiego wieszczka (przepowie nawet śmierć zalotników) Odys daje matce, Antiklei, przystęp do siebie. Rozmowa jest długa, wzruszająca. Po niej przed oczyma bohatera przeciągnie cały korowód postaci, najpierw kobiet - między innymi Epikasta, Leda, Ariadna, następnie mężczyzn - od Agamemnona po Heraklesa. W końcu przed dołem z dymiącą krwią zbiera się tak wielka rzesza napierających dusz, że przerażony Odys nakazuje drużynie gotować okręt i odpływa z mrocznej ziemi Kimmeryjczyków nurtem rzeki Okeanosa.

A jak przedstawia to Wergiliusz? Eneasz, w przeciwieństwie do Odysa, nie przywołuje duchów zmarłych, siedząc pod niebem tej ziemi, lecz zstępuje do Hadesu, wędrując przez jego kolejne sfery w towarzystwie wróżki Sybilli. Ona to właśnie, zanim wyruszą, przepowie (niczym Tejrezjasz Odysowi) przyszłość drużynie Eneasa: wejdzie do królestwa Lawinium i straszne wojny z ludami Italii o władztwo nad Tybrem. Złota gałązka z drzewa poświęconego Junonie, którą Eneasz odnajdzie na polecenie wróżki, będzie darem dla Prozerpiny i przepustką dla Charona. Zanim dotrą do celu, będą wędrować „samotni, wśród ciszy, pośród nocnych mroków, poprzez pustki głuchego królestwa Plutona”. Z sugestywnego opisu tego królestwa skorzysta Dante, którego wizja piekielnych kręgów wiele zawdzięcza Wergiliuszowi. Podziemna geografia, jaką poznajemy wraz z Eneaszem i Sybillą, utwierdza nas przede wszystkim w tym, że sprawiedliwi wiodą po śmierci żywot szczęśliwy w „rozkosznych dziedzinach, pośród kwitnących łąk”, zbrodniarze zaś cierpią męki w budzącym grozę zamku, otoczonym ognistą rzeką - Flegetonem.

U Homera - rzecz jasna - również słyszymy o karze i nagrodzie, ale Odyseusz nie poznaje zaświatów tak szczegółowo jak

Eneasz, dzięki któremu dowiadujemy się na przykład, co dzieje się z duszyczkami dzieci, jakie miejsce wyznaczono samobójcom lub jak unieszkodliwić Cerbera. Odys odprawia archaiczny obrzęd i przeżywa zdumiewającą wizję, Eneasz wkracza w zaświaty trochę jak turysta. Homer jest powściągliwy i w wielu swoich sformułowaniach tajemniczy, Wergiliusz natomiast puszcza w ruch maszynę niemal operową. Kiedy Odys opowiada o tym, jak pragnął uścisnąć widmo matki – „trzykroć biegłem do niej, gnany popędem serca, trzykroć umykało mi z rąk coś, co było podobne do cienia, lub snu” – czujemy głębokie poruszenie. Kiedy Eneasz wykonuje taki sam gest w stosunku do widma swojego ojca – „po trzykroć wymyka mu się z ramion cień drogi, pierzcha przed nim jak powiew wietrzyka” – odkrywamy, że to naśladownictwo nie ma już takiej siły oddziaływania jak pierwowzór.

W *Fedonie* Platon opisuje ostatnie godziny życia Sokratesa. Skazany na śmierć filozof spędza je na debacie z przyjaciółmi, starając się odnaleźć jak najlepsze, rozumne dowody na nieśmiertelność duszy. Przedstawia ich kilka i wszystkie – przynajmniej dla rozmówców – są przekonujące. Kiedy jednak dyskurs zaczyna dotyczyć zaświatów, nawet Sokrates musi zrezygnować z racjonalnych dociekań i sięgnąć po mit. To właśnie wówczas w jego wywodzie pojawia się nazwa podziemnego jeziora... Chodzi o dusze tych grzeszników, których „wina jest wielka, lecz uleczalna”: przepędziwszy rok w Tartarze, spływają rzekami nad toń jeziora Acheruzja, gdzie muszą błagać dusze skrzywdzonych przez siebie ofiar o wybaczenie. Jeśli nie zostanie ono udzielone, dusza winowajcy wraca do Tartaru. Żaden bóg nie ma na to odpuszczenie wpływu i w micie przytoczonym przez Sokratesa piękne jest to ludzko-ludzkie spotkanie w podziemiu. Jak również pewność, że ci, którzy służyli dobru

przez całe swoje życie, nie będą musieli nawoływać ponad wodami jeziora Acheruzja.

POR. ASFODELOWE ŁĄKI; SPOON RIVER

Klepsydra Aschenbacha

Jego nazwiska próżno szukać w *Leksykonie malarstwa od A do Z*. Alessandro Milesi nie zaznał sławy Tintoretta czy Ty-cjana, a jednak to właśnie jego obraz – znajdujący się obecnie w Trieście – wydaje się najpełniej wyrażać melancholię przemijania i upadku sławnej republiki. Namalowany w 1909 roku, przedstawia scenę z weneckiej Caffé Florian w wieku XVIII i ta podwójna dekadencja epok: czasu powstania dzieła i czasu odtworzonego na obrazie, buduje napięcie niemające sobie równych.

Wiek XVIII był dla Wenecji długim okresem „pięknej śmierci”. Pomiedzy traktatami w Karłowicach i Pożarewacu upłynęło zaledwie dziewiętnaście lat, lecz był to czas wystarczający, aby na przedprożu nowego stulecia bolesna prawda stała się dla Wenecjan powszechnie zrozumiała: ich starożytna republika straciła bezpowrotnie swą pozycję, najpierw za sprawą Turcji, później cesarstwa Austrii, i odtąd – podobnie jak Polska czasów saskich – stała się pionkiem w politycznej i ekonomicznej grze olbrzymów. „Weneckie państwo – pisze Kazimierz Chłędowski – skazane na polityczną bezradność, pozbawione handlu i przemysłu, popada w gnuśność, a te stosunki wpływają także na całe społeczeństwo, które się odznacza brakiem inicjatywy. Szlachta, dawniej dzielna i zamożna, coraz bardziej ubożeje, znaczna część jej żyje już tylko z funduszków publicznych. Prawie całą dzielnicę San Barnaba zamieszkują patrycjuszowskie

rodziny, którym państwo daje bezpłatne mieszkania w domach miejskich. Ci – *barnabotti* – jak ich nazywano, mają prawo głosowania w Wielkiej Radzie, a sprzedawanie tego przywileju stanowi prawie jedyny ich dochód, z wielką szkodą ojczyzny...”

Długa, trwająca niemal całe stulecie agonia republiki nie upłynęła jednak przy dźwiękach marsza pogrzebowego. Przeciwnie – im głębsze okazywały się nastroje schyłku, im bardziej nieuchronny wydawał się koniec, tym większe obserwowano w mieście lagun zamięłowanie do zbytku i rozkoszy. Rokoko wypełniło przestrzeń publiczną i prywatną nowymi formami stroju i zabawy. Karnawałowy plac, kawiarnia, bodega, dom gry, fryzjernia i buduar stają się odtąd dla Wenecjan miejscami ważniejszymi niż giełda, kantor, stocznia czy gabinety Wielkiej Rady. Festynom i balom nie było końca, w pałacu gry – Ridotto – tracono resztki dawnych fortun, a tradycyjny wenecki karnawał przekształcił się w nieustające święto masek, które – jak szminka na twarzy starej kurtyzany – ukrywać miały gorzki finał: uwiąd i rozpad.

O tym specyficznie weneckim napięciu pomiędzy zewnętrznymi oznakami szalonej radości życia a wewnętrznym przeczuć śmierci i umierania błyskotliwie pisał w wieku XIX Muratow w swoim dziele poświęconym Italii. Fenomen ów, innymi środkami i nieco później, wyraził właśnie Alessandro Milesi. Jego scena z tarasu osiemnastowiecznej Caffé Florian, fantazyjnie rozmalowana, operująca jaskrawymi plamami żółci, czerni i czerwieni, jest wariacją na ten sam temat: mrocznej maski przeznaczenia, ubranej w ostre światło nadchodzącego popołudnia.

Trzy lata po powstaniu *Caffé Florian* Milesiego Tomasz Mann ukończył *Śmierć w Wenecji*. Zaskakujące, jak mało szczegółów plastycznych, architektonicznych, wreszcie topograficznych zawarł autor *Buddenbrooków* w swojej noweli. Bo też nie Wene-

cja była dla niego tematem samym w sobie, ale jej chorobliwy klimat, odnajdujący w duszy bohatera swe lustrzane odbicie: światło ukrywające mrok, porządek podminowany chaosem, piękno podszyte chorobliwym pożądaniem. Wenecja – ta podejrzana, według Manna, piękność – to miasto „pół-bajka, pół-łapka na cudzoziemców, w którego zgniłym powietrzu hulaszczko wybujała kiedyś sztuka”. W kluczowej dla noweli scenie Gustaw von Aschenbach, wysłuchawszy koncertu jarmarcznych grajków, przypomina sobie klepsydrę z domu rodziców. „Kiedy rudy piasek w górnym naczynku miał się ku końcowi, tworzył się tam mały, rwisty wir”. Aschenbach uświadomił sobie mocą tego wspomnienia, że jego życie znalazło się właśnie w takim punkcie – przed małym, rwistym wirem, za którym jest już tylko pustka. Los bohatera i los Wenecji stają się w tym momencie tożsame. Miasto lagun jest miejscem śmierci i śmierć zadomawia się na dobre w duszy Aschenbacha.

Modernistyczna figura w wykonaniu Milesiego czy Manna miała jednak realne podstawy. Wenecja od zawsze łączyła niebywałe piękno fasad, perspektyw, strojów i zaułków ze zgniłą wonią kanałów i nieustającą aurą zagrożenia. Tak widzi Wenecję średniowieczną Michael Golding w wydanej w 1994 roku powieści *Proste modlitwy*, którą przyjęto z entuzjazmem jako kolejne wcielenie realizmu magicznego. Mieszkańcy maleńkiej Riva di Pignoli rzeczywiście przeżywają historie niezwykle i magiczne, nie sposób jednak nie dostrzec, że współczesny pisarz amerykański, tworząc obraz odległej o całe wieki Wenecji, powtórzył w istocie schemat Tomasza Manna, a może raczej – uległ sile weneckiego stereotypu. Kiedy wreszcie na maleńkiej wysepce i w całej lagunie zapanowuje z dawna wyczekiwana wiosna, nad światem bohaterów rozpościera skrzydła czarna śmierć, zaraza zrodzona z mętnej wody kanałów... Melancho-

lijny pejzaż lagun, tak samo jak wspaniałe budowle dzielnicy Torcello, stają się cmentarzem.

Republika Wenecka za swego patrona obrała świętego Marka Ewangelistę. Według legendy, statek, na którym płynął Marek z Akwilei do Rzymu, miał się zatrzymać na wyspie Rialto – dzisiejszym sercu miasta. Anioł przepowiedział świętemu, że tutaj w przyszłości spocznie jego ciało, lecz sprawa nie okazała się tak prosta. Ewangelista został biskupem Aleksandrii i tam właśnie pochowano jego ziemskie szczątki. W roku 828 tajna ekspedycja kupców wykradła prochy Marka z grobowca w Aleksandrii i przewiozła je – w tajemnicy – do Wenecji. Odtąd skrzydlaty lew – symbol Marka Ewangelisty – stał się oficjalnym godłem republiki. Ale też – tym razem według aleksandryjskiej legendy – zaciążyło nad nią przekleństwo za tak zuchwałą kradzież. Przekleństwo trwać ma do końca świata, kiedy Wenecja pograży się bez reszty w płytkich i błotnistych wodach, podmywających pałace i kościoły od stuleci.

POR. CASTORP; SIENA, ROK 1977

Krzesło Conolly’ego

Tej sztuki nie stworzył Beckett ani żaden irlandzki pisarz. Napisało ją życie, reżyserowała historia, aktorami byli ludzie niekoniernie obdarzeni talentem scenicznym. W finale pojawia się krzesło, co do którego panują do dziś sprzeczne opinie. Jedni utrzymują, że był to zwykły taboret. Inni – że typowy mebel epoki wiktoriańskiej, z poręczami i rzeźbionym oparciem. Zanim jednak rekwizyt ów odegrał przeznaczoną mu rolę, dopełnić się musiał pierwszy akt dramatu. W skrócie można ująć go tak:

Trzysta lat panowania angielskiego w Irlandii, sześć powstań narodowych, pomiędzy nimi zaś represje, porównywalne jedynie z tymi, jakie stosowała Rosja wobec buntowników na Kaukazie czy w Polsce. Cynizm okupantów widoczny był nie tylko podczas publicznych egzekucji. Prawo, które ustanowili w podbitym kraju, system podatków, ceł i rent gruntowych kilkakrotnie doprowadziły do masowego głodu. Nikt nie jest w stanie powiedzieć, ile milionów Irlandczyków umarło wówczas z wycieńczenia i chorób. W polityce międzynarodowej nie funkcjonował jeszcze termin „ludobójstwo”. Tajne raporty ślone do korony odnotowywały wypadki kanibalizmu oraz zbiorowych, rodzinnych samobójstw, a na salonach Buckingham Palace powtarzano z ust do ust książęcy *bon mot* o tym, że Irlandczycy upodobnili się do swego bydła – żrą mianowicie wszystko, nawet trawę. Akt pierwszy tej historii zamyka nieskończenie długa lista emigrantów. Opustoszałe domy w Connemara czy Sligo świadczą po dziś dzień o sukcesie cywilizacyjnej misji angielskich rządów.

Akt drugi rozpoczął się w poniedziałek wielkanocny 1916 roku. Ulicami Dublinu przemaszerowali wówczas członkowie paramilitarnych organizacji, od lat ćwiczący – legalnie i w podziemiu – bojową sprawność. Nie była to jeszcze jedna podniosła manifestacja patriotyczna. Opanowano najważniejsze punkty śródmieścia, a na budynku Poczty Głównej – którą zmieniono w kwaterę rządu powstańczego – zawisła szmaragdowa flaga ze złotym napisem: „Poblacht nah Eirean”, co znaczy Republika Irlandii. Do zgromadzonych tłumów przemówił Patryk Pearse, odczytując najpierw Deklarację Niepodległości. Jej stylistyka była romantyczna. Podobnie jak romantyczne było to powstanie – nieprzygotowane, skłócone politycznie, wyglądające zagranicznej pomocy, stłumione krwawo przez

Anglików. Trwało zaledwie sześć dni. Nie poderwało do walki całego narodu. Kanonierki Royal Navy, wprowadzone na rzekę Liffey, zniszczyły – oprócz Poczty Głównej – prawie całe śródmieście Dublina.

Kiedy umilkły strzały, pracę rozpoczęły natychmiast sądy wojenne. Niecały miesiąc później dwunastu przywódców rebelii rozstrzelano. Pozostali oczekiwali w więzieniach i obozach koncentracyjnych na swoją kolej. Wśród nich Konstancja Booth-Markiewicz – żona polskiego malarza. W tym właśnie momencie na scenie pojawiło się krzesło. A mówiąc ścisłej – ustawiono je na dziedzińcu więzienia Kilmainham. Jednym z dwunastu rozstrzelanych był James Conolly, ciężko ranny w czasie walk. Niedawno amputowano mu nogę, nie mógł więc – jak wymagał tego regulamin – stanąć przed plutonem egzekucyjnym. Dlatego Anglicy, którzy – jak wiemy – starają się być dżentelmenami w każdej sytuacji, najpierw posadzili jednonogiego Jamesa na krzesło, a następnie zabili go karabinową salwą, już zgodnie z przepisami prawa.

Nie wiemy, czy takiej śmierci mógłby zazdrościć Conolly'emu inny spiskowiec – powieszony w Londynie Sir Roger Casement. Nie wiemy, o czym myślał jednonogi James, kiedy sadzano go na krzesło. Nie wiemy też, co się stało z samym krzesłem. Czy porąbano je – na wszelki wypadek – i zużyto w piecu więziennej kuchni? Czy też – obmyte z krwawych plam – służyło jeszcze długo naczelnikowi więzienia w jego kancelarii? A może – jak podpowiada zmysł dramatyczny – czeka do dziś na swego odkrywcę, w jakimś podrzędnym antykwariacie Londynu, Nowego Jorku, Sydney czy Dublina? Byłby to finał zaskakujący i godny pióra współczesnych dramaturgów. Odnalezione krzesło Jamesa Conolly'ego miałoby szansę zagrać jeszcze raz na deskach sceny. A później, po premierze, mogłoby stanąć w du-

blińskiej Poczcie Głównej. Tam, gdzie na środku hali, otoczony okienkami i rojem interesantów, stoi skromny obelisk, upamiętniający wielkanocny poniedziałek 1916 roku.

POR. ARANN ISLANDS; MADAME TUSSAUD

Książę gdański

Na wieść o kapitulacji pruskiej załogi Gdańska, którą dowodził siedemdziesięcioletni generał Kalckreuth, w Warszawie zapanował entuzjazm i podniecenie. Była druga połowa maja 1807 roku i wszystko wydawało się możliwe. Także wskrzeszenie Polski w jej historycznych granicach. Stanisław Małachowski, sławny marszałek Sejmu Czteroletniego, wystąpił do cesarza Francuzów z memorandum w tej sprawie. Nie pominął rzecz jasna problemu Gdańska, który – zdaniem nie tylko byłego marszałka – powinien znaleźć się w granicach odrodzonej Rzeczypospolitej. Zanim jednak memorandum zostało wręczone, Warszawa uczciła zdobycie Gdańska całonocną iluminacją. Było to działanie samorzutne, jako że tego rodzaju fety na cześć francuskich zwycięstw poprzedzano zazwyczaj specjalnym biuletynem i osobistym rozkazem Napoleona. Cesarz pominął tę gorliwość łaskawym milczeniem. Wydał polecenie przygotowania awansów oraz szybkiej podróży nad Motławę. Zanim jednak stanął na kwaterze w Oliwie, u wylotu leśnej doliny, którą wiele lat później Niemcy nazwą Dicke Eche, Polacy zaś Samborowem, uważnie przestudiował wiadomości, od których huczała radośnie Warszawa. Z ust do ust przekazywano, jak to marszałek Lefebvre, kiedy cofnęło się natarcie pod ogniem pruskiej baterii, zrzucił płaszcz i w bogato szamerowanym mundurze, chwyciwszy bęben dobosza, pode-

rwał grenadierów do nowego ataku; jak wślawił się batalion Downarowicza; jak generał Giełgud, zastąpiwszy ранnego pod Tczewem Dąbrowskiego, szedł do natarcia z obnażoną szablą i okrzykiem „To miasto znów będzie nasze!”. Szczególną dumą napawał warszawian fakt, że polskie pułki weszły do Gdańska zaraz za marszałkiem Lefebvre’em i jego sztabem, przed oddziałami francuskimi. Mówiono też, że w czasie trzymiesięcznego oblężenia na stronę francusko-polską przeszło z armii pruskiej aż cztery tysiące dezertów. Natomiast do załogi Kalckreutha, mimo odezwo i apeli, zgłosiło się aż... osiemdziesięciu gdańszczan.

Cesarz przywiózł do Gdańska plany nowej, tym razem rosyjskiej kampanii i tytuł książęcy dla marszałka Lefebvre’a, z którym zjadł kolację w oliwskim pałacyku. Odtąd do grona książąt cesarstwa przybył jeszcze jeden marszałek, najmniej utalentowany i – jak piszą historycy – szkaradnie prostacki w obejściu. Ale cesarz wiedział, co robi. Lefebvre był dzieckiem rewolucji i nigdy nie zapomniał tego, co dała mu Republika. Ten syn alzackiego młynarza przez piętnaście lat służby w armii dorobił się zaledwie rangi starszego sierżanta. Awanse przyniósł uskrzydłony wiatr historii. W 1791 Lefebvre dowodził kompanią grenadierów osłaniających przed motłochem powrót królewskiej pary po nieudanej ucieczce do Varennes. W 1797 był razem z późniejszym marszałkiem Augereau nad Renem. W czasie zamachu 18 *Bru-maire*’a wespół z Muratem rozpedził bagnietami deputowanych, gdy ci domagali się głowy Napoleona w imię ocalenia Republiki. Cesarz nigdy mu tego nie zapomniał, ale pamiętał też to, że przed zamachem stanu musiał długo i uporczywie przekonywać Lefebvre’a do swojej własnej koncepcji „ocalenia” Republiki. Od tamtych wydarzeń w St. Cloud minęło już wiele lat i bitew, ale Lefebvre – jak wynikało z tajnych raportów Fouchégo –

częściej powtarzał w rozmowach z bliskimi oficerami słowo „republika” niż „cesarstwo”. Co więcej, deszcz tytułów książęcych, spadający na innych marszałków, z zadziwiającą regularnością omijał właśnie jego, Lefebvre’a. Prawdą było, że nie miał szczęścia do zwycięskich bitew, lecz prawdą było i to, że niektórzy marszałkowie otrzymywali swe tytuły nie od miejsc wygranych batalii, ale od nazw przyłączonych prowincji. Teraz, kiedy cesarz nadał mu tytuł Księcia Gdańska, Lefebvre mógł być wreszcie zadowolony. Szczęśliwa była także Katarzyna Hubscher, jego żona, która – zwyczajem swojej dawnej paryskiej profesji – zaczynała na przyjęciach konwersację od frazy: „A wie pani, jak przyjmowałam do prania...”.

Kilkanaście dni po kolacji spożytej w Oliwie Napoleon rozgromił armię rosyjską pod Frydlandem. Żaden marszałek nie otrzymał tytułu księcia Frydlandu, ponieważ to zwycięstwo, podobnie jak pod Jeną i Austerlitz, cesarz pragnął zachować wyłącznie dla siebie. Politycy w Warszawie, którzy nie tak dawno jeszcze świętowali zdobycie Gdańska, ostygli w swoim zapale. Traktat w Tylży był dla nich bodaj największym rozczarowaniem. Zamiast Polski car Aleksander i Napoleon wykroili Księstwo Warszawskie. Zgodzili się też co do tego, że Gdańsk będzie odtąd Wolnym Miastem. Ani marszałek-książę Lefebvre, ani Małachowski nie mieli na tę decyzję najmniejszego wpływu. W swoim zapale ostygli także gdańszczanie, obłożeni nadzwyczajnymi kontrybucjami i cłem od obrotu handlowego sięgającym 30 procent. Doszły do tego koszty utrzymania coraz to nowych dywizji i angielska blokada, która zupełnie popsuła interesy. Siedem lat później, kiedy generał Rapp i Radziwiłł bronili Wolnego Miasta Gdańska przed Rosjanami, nikt z mieszkańców nie wymieniał już głośno nazwiska Lefebvre’a. Jego szamerowany złotem mundur i tytuł książęcy poszły w zapomnienie.

Dzisiaj, jadąc w Paryżu linią metra numer trzynaście, można wysiąść na stacji Porte de Vannes i przejść się bulwarem Lefebvre'a. Niedaleko jest też ulica Dantzig. Można, nie wyjeżdżając z Gdańska, przejść ulicą Polanki i zatrzymać się na chwilę przy Abrahama, w miejscu, gdzie ongiś stał Dwór VI, wyobrażając sobie tamtą kolację, którą w czerwcowy wieczór 1807 roku spożywał książę gdański z cesarzem Francuzów. Niestety, historycy ani słowem nie wspominają o menu. Wiadomo tylko, że po jedzeniu Napoleon oddał się swojemu ulubionemu zajęciu – studiowaniu map. Po jego lewej stronie stał Lefebvre, po prawej – Rapp. Cesarz długo wędrował wskaźnikiem po rozległych przestrzeniach państwa Romanowych, aż wreszcie pokazał Gdańsk i powiedział: „To miasto jest kluczem do wszystkiego”. Nie przypuszczał chyba, że historia powtórzy te słowa wiele razy, bez podawania źródła.

POR. LUDWIK HRABIA DE PLELO

Księga, Wiedeń 1893

Gdyby nie pewien tom wierszy, nienotowany przez żadną bibliografię, nie wiedzielibym o istnieniu Henryka von M. Wprawdzie w *Historii baronów kurlandzkich* ród von M. opisany jest aż na trzech stronicach, uzupełnionych drzewem genealogicznym sięgającym mistrzów pruskich XIV wieku, ale o samym Henryku, który zginął w Wiedniu 31 grudnia 1893 roku w apartamencie Sacher Hotel, opasyły tom wydany w Norymberdze nie wspomina ani słowem.

Od najmłodszych lat prześladował go sen: krążył po ulicach wielkiego, obcego miasta w poszukiwaniu Księgi. Miała to być opowieść uniwersalna, skończone arcydzieło epickie nieznan-

go poety, wobec którego geniusz Homera, Dantego i Tassa razem wziętych blakł jak światła pochodni w blasku słońca.

Mając niespełna dwadzieścia trzy lata, Henryk von M. przemierzał Europę wzdłuż i wszerz w poszukiwaniu zaginionego fantazmatu. Londyn, Paryż, Genewa, Neapol, Florencja i Rzym – podobnie jak dziesiątki innych miast, w których odwiedzał antykwariaty i biblioteki – w niczym nie przypominały metropolii ze snu, gdzie odnaleźć miał Księgę. Odwiedził nawet Aleksandrię, Jerozolimę, Konstantynopol, ale i tam, podobnie jak w Damaszku i Smyrnie, znalazł jedynie pustki hotelowych pokoi, beznadziejnej nudy i przygodnego towarzystwa europejskich snobów, którzy zachwycali się Lewantem.

W podróży tej, trwającej ponad dwa lata, nabawił się bezsenności. Cierpiał z jej powodu nie tylko fizycznie. Odtąd – skoro nie mógł już śnić – obraz dziwnego miasta i Księgi nie nawiedzał go. Pozostawała mu jedynie pamięć o własnym śnie, którego kontury i szczegóły – tak niegdyś bliskie – zanikały teraz jak twarz dawno zmarłej, ukochanej osoby. Już w swoim majątku Ausztura, położonym trzydzieści parę wiorst od Dorpatu, napisał i wydał własnym sumptem tom wierszy zatytułowany *Schlaflosigkeit*.

Historyk literatury nie zaliczyłby dwudziestu jeden pomieszczonych w nim pieśni do poezji wybitnej. Nadmierny, niczym niehamowany symbolizm, oniryczne i przemieszane ze sobą pejzaże Wenecji, Belgradu, Jerozolimy czy Londynu tworzą ich monotonne tło. W każdej z dwudziestu jeden pieśni nieznanego wędrowca z „kraju melancholijnych jezior i lodowcowych wzgórz” odnajduje wreszcie Księgę i szczęśliwy powraca do domu, aby zaślubić Damę.

Latem 1893 roku Elizabeth von Trota napisała do Henryka długi list z Berlina. „Właśnie wróciłam z Wiednia – informowała swojego dalekiego kuzyna – gdzie młody, obiecujący lekarz,

niejaki Zygmunt Freud, lecz nietypowe przypadłości zupełnie nowymi sposobami. Jest w tym jakaś żydowska magia – dawała – ale wiem, że ty, Henryku, pozbawiony jesteś przesądów i uwierz – od tamtej pory nie mam już moich potwornych migren”.

Nie wiadomo, dlaczego zwlekał z tą podróżą. Ostatecznie pod koniec listopada udał się do Wiednia, gdzie odbył kilkanaście spotkań z doktorem poleconym przez kuzynkę. Nie wiadomo, czy to właśnie w ich wyniku Henryk von M. odzyskał zdolność snu. Wiadomo, że 27 grudnia miał sen, w którym śnił Miasto i Księżę. Zapisał to w swoim notesie. Wiadomo też, że dzień przed tragedią tajemniczy nieznajomy odwiedził Henryka w apartamencie Sacher Hotel i sprzedał mu grubą księgę, prawdopodobnie rękopiśmienną, o czym świadczyły resztki nadpalonego pergaminu, odnalezione przez agentów w toku śledztwa.

Z raportu Kajetana Altenberga, komisarza ck policji wiedeńskiej, jak również zeznań hotelowego detektywa Dragomira Petraviccia wynika, że nie udało się ustalić, kim był ów nieznajomy. Nie udało się także ustalić pochodzenia ani zawartości księgi, którą Henryk von M. krytycznego wieczoru 1893 roku cisnął na pastwę płomieni hotelowego kominka. Ciało zastrzeżonego barona znaleziono następnego dnia, to jest 1 stycznia 1894 roku, o godzinie 9.40 w łazience apartamentu. Stwierdzono, ponad wszelką wątpliwość, samobójstwo. Na kartce wyrwanej z notesu widniało tylko jedno, choć powtórzone dwukrotnie słowo, skreślone ręką denata – *Schrecklich, Schrecklich...*

O tej historii dowiedziałem się od mojej babki, Marii Huellowej, która latem 1938 roku spędzała wakacje na Wileńszczyźnie, w jednym z podupadłych już wówczas majątków rodziny von M. Ofiarowano jej tam pięknie wydany tom poezji *Schlaflosigkeit*, co po polsku znaczy *Bezsenność*. Książka przetrwała

okupację, zmiany granic i przeprowadzki, aż wreszcie trafiła do Gdańska. Przez wiele lat rozmyślałem o Henryku von M. i zagadce tamtej sylwestrowej nocy. Być może napiszę o tym kiedyś krótkie opowiadanie. Przedziwna symetria dat sprawiła, że streszczam tę historię teraz, w ostatnich dniach 1993 roku.

POR. „DER SCHERZ”; HAIDGASSE, ROK 1927

Kuźniczny Zaulek

Śladów Dostojewskiego jest w Petersburgu wiele. Można – jeśli jest się wielbicielem pisarza – spędzić w tym mieście sporo dni, wędrując ścieżkami jego bohaterów albo samego twórcy, który przeżył tu łącznie dwadzieścia osiem lat, zmieniając adres ponad dwadzieścia razy. Zazwyczaj wynajmował mieszkanie w dzielnicach mało reprezentacyjnych, ubogich, pełnych nędzy, tanich knajp, podejrzanych szulerni, obskurnych domów publicznych. Taki charakter miało w drugiej połowie XIX stulecia najbliższe otoczenie placu Siennego (handlowano tam wówczas sianem, obrokiem, warzywami), gdzie przy ulicy Małomieszczańskiej (obecnie Skarbowej) Dostojewski mieszkał kolejno w trzech kamienicach, niezbyt od siebie odległych. To właśnie tutaj, na placu Siennym, Raskolnikow w mistycznym uniesieniu pokłonił się światu, padł na kolana i ucałował brudną, pełną grzechu i plugastwa, a jednak świętą – według pisarza – ziemię rosyjską. Miejsce to ma również pewien polski akcent. W pamiętniku Heleny Szymanowskiej Siennaja Płoszczad’ wspomniana jest przy okazji kupowania kartofli o siódmej rano z panem... Adamem Mickiewiczem. Dzisiaj ta okolica w niczym nie przypomina dawnej gęstwiny ludzi, konnych zaprzęgów, straganów, drewnianych szop, stajni i spelunek.

Plac zabudowany jest powojennymi blokami i jedynym budynkiem z czasów autora *Zbrodni i kary* pozostał tu, jak na ironię, ponury gmach byłego posterunku policji. Zupełnie inne wrażenie wywiera dziś Kanał Gribojedowa (dawniej Katarzyny): kamienne nabrzeża, mosty, pierzeje kamienic przeglądające się w wodzie, wąskie zaułki, wszystko to – oczyszczone z sowieckiej polityry, powoli nabierające życia dzięki otwieranym tu knajpom i sklepom – pozwala wyobrazić sobie przynajmniej w przybliżeniu atmosferę ubiegłego stulecia. To właśnie nad tym kanałem, pod domem z numerem 63, spacerowała Sonia, wabiąc swoich klientów. Po drugiej stronie wodnej wstęgi możemy precyzyjnie odnaleźć kamienicę, gdzie znajdowało się mieszkanie Alony Iwanowny, najsłynniejszej w literaturze świata lichwiarki, nieco dalej dom, gdzie mieścił się (tak ważny w powieści) posterunek policji, a także narożny budynek przy ulicy Przewalskiego, w którym Raskolnikow wynajmował swoją norę. Odwiedzając te wszystkie miejsca, ze zdumieniem postrzegamy rzecz pozornie oczywistą – akcja *Zbrodni i kary* rozgrywa się właściwie w jednym kwartale miasta. Klaustrofobiczne stany Raskolnikowa (a także samego Dostojewskiego) przekładają się w tekście na precyzyjną mapę tego niezbyt wielkiego obszaru, niezwykle gęsto nasyconą topograficznym i architektonicznym detalem. Można się o tym przekonać, odwiedzając wspomniany już, trzypiętrowy budynek na rogu ulicy Przewalskiego. Przedsiónek, drzwi do schodów prowadzących na piętro, sklepienia – wszystko to wygląda rzeczywiście tak, jakby przed chwilą przemknął tędy Raskolnikow.

Ten petersburski realizm Dostojewskiego jest oczywiście zwodniczy. Sam pisarz wspomina w roku 1861, że to miasto, odkąd je poznał, było dla niego zawsze „fantastycznym zwiędem” i „widzeniem sennym”. „Ostatnia wędrówka Swidrygaj-

łowa – pisze Jarosław Iwaszkiewicz – ukazuje nam prawie całe ówczesne miasto od Mojki do Fontanki i wszystko w jesiennym, okropnym deszczu, zanurzone w niekończącej się nocy”. Psychiczna gorączka, jaką obdarzony jest Swidrygajłow, oraz owa „niekończąca się noc”, w której toną petersburskie zaułki, to właśnie jeden z zasadniczych rysów wizji Dostojewskiego. Pisarza, który – zacytujmy raz jeszcze Iwaszkiewicza – „widząc place targowe, sklepy, warsztaty, knajpy, cerkwie – nie widzi tego, co uderza na każdym kroku, nie widzi pięknych pałaców...” W istocie, Petersburg to miasto szerokich perspektyw, wielkich bulwarów, geometrycznie uporządkowanych linii placów, parków i pałacowych rezydencji. Mickiewicz dostrzegł za tą fasadą, za całym tym klasycystyczno-barokowym blichтром, system oraz ideę samodzierżawia, pychę rosyjskiej monarchii, jej nuworyszowski blask i pustkę. Puszkina obdarzył to samo miasto najpiękniejszymi strefami *Jeżdźca Miedzianego*. Dostojewski zaś stworzył jego obraz, nakładając na realistyczne szczegóły neurasteniczny, ciemny w tonacji filtr swojej wyobraźni i doświadczeń.

Warto o tym pomyśleć, wchodząc do narożnej kamienicy pod numerem piątym w Kuźniecznym Zaułku, gdzie Dostojewski wynajmował dwukrotnie to samo mieszkanie. Najpierw w roku 1846 (pisał wówczas *Sobowtóra*), następnie pojawił się tutaj w październiku 1878, już z żoną Anną i dwojgiem dzieci. Spędził w nim ostatnie trzy lata swojego życia, śmierć zastała go pochylonego nad drugim tomem *Braci Karamazow*. Dopiero od roku 1971 funkcjonuje tu muzeum pisarza i jak zawsze w tego typu przestrzeni nie mamy pewności, na ile wierna jest to rekonstrukcja. Sypialnia dzieci, łazienka, gabinet Dostojewskiego, pokój żony (przechodni) stanowią razem niewielkie mieszkanie o zamkniętym układzie złamanego prostokąta.

Pomieszczenia są niewielkie, sprzęty niezwykle skromne, tapety niewyszukane, kolorystyka całości utrzymana w ciemnych zieleniach i brązach, co przy dość skąpej ilości naturalnego światła (tylko dwa pokoje mają okna) daje w efekcie nastrój mało pogodny, nieprzytulny. Pamiętając o tym, że Dostojewski nie grał już wówczas w ruletkę, a nad dochodami coraz sławniejszego i poczytnego na całym świecie pisarza rozciągała żelazną kuratelę żona Anna, możemy być z lekka zaskoczeni skromnością mieszkania numer dziesięć przy Kuźnicznym Zaułku.

Bywało tu wielu, mniej lub bardziej znakomitych gości: studentów, wielbicieli, dziennikarzy. Tutaj powracał Dostojewski z obiadów, na które zapraszał go wielki książę Konstanty Konstantynowicz, a także sam cesarzewicz wraz z małżonką. Tutaj też powstała – oprócz *Braci Karamazow* – słynna mowa Dostojewskiego na odsłonięcie pomnika Puszkina w Moskwie, mowa, w której – niczym w soczewce – odbiły się poglądy pisarza na Rosję – zbawicielkę świata, i Zachód – zły, materialistyczny, pełen egoizmu. Ale to już zupełnie inny temat, wart być może przypomnienia na marginesie ostatniej książki Solżenicyna lub wypowiedzi niektórych polityków obecnej Dumy.

POR. DEDALUS, DUBLIN, TULLA; MARSOWE POLE 1831; PAŁAC ZIMOWY; ULICA WIELKA MORSKA

La belle Polonaise

Ta epoka zaczynała się optymistycznie. Poeci sławili miasto, masę, maszynę i wyzwolonego z przesądów człowieka. Przyszłość widziano jako nieprzerwane pasmo triumfów techniki, urbanizacji, instynktu i nowoczesnej sztuki. Zwłaszcza w Paryżu, gdzie rytm owej modernistycznej symfonii zagłuszyć miał

hekatombę Verdun i pamięć okopów pierwszej wojny. Europa, jak nowo narodzone, bezgrzeszne i niewinne dziecko, ufnie patrzyła w nadchodzące lata. Rozczarowanie przyszło równie prędko jak poprzedzająca je euforia. W monachijskiej piwiarni sfrustrowany malarzyna obmyślił już całkiem inny porządek świata. Na Kremlu rozpoczynały się pierwsze czystki, a plany światowej rewolucji, jakkolwiek pokrzyżowane przez armie Józefa Piłsudskiego, nigdy nie zostały odłożone do szuflady.

To było tło, na którym zajaśniała gwiazda pięknej Polki. Nie od razu wszakże. Kiedy przybyła do Paryża w roku 1923 ze swoim mężem Tadeuszem, była nikomu nieznaną, jeszcze jedną uciekinierką z czerwonego Piotrogradu *via* Kopenhaga. Nikogo nie obchodziły jej losy – warszawskie dzieciństwo, edukacja nad Lemaniem czy przeżycia w bolszewickim kraju, gdzie omal nie zginął w kazamatach przezwycajki jej świeżo poślubiony – i to wbrew woli rodziny – mąż. Zamieszkali w tanim, obskurnym hoteliku. On czytał całymi dniami powieści detektywistyczne, ona zaczęła pobierać lekcje malarstwa i rysunku u André Lhote’a. Kiedy Collete Weil wystawiła jej prace, ujrzano klientów, którzy wchodzili do galerii z zamiarem kupna Matisse’a czy Marii Laurencin, a wychodzili stamtąd z płótnami Tamarę Łempickiej na ramionach. Towarzyszył temu sukces towarzyski. *La belle Polonaise* weszła do paryskiej bohemy głównymi drzwiami i jej uroda, jej ekstrawagancki sposób bycia, jej niepokromiony temperament na równi z jej płótnami przysporzyły artystce grona zagorzałych wielbicieli. Obracali się wokół niej oryginałowie, artyści i arystokraci. Po latach jej córka Kizette będzie wspominać: „Kiedy wracała późno z przyjęcia, podekscytowana, z niespożytą energią, budziła mnie, aby opowiadać o słynnych artystach i pisarzach, których spotkała, o hrabiach i księżętach, z którymi tańczyła, o księżętach i księż-

nicznych, którzy zapraszali ją na lunch, na kolacje, do opery czy na inne przyjęcie”. Odtąd Tamara Łempicka stała się częścią elity, elity, którą w tamtych latach symbolizowały: paryski Ritz, Grand Hôtel w Monte Carlo, samochodowe wyścigi, kokaina, wolna miłość i... *art déco*. Jej słynny autoportret w zielonym bugatti, zreprodukowany w tysiącach kopii w niemieckim magazynie dla pań, ucieleśniał mityczny *image* epoki: chłodne, stalowe spojrzenie kobiety wyzwolonej oraz subtelne połączenie erotyzmu z nowoczesną techniką. O portrety jej pędzla zabiegali najbogatsi i najlepiej urodzeni. Umiała pośród nich wybierać i – jak sardonicznie mawiał jej mąż – czynić z nich swych wpływowych kochanków. Epizod jej życia związany z Gabrielem d’Annunzio – przyjacielem Lenina i protegowanym Mussoliniego, poetą, który do swoich kochanków zaliczał księcia Piemontu, a do kochanek nieprzeliczone rzesze pomywaczek i służących – mógłby się stać tematem prawdziwie hollywoodzkiego kiczu. D’Annunzio, „karzeł w uniformie” – jak nazwała go Łempicka – nie stał się jednak mężczyzną jej życia. W roku 1928 spotkała barona Raoula Kuffnera, postać niczym z powieści Witkacego. Ten utytułowany przez Franciszka Józefa właściciel węgierskich browarów i latyfundiów, bajecznie bogaty kolekcjoner sztuki, zaproponował pięknej Polce małżeństwo. Była już po rozwodzie z Tadeuszem i nie przegapiła tej okazji. Na stałe baronostwo przenieśli się do Ameryki w roku 1939, gdzie w Beverly Hills Raoul kupił okazałą rezydencję. Tu także Tamara nadawała ton, a jej portrety i wystawy cieszyły się niesłabnącym powodzeniem w kręgach artystyczno-finansowej socjety. Jej malarstwo, łączące elementy klasyczne z domieszką lekkiej, kubistycznej deformacji, stale się podobało. „To dlatego – mawiała do córki – że maluję czysto i w sposób skończony, moje płótna to żywe kolory i urok moich modeli”.

W istocie, było w tym dużo formy plakatywnej, typowej dla lat trzydziestych, i uproszczonej, schematycznej konstrukcji ciała ludzkiego. Trzeba przyznać, że niektóre z tych obrazów robią wrażenie do dziś. Najpewniej – kobiece akty, które Lempicka malowała często i chętnie. Może dlatego, że sama była kobietą piękną, świadomą swej urody i wrażenia, jakie wywierała na mężczyznach. Na fotografii z lat trzydziestych widzimy sylwetkę i twarz, których nie sposób zapomnieć. Jej fotografia z lat siedemdziesiątych przedstawia twarz pomarszczonej, starej kobiety, której spojrzenie nie poddało się jednak niszczycielskiemu działaniu czasu. Do ostatnich dni oczy Tamary Łempickiej miały w sobie coś niezwykle, hipnotycznego. Wyrażały nienasycony głód i wolę życia.

Zmarła w marcu 1980 roku w amerykańskiej miejscowości Cuemavaca. Zgodnie z jej życzeniem córka rozsypała prochy Tamary de Lempickiej, von und zu Kuffner, nad kraterem wulkanu Popocatepetl. Od Warszawy, gdzie urodziła się osiemdziesiąt dwa lata wcześniej, dzieliły ją tysiące kilometrów. Na jej ślad trafiłem jednak nie w Meksyku czy w Warszawie, ale w Paryżu, przy rue de Danzig. W saloniku siwej pani Sorge, tuż nad secesyjną kanapą, wisiał kobiecy portret sygnowany: „Tamara de Lempicka, 1926”. Nie wiedziałem wówczas, że w tym samym roku Gabriel d’Annunzio podarował Tamarze swoją fotografię z autografem. Nie wiedziałem też, kim była malarka, której nazwiska nie wymieniają popularne wydania historii sztuki polskiej. Ale to już zupełnie inna historia...

Lata Telimeny

Jak wiadomo, *Pan Tadeusz, czyli ostatni zajazd na Litwie* jest historią, której pierwsza część rozgrywa się w roku 1811. Jeżeli policzyć dokładnie, tytułowy bohater poematu Mickiewicza, Tadeusz Soplica, ma w chwili rozpoczęcia akcji lat siedemnaście. Poeta mówi wyraźnie, że młodzieniec „nosił Kościuszkowskie miano na pamiątkę, że w czasie wojny się urodził”. A skoro tak, to narodziny Tadeusza musiały mieć miejsce pomiędzy 24 marca 1794 roku (ogłoszenie przez Kościuszkę powstania w Krakowie) a – najpóźniej – dniem 4 listopada tegoż roku, kiedy Suworow zdobywa Pragę, uświetniając zwycięstwo Rosjan rzezią i grabieżą. Od tych wydarzeń historycznych do chwili, kiedy przed soplicowski dwór „dwukonną bryką wjechał młody panek”, upłynęło ni mniej, ni więcej tylko lat siedemnaście. Trudno powiedzieć, co miał na myśli Mickiewicz, pisząc w innym miejscu Księgi I, że Tadeusz „liczył lat blisko dwadzieście”. To sformułowanie sugeruje, że mamy do czynienia raczej z osiemnasto- bądź dziewiętnastolatkiem, o którym wiemy na dodatek, że właśnie ukończył nauki w Wilnie. A jeśli tak, to pierwsza informacja o narodzinach „w czasie wojny” nie jest już tak ścisła i należałoby ją traktować bardziej symbolicznie, bez matematycznej pedanterii.

Znacznie większy kłopot mamy z określeniem wieku Telimeny. Kiedy pojawia się po raz pierwszy w sieni zamku Horeszków na wieczerzy wydanej przez Sędziego, pisze o niej poeta – „przystojna i młoda”. To sformułowanie jest oczywiście tyleż ogólne, co ironiczne. Telimena jest przecież mistrzynią stylizacji i wszystko w jej aurze: strój, biżuteria, spojrzenie, dyskretnie stosowany makijaż, a nawet sposób pojawienia się i zasiadania przy stole, są misternie przygotowane i obliczone na konkret-

ny efekt – zabłyśnięcia przed gośćmi, a zwłaszcza nowo przybyłym młodzikiem. W dalszym ciągu wieczerzy od zjadliwego Asesora Tadeusz dowie się, że Telimena jest jego ciocią oraz że „mieszkała w stolicy i bawi się niedawno w naszej okolicy”. Na Litwie w roku 1811 określenie „stolica” nie oznaczało rzecz jasna już ani Wilna, ani tym bardziej Warszawy, ale Petersburg, który dla Telimeny stanowi nieustannie „miłe wspomnienia, wdzięczne przeszłości obrazy”. A skoro bywała tam – jak sama opowiada – „nie raz, nie dwa razy”, mieszkając „w pałacyku tuż nad Nową rzeką”, skoro przyjmowała w nim znacznych gości, obracając się w towarzystwie wielkiego świata, domniemywać można, że jest kobietą co najmniej dojrzałą. Cóż to jednak oznacza? Oczywiście nie dzisiaj, ale w roku 1811? Że miała wówczas lat dwadzieścia pięć? Trzydzieści?

Autor poematu nie ułatwia nam rozwiązania zagadki... Bliższym odkrycia prawdy będzie Tadeusz, kiedy w świątyni dumania rozgoryczony przyjrzy się swojej kochance z bliska. Na jej twarzy – ku swemu utrapieniu – ujrzy karmin, bielidło i piegi. Kobieta „przystojna i młoda” teraz opisana jest bezlitośnie: „Dwóch zębów braknie w ustach, na czole, na skroni zmarszczki, tysiące zmarszczków pod brodą się chroni!”. A jednak, mimo tak bolesnej demistyfikacji, wiek Telimeny nadal pozostaje intrygująco niedookreślony. Być może lepszym – od wnikliwego śledzenia jej urody – będzie trop historyczny. Od niej samej dowiadujemy się przecież, że „żyjąc w stolicy czas długi, wyrządziła nieźmierne Sędziemu przysługi”. Na czym polegać mogła owa „nieźmierność”? Sędzia, jak wiemy, znacznie poszerzył swój majątek po upadku powstania Kościuszki. Tłumaczy wprawdzie, że nie zabiegał o dobra zarekwirowane Horeszkom, nie był uczestnikiem Targowicy, ale fakt pozostaje faktem: skorzystał na klęsce swego sąsiada-patrioty. I nie mógł wejść

w posiadanie dóbr buntownika, bez legalizacji tego stanu rzeczy przez odpowiednie urzędy w Petersburgu. Trzeba było działać skutecznie, to znaczy szybko. Z prawdziwą lawiną tego typu spraw mamy do czynienia w stolicy Rosji tuż po upadku powstania, w latach 1794 i 1795.

Jak pisze Ludwik Bazyłow w monografii *Polacy w Petersburgu* – „konfiskaty dóbr były najdotkliwsze dla polskich i litewskich magnatów, toteż jeszcze za życia Katarzyny II cała ich masa dosłownie runęła na Petersburg, ażeby wyprosić zwrot majątków w całości, lub chociaż w części, niektórzy też dla otrzymania urzędów. Na ogół nie krępowano się nawet najjaśniejszymi formami upokarzania się przed dworskimi decydentami”. W przedpokojach carycy antyszambrowali Potoccy, Czartoryscy, Radziwiłłowie, Poniatowscy, Działyńscy, ale także targowiczanie – Ożarowscy, Zabiełłowie, Branicki i Rzewuscy. Podczas gdy uwięzieni Kościuszko, Niemcewicz czy Kiliński rozważali gorzki los umarłego królestwa i zniesionej konstytucji, w salonach Zubowa – faworyta Katarzyny – spotykali się dawni polityczni wrogowie. Kiedy Czartoryscy dostąpili wreszcie zaszczytu przyjęcia w Carskim Siole, poszli po radę do Franciszka Ksawerego Branickiego: czy wypada im, w dowód wdzięczności, ucałować rękę imperatorowej? Na co Branicki odparł: „całujcie ją, gdzie tylko zechce, byle tylko zwróciła wam majątki...”

Jeśli Telimena oddawała owe „nieźmierne przysługi” Sędziemu właśnie w tamtym, gorącym czasie lat 1794-1796, musiała być już wówczas kobietą byłą i dojrzałą, powiedzmy dwudziestoletnią. A zatem, kiedy spotyka w roku 1811 Tadeusza, młodzieńca liczącego lat „blisko dwadzieście”, sama liczy już lat około trzydziestu ośmiu. Ale czy wówczas powiedziałby o niej poeta – choćby nawet ironicznie – że była młoda? Może

więc Telimena działała w Petersburgu na rzecz Sędziego nieco później, za panowania cara Pawła. Wówczas w roku 1811 moglibyśmy ją odmłodzić o jakieś pięć do ośmiu lat? Wtedy Tadeusz kochałby się w kobiecie trzydziestoletniej, co – myśląc o Wajdowskim projekcie ekranizacji poematu – wydaje się nie bez znaczenia.

POR. LA BELLE POLONAISE

Lewko, syn Jordana

Nieszczęście, kiedy dopada łotra i grzesznika, jest zrozumiałe. Ale jak wytłumaczyć morowe powietrze, suszę, głód albo pożar miasta? Spada na wszystkich i jednakowo godzi w złych i dobrych chrześcijan. Trudno było pojąć, by sprawiedliwy Bóg był aż tak bezduszny. Przyczyn szukano więc gdzie indziej i znajdowano je. Kiedy opat Stanisław w *Kronice oliwskiej* opisuje straszną zarazę, jaka dotarła do Prus i na Pomorze w roku 1349, „pożerając nieskończoną ilość mężczyzn i kobiet”, podkreśla, że wzniciła ona żywiolową nienawiść do Żydów. Oskarżano ich, że „w całych Niemczech i Polsce zatruli źródła i rzeki, z których chrześcijanie czerpali wodę do gotowania”, dlatego też – stwierdza kronikarz – „zglądono wszystkich Żydów w całej Alemanji i prawie w całej Polsce...” Gdy w krakowskim domu rajcy Tomasza, w drugim dniu Zielonych Świątek 1454 roku wybuchł pożar, niszcząc następnie około stu domów, cztery kościoły i kolegium prawnicze, tłum rozpoczął rabowanie żydowskich sklepów, oskarżając o spowodowanie tragedii właśnie Żydów. Wielu z nich wygnano wówczas z Krakowa, gdyż – jak pisze Długosz w V tomie swojej *Kroniki* – „tak srogi pożar był karą niebios za nadane Żydom z obrazą Boga przywileje...”

W dziele Majera Bałabana, opisującym historię Żydów w Krakowie i na Kazimierzu, co rusz natykamy się na podobne wydarzenia. Opisane rzeczowo, zawsze udokumentowane, mogłyby – zebrane w jedną listę – stworzyć obraz Polski i jej dawnej stolicy jako miejsca szczególnie Żydom nieprzychylnego. Perspektywa, jaką przyjmuje historyk, jest jednak zupełnie odmienna: wyznawcy Tory osiedlali się w Krakowie właśnie dlatego, że w porównaniu z innymi miastami ówczesnej Europy był dla nich miejscem bezpiecznym. Pierwsza większa grupa żydowskich osadników dotarła do Polski z Czech po roku 1096, kiedy to w Pradze dokonano okrutnego pogromu. „Odtąd – pisze Bałaban – będzie to imigracja coraz silniejsza, a przyczyniać się do niej będą raz poraz powtarzające się wyprawy krzyżowe i towarzyszące im prześladowania «niewiernych»”.

Obraz polskich książąt i monarchów, jaki wyłania się z kart dzieła żydowskiego historyka, jest wizerunkiem przychylnym. Suwerenowie znad Wisły nie przejawiali wobec Żydów tej pasji misyjnej, która charakteryzowała arcykatolickich monarchów Hiszpanii, kilku papieży czy księżęta Rzeszy. Według Bałabana – kolejne, nasilające się fale antyżydowskiej propagandy, pociągające za sobą coraz sroższe ustawy, a także krwawe rozruchy, przychodziły do Polski z Europy Zachodniej. Nie oznacza to oczywiście, że nie znajdowały w Polsce swoich zwolenników, ale jest też faktem bezspornym, że władcy na Wawelu niechętnie traktowali tych duchownych czy urzędników państwowych, którzy domagali się coraz to gwałtowniejszych środków przeciw Żydom.

Gdy mieszczanie i szlachta zażądali od króla, by wreszcie zmusił Żydów do noszenia znaków hańby (żółte krążki przy szywane do odzieży, zatwierdzone jeszcze w XIII wieku przez sobór laterański, także wysokie, spiczaste czapki), Zygmunt I



TAMARA ŁEMPICKA *Dwie przyjaciółki*, olej na płótnie, 1923

w dekrete z dnia 10 lipca 1544 roku stwierdził, „że Żydowie we wszytkiej naszej koronie będący, nie mają być przymuszani od tego czasu ku noszeniu takich czapek i znaków...” Sto lat wcześniej przeciwko przywilejom nadanym Żydom przez Kazimierza Jagiellończyka ostro występował – pospółu z Janem Długoszem – Zbigniew Oleśnicki. Król miał jednak w tej materii własne zdanie i nawet przybycie do Krakowa słynnego franciszkanina Jana Kapistrano, którego kazania w wielu miastach Europy kończyły się „słusznym gniewem chrześcijan” i stosami, nawet więc jego płomienne kazanie na krakowskim rynku nie zmieniło woli monarchy. Kapistrano przesłał wówczas do papieża odpis przywilejów Jagiellończyka, donosząc „Król polski nie posłuchał mojej rady w sprawie przywilejów żydowskich, których kopię przesyłam Waszej Świątobliwości wraz z innemi książkami przeciw potomkom czarta...” Oleśnicki zatriumfował dopiero podczas wojny trzynastoletniej, kiedy Kazimierz Jagiellończyk złamany buntem pospolitego ruszenia, musiał nadać szlachcie nowe przywileje, a także anulować wszystkie dotychczasowe uprawnienia Żydów. „Powstał wówczas – pisze Bałaban – stan bezprawny *ex lex*, który zdawał Żydów na łaskę i niełaskę urzędów miejskich, których tak się okropnie bali”. Czasy Kazimierza Wielkiego wówczas były już tylko wspomnieniem, podobnie jak legendarna postać Lewka – największego finansisty gminy żydowskiej w Krakowie.

„O ojcu Lewka – pisze Bałaban – Jordanie, wiadomo tylko tyle, że już około 1321 roku mieszkał w Krakowie przy ulicy Żydowskiej, gdzie posiadał grunta i place pod budowę domów”. Sam Lewko, który Kazimierzowi Wielkiemu „wysługiwał się wielkimi sumami”, służył także monarchom następnym – Ludwikowi Węgierskiemu i Władysławowi Jagielle, którego został oficjalnym bankierem. Fakt, że miał tak możnych klien-

tów, stwarzał z jednej strony solidne zabezpieczenie, z drugiej jednak drażnił mieszczan krakowskich, ci bowiem nieustannie narzekali „na Lewka i jego synów, którzy żyją jak panowie i znajdują poparcie u panów i władz miejskich...” Najpóźniejsze ślady operacji finansowych wdowy po Lewku i jego synów znajduje Bałaban w skryptach z roku 1422, ale w dokumentach rejestrujących mienie zagrabione Żydom podczas pogromu w roku 1407 historyk natrafia na „postawy skórek gronostajowych, które stanowiły własność syna Lewka, Kanaana”. Ów pogrom – warto zaznaczyć – wywołał uczony Akademii Krakowskiej, magister Budek, głosząc z ambony ludowi, „że Żydzi zamordowali dziecko chrześcijańskie, nad krwią jego srodze się pastwili i na księdza, co szedł do chorego z krucyfiksem w rękę, kamieniami ciskali...”

Dzieło Bałabana nie jest na szczęście monografią lęku: tego chrześcijańskiego – przed „matactwami Żydów”, i żydowskiego – przed „gniewem chrześcijan”. Oparte na bogatej faktografii, czerpiące ze wszystkich możliwych archiwów, stanowi niezwykle cenne spojrzenie na dzieje Polski, ofiarowując czytelnikowi odmienną perspektywę. O Lewku, synu Jordana, ani magistrze Budku nie przeczytałem ongiś w żadnym z moich szkolnych podręczników do historii.

POR. PUBLIUSZ, HISPALA, BARCHUS; W 1937 ROKU W MARIENBADZIE

Ludwik hrabia de Plelo

Miał wszystko, czego pragnąć mógł francuski arystokrata w tamtej epoce: znakomite pochodzenie, świetne koligacje, stosunki na dworze królewskim, a także długi, świadczące o odpowiednim do urodzenia, rozrzutnym i wystawnym trybie życia.

Jego młodość, która upłynęła nie bez libertyńskiego doświadczenia, znalazła wszak puentę jak na tamte czasy nietypową: małżeństwo z czternastoletnią Ludwiką de la Vrilliere okazało się szczęśliwe i udane do tego stopnia, że pozazdrościć mu go mogli przyjaciele lat młodości, towarzysze dawnych, beztrojskich hulanek. W domowym zaciszu oddaje się badaniom naukowym. Pisze rozprawy dla Akademii Nauk, docieka najrozmaitszych problemów filologii i przeprowadza eksperymenty chemiczne, o których często dyskutuje z ukochaną żoną. Gdyby nie tłumy wierzycieli, ścigających go aż do Normandii, byłby zapewne człowiekiem spełnionym i szczęśliwym. Sytuacja finansowa zmusza go jednak do działania; w roku 1728 gorąckowo studiuje arkana dyplomacji, by rok później, za namową krewnych, objąć ambasadę Królestwa Francji w Kopenhadze. Gilles Perrault, pisząc o tym okresie życia hrabiego Plelo, mówi wprost – „nudził się śmiertelnie”. Może dlatego po czterech latach służby dyplomatycznej poprosił Wersal o dymisję? Ta jednak nie została przyjęta. Był rok 1733. W Warszawie, dzięki zabiegom stronnictwa profrancuskiego, na tron obrano Stanisława Leszczyńskiego, teścia króla Francji. Elekcji sprzeciwiła się caryca, popierająca – wraz z częścią polskiej szlachty – Sasa. Wojska rosyjskie zbliżyły się do Warszawy. Król Stanisław Leszczyński z garstką żołnierzy i wiernych stronników ucieka do Gdańska. Za jego potężnymi murami czeka na obiecaną pomoc francuską. Neutralna Kopenhaga, położona trzy dni żeglugi od Gdańska, nabiera więc znaczenia. Hrabia Ludwik de Plelo nie przypuszcza jeszcze, że decyzja Wersalu o odrzuceniu dymisji, zaważy na jego życiu tak tragicznie.

To, co wydarzy się teraz wokół wojny o tron polski i wokół obleżonego Gdańska, skrótowno nazwać można historią dwóch desantów. Pierwszy przyniesie hańbę francuskiej koronie i uczy-

ni pośmiewisko z francuskiej armii, drugi – oprócz politycznej i ostatecznej klęski Leszczyńskiego – będzie przyczyną śmierci hrabiego Plelo. Pierwszy desant z Francji – *via* Kopenhaga – pojawił się na gdańskiej redzie 11 maja 1734 roku. Miasto, udręczone rosyjskim oblężeniem, wita przybyłe fregaty z entuzjazmem i nadzieją. Radość z odsieczy jest jednak krótkotrwała. Dwa bataliony francuskiej piechoty, które wylądowały w okolicach dzisiejszego Westerplatte, nie podjęły żadnych, choćby symbolicznych działań zaczepnych. Jak pisze Edmund Cieślak, „Brygadier Lamotte de la Peirouze – dowódca ekspedycji – zwoływał narady wojenne oficerów, podejmował sprzeczne decyzje, nie bardzo wiedząc, co robić”. Po trzech dobach zwija obóz, ładuje żołnierzy na statki i nie oddawszy ani jednego strzału, odpływa do... Kopenhagi. Wyczekujący przez cały ten czas Rosjanie szydzą otwarciem z francuskiej waleczności, a Monti, ambasador króla Francji w oblężonym Gdańsku, pisze słynny list, w którym mówi oficerom ekspedycji, że stali się pośmiewiskiem Europy.

Desant drugi – a raczej powtórny – ładuje w tym samym miejscu 24 maja. Być może dwie wojenne fregaty i trzy transportowce, po powrocie do Kopenhagi otoczone aurą niesławy, nigdy nie wzięłyby ponownie kursu na Gdańsk, gdyby nie furia hrabiego Plelo, który w liście od Montiego przeczytał i takie zdanie: „Nigdy jeszcze brzegi Wisły nie widziały sztandarów francuskich i musiało się zdarzyć, że te sztandary pojawiły się, aby natychmiast uciec”. Rozmowa hrabiego Plelo z brygadierem Lamotte godna jest epickiego pióra. Podczas gdy hrabia mówi o honorze, Lamotte powołuje się na zdrowy rozsądek. Dwa tysiące francuskich grenadierów przeciwko trzydziestu tysiącom Rosjan to – z militarne go punktu widzenia – czyste szaleństwo. Wersal wysłał ich na pewną śmierć tylko po to, by

uspokoić swe sumienie względem teścia króla Francji, niedołęznego Leszczyńskiego. Lamotte, podobnie jak inni oficerowie i żołnierze, nie chce umierać za Gdańsk. Dla hrabiego Plelo ważniejszy jest jednak honor jego monarchy, jego narodu i jego armii, w której sam był niegdyś pułkownikiem. Podejmuje decyzję bez precedensu: bez zgody zwierzchników opuszcza swoją dyplomatyczną placówkę, w imieniu króla obejmuje dowództwo nad eskadrą i wyrusza do Gdańska.

To, co wydarzyło się niedaleko twierdzy Wisłoujście 27 maja 1734 roku, pomiędzy siódmą a dziewiątą rano, przez kilkanaście lat nie dawało spokoju wysokim urzędnikom francuskiego ministerstwa wojny. W trakcie prowadzonego śledztwa miało się bowiem okazać, że hrabia Plelo podczas drugiego ataku na pozycje rosyjskie – a pierwszy skończył się prawdziwą rzezią i zdziesiątkowaniem Francuzów – został zabity przez własnych żołnierzy. Wprawdzie Gilles Perrault zaprzecza w swojej książce takiej tezie, ale wystarczy sięgnąć do znakomitego opracowania Edmunda Cieślaka, który powołuje się na list Montiego do Ludwika XV z dnia 12 czerwca 1734 roku, by wyrobić sobie w tej sprawie pogląd odmienny od zdania francuskiego autora. Perrault dodaje, że swoisty werdykt w tej sprawie wydała caryca, polecając zawiesić w swoim gabinecie portret hrabiego Plelo, jako pierwszego w historii oficera francuskiego, który zginął od rosyjskiej kuli.

Dalsza pomoc francuska nie nadeszła. W chłopskim przeobrażeniu król Stanisław Leszczyński salwował się ucieczką z Gdańska. Elektor saski Fryderyk August objął tron polski, a zniszczone miasto musiało zapłacić zwycięzcom kontrybucje tak wielkie, że przez następnych czterdzieści lat spłacało w holenderskich bankach odestki od kredytów zaciągniętych na ten cel. Kupiecka republika – być może jedyny raz w swej historii na taką skalę

– dokonała wyboru całkiem nieracjonalnego. Podobnie jak hrabia Plelo, o którym można powiedzieć, że był człowiekiem honoru, szpady i romantycznego czucia. Jego żołnierze, wzięci do niewoli, spędzili ponad dwa lata w lochach Kronsztadu. Jest paradoksem, że umarło ich tam więcej niż w czasie potyczki o Gdańsk, za który nie chcieli ginąć. Jest również paradoksem fakt, że dwieście pięć lat po śmierci hrabiego Plelo, kiedy na Westerplatte broniła się polska załoga, ulicami Paryża przeciągali francuscy komuniści, krzycząc: „nie chcemy umierać za Gdańsk!”. Zapewne żaden z nich nie myślał wówczas o francuskim arystokracie, który w czasach Ludwika XV wypełnił swój los niczym bohater powieści Conrada.

Szkoda, że w czasie hucznych i jarmarcznych obchodów tysiąclecia, nie poświęcono hrabiemu Ludwikowi de Plelo ani minuty uwagi. Ulica, a raczej droga jego imienia, ciągnąca się w pobliżu twierdzy Wisłoujście, zniszczona – jak wszystko w tej okolicy – wzywami Siarkopolu, przynosi wstyd naszemu miastu.

POR. KSIĄŻĘ GDAŃSKI; LUNEVILLE, 23 LUTEGO 1766

Luneville, 23 lutego 1766

Dziejopis nie podaje szczegółów dotyczących szlafroka. Prawdopodobnie uszyty był z atlasu i ozdobiony złotą aplikacją. Podobne noszono wówczas na dworach w Wersalu, Dreźnie i Berlinie. W feralny poranek 5 lutego Stanisław Leszczyński – który zwykł wstawać bardzo wcześnie – zbliżył się do kominka, aby ogrzać dopiero co rozbudzone ze snu ciało. Iskra, która padła na szlafrok, stała się przyczyną nieszczęścia: zanim nadeszła pomoc, królewskie odzienie spłonęło, a skóra doznała rozległych oparzeń. Ówczesna medycyna nie знаła przeszczepów.

Stosowane maści i okłady przyniosły krótkotrwałą poprawę. Po osiemnastodniowej, pełnej cierpienia agonii w swej rezydencji w Luneville zmarł były król Polski, obecny książę Lotaryngii i Baru, teść króla Francji. Oficjalny biuletyn, codziennie przesyłany podczas tych osiemnastu dni do Wersalu, podkreślał pogodę ducha i hart cierpiącego. Opisywano stosowane przez medyka środki, menu podawane choremu, a także szczupłą listę osób odwiedzających nieszczęśnika. Gdyby nie owa fatalna iskra, dożyłby dziewięćdziesiątki. Urodzony w czasach schyłkowego baroku, umierał w epoce oświecenia – historycy skrzętnie odnotowali jego kontakty Voltaire’em i Monteskiuszem. Biuletyn przesyłany do Wersalu nie wspominał o ciężkich, pełnych bólu i majaków nocach chorego. Trawiony na przemian gorączką i dreszczami, miał dużo czasu, aby wspominać swoje długie, niezwykle życie, pełne zaskakujących zwrotów Fortuny. Scen dramatycznych było w nim pod dostatkiem, ale być może jedna z nich wracała w pamięci króla jak obsesyjny, szczególnie przykry obraz.

„Przez kilka godzin sześliśmy pieszo, prawie cały czas po grząskiej i błotnistej ziemi, w której brodząc aż po kolana, musieliśmy co chwilę udzielać sobie wzajemnej pomocy...” Tak w liście do córki opisywał swoją ucieczkę z Gdańska w 1734 roku. Druga elekcja na tron polski – podobnie jak i pierwsza – skończyła się interwencją obcych wojsk i król, w chłopskim przebraniu, po wielu miesiącach życia w obleżonym Gdańsku, salwować musiał się ucieczką. „Używane ubranie – odpowiadające roli, jaką byłem zmuszony grać, koszula z grubego płótna, prosta czapka, solidny kij sękaty z rzemieniem były już przygotowane – napisał – brakowało tylko butów z cholewami, które mógłbym włożyć, aby lepiej upodobnić się do wieśniaków z tych okolic, noszących je zawsze”. Otóż buty stanowiły w tej ucieczce problem nie lada.

Ambasador Monti od kilku dni uważnie śledził obuwie oficerów odwiedzających króla. Chodziło o odpowiedni rozmiar i o to, aby buty nie były zbyt nowe, ponieważ mogły w ten sposób wzbudzić czujność kozackich patroli. I – rzecz jasna – trzeba je było pozyskać dyskretnie, nikogo nie wtajemniczając.

Przekupiony ordynans kradnie więc swemu oficerowi upatrzone buty, które dostarczone zostają w umówione miejsce na godzinę przed planowaną ucieczką króla. „Już gotowy do wyjścia, nie mogłem ich włożyć” – wspomina lakonicznie Leszczyński. O nowej transakcji nie mogło być mowy, czas naglił, przewodnicy czekali, ambasador Monti popadł w rozpacz i wtedy – wspomina monarcha – „znalazły się pod ręką, zupełnie nie wiadomo jak, długie buty jednego ze służących, które – można by powiedzieć – były jakby zrobione na mnie...”

W Luneville, po trzydziestu dwóch latach, to przedsenne wspomnienie przynosi ulgę. Jeszcze tylko pożegnanie z Montim, jeszcze tylko błogosławieństwo dla „mego wiernego i nieszczęsnego Gdańska” i grupka kilku osób przekrada się przez fosy, zarośla i faszyny w kierunku Wisły. Buty są wygodne, ale kiedy wspomnienie wkracza w fazę gorączkowego snu, stają się przyczyną udreki. Namokłe wodą, oblepione cuchnącym mułem i bryłami błota, opóźniają marsz.

Przez osiemnaście dni agonii ta scena, zrodzona w jego rozgorączkowanej wyobraźni, powtarzać się mogła wiele razy: zanurzony po pas w bagnie nie może iść dalej, przewodnicy – już opłaceni – decydują się zostawić go samemu sobie, na pewną śmierć w żuławskim błocie. Ostatecznie jeden z nich, wiedziony litością, podaje Leszczyńskiemu gałąź. Król wydobywa się na kępę trzciny, ale w topieli pozostaje jeden but. Zaczyna się droga przez mękę. Nieobuta stopa, zmarznięta i okaleczona – puchnie, król utyka coraz bardziej, a wreszcie, kiedy zbliżają się

do Kiezmarka, kozacki patrol zwraca uwagę na kuśtygę, podtrzymywanego przez podejrzanych mężczyzn. Leszczyński zostaje rozpoznany, przewodnicy natychmiast zawisają na gałęzi, a król-elekt, prowadzony przez podchmielonych bojców do sztabu, zmuszony zostaje do zdjęcia drugiego buta – ku pośmiewisku i dla sprawności marszu.

Lutowe noce w Luneville są długie i przebudzony z koszmaru król spogląda w mrok sypialni. – Nogi – mówi do medyka – moje stopy! Są również poparzone, choć nie tak strasznie jak plecy i ramiona, lekarz odwija płótno i delikatnie naciera je maścią z pszczelego wosku. Król znów zasypia i teraz, w chłopskiej chałupie pod Malborkiem, kupuje następną parę butów.

Dlaczego właśnie buty? Przebudzony książę Lotaryngii i Baru nie poddaje swoich snów analizie. Zapewne wolałby wspominać chwile szczęśliwe, choćby tę, kiedy z politycznego bankruta i wygnańca stał się teściem króla Francji. Albo tę, gdy z kapitanem Dandelot, przebrany za pomocnika kupca, przemierzał nieprzyjazne kraje Niemiec, śpiesząc z Francji do Polski na swoją drugą, obiecującą elekcję. Jedyne, czego nie chciałby wspominać nigdy, to ów okropny dzień 13 lipca 1713 roku w Benderze, gdy z Potockim i Wiśniowieckim musieli prosić chana tatarskiego o protekcję nie tylko nad nimi, ale nad całą Rzeczpospolitą. Nigdy wcześniej majestat Najjaśniejszej nie zaznał w osobie króla-wygnańca takiego upokorzenia... Nie zmienił tego *Głos wolny*... napisany przez feralnego monarchę rodakom ku przestrodze. Umierając miał 89 lat. Rzeczpospolita przeżyła go pół wieku, lecz jej agonia trwała znacznie dłużej niż osiemnaście dni w Luneville i jej upadek nie był dziełem przypadkowej iskry z kominka.

Madame Tussaud

Według niektórych, jej prawdziwy kunszt artystyczny zrodził się dopiero w epoce jakobinów. A mówiąc ściślej – z uciętych nożem gilotyny głów, których rewolucja dostarczała z miesiąca na miesiąc coraz więcej. Zadanie rzeczywiście nie było wdzięczne – po egzekucji musiała stawić się w wyznaczonym więzieniu albo komisariacie, gdzie urzędnik podawał jej zawiniętą w płócienny węzełek głowę i mówił: „No, obywatelko, przystępujcie do dzieła”. Pośmiertne maski, które wykonywała na zlecenie reżymu, oceniano nadzwyczaj pozytywnie. Rzecz jasna, nie wszystkie ofiary terroru dostępowały takiego zaszczytu. Tylko ci najslawniejsi mogli liczyć na to, że po ścięciu ich głowa zostanie uwieczniona przez zdolne i utalentowane palce Marii Grosholtz. Kiedy – już w Anglii – jako osiemdziesięcioletnia matrona wspominała ten okres swojego życia, użyła zwrotu *the grim task*, co oznacza ponure, okrutne zadanie. Nie mogła jednak protestować ani odmówić. Wiedzano doskonale, że dziewięć lat poprzedzających rewolucję spędziła w Wersalu, nie jako zwykła pokojówka, ale jako nauczycielka sztuki samej siostry Ludwika XVI. Był to epizod zbyt obciążający, by mogła odmówić władzy ludu, jeśli sama nie chciała powędrować na gilotynę. Jej artystyczna droga zaczęła się jednak znacznie wcześniej, za sprawą Filipa Curtiusa, niemieckiego Szwajcara i doktora nauk medycznych, którego pasją było modelowanie figur woskowych naturalnej wielkości. Któregoś lata pani Grosholtz wraz z córką Marią przeniosła się ze Strasburga do Berna, gdzie jako wdowa z referencjami objęła posadę gospodyni w domu doktora Curtiusa. Gospodarz szybko docenił talenty młodzianki Marii. Została jego uczennicą. Kiedy doktor postanowił porzucić praktykę i przenieść się do Paryża, zabrał ze

sobą obie panie Grosholtz. W roku 1770 otworzył swoją pierwszą wystawę figur woskowych, która wśród paryskiej publiczności odniosła błyskawiczny sukces. Osiem lat później Maria wykonała pierwszą, całkowicie samodzielną pracę, którą była podobizna Voltaire'a, zachowana zresztą do naszych czasów. Prawdopodobnie gdyby nie rewolucja i śmierć rodziny królewskiej Maria do końca swych dni cieszyłaby się posadą i wysoką rentą w Wersalu. Wykonywanie pośmiertnych masek z obciętych, ociekających ciepłą krwią głów nie było jej powołaniem. W roku 1794 wielki terror osłabł, a doktor Curtius zmarł śmiercią całkowicie naturalną, czyniąc Marię jedyną spadkobierczynią pokaźnej już kolekcji figur. Rok później Maria Grosholtz wyszła za inżyniera François Tussaud. Małżeństwo nie było jednak zbyt udane. W 1802 madame Tussaud przeniosła swoją kolekcję do Anglii, opuszczając męża i Francję na zawsze. Przez następne trzydzieści trzy lata gabinet figur woskowych pani Tussaud, stale wzbogacany o nowe eksponaty, wędrował wzdłuż i wszerz wyspy, przynosząc właścicielce rozgłos i pieniądze. W 1835, zmęczona życiem na walizkach, postanowiła założyć stałą ekspozycję w Londynie. Pięć lat przed śmiercią – w 1845 – wykonała jedną z ostatnich prac: własną podobiznę. Starszawa pani w ciemnej sukni, w podróżnym, wiązonym pod szyją kapelusiku i w drucianych okularach ma zacięty wyraz twarzy. Nie można powiedzieć, by kiedykolwiek zaliczała się do grona kobiet pięknych i atrakcyjnych. Wita dziś gości odwiedzających jej kolekcję przy Marylebone Road i gdyby nie tabliczka informacyjna, można by ją wziąć za jedną ze zbrodniczych wdówek, opisanych przez angielskich powieściopisarzy doby wiktoriańskiej.

Duch okrucieństwa, śmierci i fascynacji momentem egzekucji nie opuścił nigdy muzeum figur woskowych. Do najatrakcyjniejszych jego zakątków należy Chamber of Horrors, gdzie w odpo-

wiednim oświetleniu można oglądać śmierć na gilotynie, hiszpańską garotę, egzekucję na krześle elektrycznym czy poprawne i elegancko brytyjskie powieszenie. Ofiary nie są figurami anonimowymi. Głowy Ludwika XVI i Marii Antoniny – podobnie jak postać Brunona Hauptmana, zgładzonego na krześle elektrycznym w roku 1936 w Trenton, New Jersey USA – przejmują swoim magicznym realizmem i przemawiają do wyobraźni. Tak samo jak wiktoriańska ulica londyńskich slumsów, gdzie na swoje ofiary czeka już Kuba Rozpruwacz. Po tych okropnościach król Henryk VIII w wianuszku swoich sześciu żon czy nieszczęśliwa Maria, królowa Szkocji, nie robią już tak mocnego wrażenia. Gorbaczow z plamą na czole albo Churchill z nieodłączną laseczką – to postaci, które mijamy z rozbawieniem, nie inaczej niż Wellingtona z Napoleonem, stojących obok makiety pola bitwy pod Waterloo.

Trudno powiedzieć jednoznacznie, na czym polega tajemnicza moc przyciągania woskowych figur. Nie osłabił jej przecież film ani wszechwładna telewizja. Jak napisał jeden z brytyjskich filozofów, w tych woskowych podobiznach zawarta jest idea sobowtóra, dwuznaczna i niebezpieczna, której obawiamy się zawsze, lecz mimo to pragniemy z nią obcować. Jedno jest wszakże pewne ponad wszelką wątpliwość: woskowa kukła Lenina na placu Czerwonym nie została wykonana przez następców madame Tussaud. Być może, Jelcyń każe kiedyś usunąć szklane pudło z perspektywy Kremla i Anglicy zakupią podobiznę Włodzimierza Iljicza do kolekcji przy Marylebone Road. Kto wie, czy nie zostanie umieszczona w komnacie grozy? A może lepiej byłoby ustawić ją twarzą w twarz z Voltaire'em? Mogliby dyskutować o wpływie filozofii na bieg dziejów. Zapewne niekonwencjonalnie.

Marsowe Pole 1831

Próżno dziś szukać w Ermitażu rodzimego malarstwa rosyjskiego. Jego ogromne zbiory przenoszono od 1898 roku do Pałacu Michajłowskiiego, gdzie zgodnie z wolą i dekretem Mikołaja II powstało Muzeum Rosyjskie. Przeprowadzki tej nie przerwała nawet rewolucja. Jeszcze za władzy bolszewików, na początku lat dwudziestych, wiele obrazów wędrowało z galerii Pałacu Zimowego do nowej siedziby. Można się w tym dopatrzeć pewnej ironii losu. Odseparowanie sztuki rosyjskiej od zachodnioeuropejskich arcydzieł stanowi symboliczny triumf idei słowiańskiej, która – chociaż powstała na wiele lat przed rządami Mikołaja II – właśnie za jego panowania odniosła ogromne sukcesy.

Aby porównać ikony ze średniowiecznym malarstwem europejskim lub ocenić subtelne pejzaże Levitana w zestawieniu z jemu współczesnymi pejzażystami francuskimi, trzeba zmienić przestrzeń i z Ermitażu – przecinając kolejno mosty na Mojce i Kanale Gribojedowa – udać się do Muzeum Rosyjskiego. W jego stałej ekspozycji Jarosław Iwaszkiewicz dostrzegł niegdyś – trudny zresztą do przeoczenia – polski ślad. „Między innymi obrazami natykamy się tu na olbrzymie płótno Siemiradzkiego *Fryne w Eleuzis*, co przyjemnie przypomina nastroje krakowskich premier, a jednocześnie napęłnia pewnego rodzaju wstydem: kicz to nie z tej ziemi”. Rzeczywiście, ciekawy to przypadek – Siemiradzki nie był Rosjaninem i jego płótno, gigantycznych rozmiarów, jest bodaj jedynym cudzoziemskim dziełem, w kolekcji pełnej obrazów Szyszkina, Riepina czy Ajwazowskiego. „Ale Siemiradzki – wyjaśnia Iwaszkiewicz – był uczniem petersburskiej akademii, stypendystą teże – i bardzo był w carskiej Rosji ceniony. W niektórych byłych pałacach

kupców petersburskich do dziś dnia istnieją *panneaux* dekoracyjne i plafony Siemiradzkiego”.

Pozostawiając na uboczu gust poprzedniego stulecia, podobnie jak smak petersburskich kupców, warto jednak zwrócić uwagę, że Siemiradzki to nie jedyny polski ślad w kolekcji Muzeum Rosyjskiego. W roku 1837 Grigorij Grigoriewicz Czerniecowa – pejzażysta i batalista – ukończył płótno zatytułowane *Parada ku czci zakończenia działań wojennych w Polsce, 6 listopada 1831 roku na Carskim Ługu*. Ten spory obraz, o rozmiarach 212 na 345 centymetrów, przedstawia rewię wojskową w tej części Marsowego Pola, która wówczas zwała się Carską Łąką. Niezliczonym zastępom kawalerii przygląda się nie mniej liczny tłum mieszkańców stolicy, a linia podziału pomiędzy morzem mundurów z jednej a rojem płaszczy, surduktów i cylindrów z drugiej strony stanowi wyraźną oś kompozycyjną sceny.

Stojąc przed takim widokiem, trudno nie pomyśleć o Mickiewiczu. Jego *Przeгляд wojska*, umiejscowiony – jak twierdzi większość badaczy – na tymże Marsowym Polu, jest przecież szyderstwem z carskiej maszyny wojennej, sarkastycznym opisem idei samodzierżawia, wyrażonej w bezdusznym porządku militarnym. Obraz Czerniecowa nie przywołuje rzecz jasna takiej tonacji. Nie tylko dlatego, że parada w 1831 roku odbywała się w jesiennym świetle suchego przedpołudnia, w przeciwieństwie do Mickiewiczowskiego *Przeglądu* – mroźnego i śnieżnego. Rosyjski malarz uwiecznił po prostu ważną scenę historyczną z życia swojego narodu: radosną i pełną uniesienia. Mickiewicz – zesłaniec – na podstawie obserwowanej kilka lat wcześniej rewii na Marsowym Polu stworzył analizę systemu: pod blichtrzem mundurów i odznaczeń, paradnych szyków i fanfar dostrzegł Rosję knuta i bezwzględnej przemocy. Trudno o większą

różnicę. Podkreśla także pewien interesujący szczegół obrazu Czerniecowa. W tłumie mieszkańców Petersburga obserwujących triumfalną paradę w 1831 roku dostrzec możemy maleńkie figurki dwóch pisarzy: Kryłowa i Puszkina. Ten pierwszy był wówczas pracownikiem petersburskiej biblioteki, drugi opublikował właśnie nacjonalistyczne wiersze, szydzące z polskich aspiracji do wolności.

O kontaktach, niewątpliwej sympatii, a wreszcie gorzkich słowach, jakie padły między Mickiewiczem a Puszkinem, filolodzy polscy i rosyjscy napisali tomy. Mickiewiczowskiej wizji Petersburga przeciwstawiano wersy *Jeźdźca miedzianego*, w których Puszkina wyznaje: „Kocham Marsowych Pól parade, I dziarskich wojsk bojowy krok...” Ostatecznie punkt widzenia obu poetów na sprawę polską i szerzej – sprawę wolności różnił się tak, jak różniły się ich wizje Marsowego Pola. Kiedy po wybuchu powstania listopadowego Puszkina ogłosił swoje antypolskie wiersze, książę Wiaziemski zanotował w swoim dzienniku – „wstydy!”. Być może zareagowałby gwałtowniej, gdyby znał treść listu Puszkina do pani Chitrowo: „wojna, która się zacznie, będzie wojną eksterminacyjną, a przynajmniej powinna być taką...” Jednocześnie w tym samym liście Puszkina pisze: „ze wszystkich Polaków obchodzi mnie jeden tylko, Mickiewicz...” A sam Mickiewicz po tragicznej śmierci Puszkina powie w *Parzyżu* – „został pożarty przez rząd...”

O tym splocie polsko-rosyjskim pisał przejmująco Wiktor Woroszyński w głośnej swego czasu książce *Kto zabił Puszkina*. Czytałem ją przed wyjazdem do Petersburga, podobnie jak esej Iwaszkiewicza poświęcony miastu nad Newą i jego pisarzom. Żaden z autorów nie wspomina jednak o płótnie Czerniecowa, znajdującym się w Pałacu Michajłowskim. Dla mnie było ono zaskakującym odkryciem i równocześnie komentarzem wszyst-

kich wcześniejszych lektur o związkach Mickiewicza z Puszkinem. O czym rozmawiać mógł twórca *Oniegina* z bajkopisarzem Kryłowem 6 listopada 1831 roku na Marsowym Polu?

Dwa miesiące wcześniej, 7 września, armia rosyjska rozpoczęła decydujące natarcie na roгатki Warszawy – Wolską i Jerozolimską. Po ciężkich walkach generał Krukowiecki nakazał oddziałom polskim wycofać się na Pragę. Tego dnia zginęło 8000 Rosjan i 7500 Polaków. Ale to był już koniec powstania. Nasza armia w niebywałym chaosie opuszczała Warszawę. Opis wspomnianego natarcia, rozpowszechniany w biuletynach petersburskich, był na ogół rzeczowy. Puszkini i Kryłow znali niewątpliwie ich treść. Mogli więc roztrząsać wszelkie szczegóły strategiczne, równie dobrze jak komentować nowy paradny mundur Mikołaja I.

POR. EZRA POUND; GŁAWREPERTKOM

Me(u)rsault

Uważny czytelnik *Dżumy* pamięta zapewne postać Josepha Granda, urzędnika merostwa w Oranie. Kiedy zaraza rozpoczyna atak, a mieszkańcy nie rozumieją jeszcze grozy własnej sytuacji, narrator wspomina – jakby mimochodem – pewne zdarzenie, które pozornie nie ma związku z głównym tematem opowieści. Otóż urzędnik Joseph Grand, odwiedzając sklep tytoniowy, słyszy, jak sprzedawczyni z ożywieniem mówi o „niedawnym aresztowaniu, głośnym w Algierze”, i dalej dowiaduje się, że „chodziło o młodego urzędnika handlowego, który zabił Araba na plaży”. Nie ma wątpliwości, że Camus daje tutaj czytelnikowi *Dżumy* specjalny znak, odsyłając go do swojej poprzedniej, głośnej powieści *Obcy*. To właśnie jej bohater, Meursault, dokonuje zabójstwa, które

stanie się bodaj najślawniejsze w literaturze XX wieku – zabójstwa absurdalnego.

Obie książki dzieli dystans pięciu lat i rozumiemy doskonale, że aresztowanie wspomniane w *Dżumie* przez ekspedientkę trafiki, jest – co do swej „niedawności” – umowne. Obracamy się przecież w świecie powieściowym: zarówno Joseph Grand, ekspedientka, jak młody człowiek, który zastrzelił Araba, są elementami literackiej fikcji, stworzonej przez pisarza. Camus – nie bez racji – uważał jednak, że wydarzenia opisane w *Dżumie* i *Obcym*, choć osadzone niezwykle mocno w realiach czasu i przestrzeni, są równocześnie uniwersalne, a zatem, mimo że nie wydarzyły się nigdy, trwają – tak jak mit – w naszej świadomości i kulturze. Z tego punktu widzenia fakt, że w *Dżumie* wspomina się bohatera *Obcego*, Patrice’a Meursaulta, na marginesie i przypadkiem, nie jest ani marginalny, ani przypadkowy. Obie powieści spina filozoficzny pomost pytań o śmierć: tę jednostkową w *Obcym* i tę, która w *Dżumie* staje się losem całego społeczeństwa.

O urzędniku handlowym Meursaultcie, zabójcy Araba, podobnie jak o doktorze Rieux, ratującym bliźnich w czasie zarazy, napisano już prawdopodobnie wszystko, co należało, obie powieści doczekały się dziesiątków głębokich, wybitnych interpretacji i setek, jeśli nie tysięcy komentarzy. Camus, głoszący etykę laickiego heroizmu – podobnie jak Conrad – nie znajduje w naszym dwudziestowiecznym świecie możliwości wyboru dobra bądź zła na podstawie tradycyjnych, religijnych norm. Bóg – jeśli nawet istnieje – pozostawia człowieka tragicznie samotnego w jego cierpieniu i poszukiwaniu sensu. Scena, w której doktor Rieux i jezuita Paneloux stoją przy łóżku konającego w konwulsjach dżumy dziecka, stawia najbardziej dramatyczne pytanie o porządek świata, w którym możliwe jest cierpienie niewinnego. Jeśli Bóg dopuszcza taki obrót spraw, jaka

powinna być odpowiedź człowieka? „Można strzelić i można nie strzelić” – mówi Meursault; można też – jak doktor Rieux – „być człowiekiem zmęczonym światem, który czuje jednak sympatię dla bliźnich i jest zdecydowany nie przystać na niesprawiedliwość i ustępstwa”. Rozpatrując obie powieści jako sekwencje tego samego, powracającego tematu, dostrzec można, że doktor Rieux jest jakby odpowiedzią na Meursaulta: zabójstwu przeciwstawia ludzkie poświęcenie, tym bardziej heroiczne, że pozbawione nadziei na ostateczne zwycięstwo dobra. Camus nie potępia jednak Meursaulta – zabójstwo, którego dokonuje młody urzędnik handlowy, jest nie mniej absurdalne niż sposób, w jaki działa społeczne pojęcie sprawiedliwości. *Obcy* jest przecież opowieścią o dwóch zabójstwach – tym na plaży i tym na sądowej sali i gilotynie.

Dyskusji o tym, „skąd zło?” i „dlaczego raczej dobro niż obojętność i kapitulacja?”, nie otworzył rzecz jasna Camus, toczy się ona od tysiącleci, by przypomnieć choćby spory Sokratesa z sofistami. Ale wiek XX nadał jej wyjątkowe znaczenie, przez szczególny ciężar zbrodni i problem odpowiedzialności, co najtrafniej wyraził właśnie Camus. Dla wiernych czytelników *Mitu Szyzyfa*, wydanie niepublikowanej dotąd, pierwszej powieści Camusa, zatytułowanej *Śmierć szczęśliwa*, może być powrotem do takiej właśnie, filozofującej debaty, ale też okazją do prześledzenia, w jaki sposób przez długie lata kształtowała się w myśli i wyobraźni pisarza wizja absurdalnego zabójstwa. Bohaterem *Śmierci szczęśliwej* jest bowiem znany nam z *Obcego* Patrice Meursault, ten sam urzędnik firmy handlowej, prowadzący ubogie, nudne i pozbawione blasku życie w spalonej słońcem, biednej dzielnicy Algieru. Podobieństw z *Obcym* jest zresztą więcej, ale sporo też zasadniczych różnic (pomijając różnicę jednej litery w nazwisku bohatera).

W *Obcym* Meursault dochodzi do momentu zbrodni przez szereg przypadkowych zdarzeń. Ich konsekwencji nikt nie jest w stanie przewidzieć, a sam czyn spełnia się w szaleńczym upale „pękniętego nieba”, w irracjonalnej gorączce słońca i jest niejako rozładowaniem napięcia, któremu bezlitośnie poddany został wcześniej bohater. W *Śmierci szczęśliwej* Meursault dokonuje morderstwa zaplanowanego, w zamkniętym, chronionym przez żaluzje pomieszczeniu. Meursault zabija Araba, którego imienia nawet nie poznamy, Meursault strzela do Rolanda Zagreusa, kaleki na wózku, z którym wielokrotnie toczył wcześniej dysputy o sensie życia. Meursault został aresztowany i skazany na śmierć. Meursault przywłaszcza sobie pieniądze ofiary i zaczyna wieść życie, o jakim marzył – niezależne finansowo, hedonistycznie wyszukane. Zakończy je również śmiercią – ale inną: z powodu choroby, we własnym domu, nad morzem, w przytomności ładnej kobiety.

Porównanie obu wersji każe postawić pytania nie tylko o różnicę pomiędzy śmiertelną chorobą a gilotyną, pomiędzy sprawiedliwością losu a sprawiedliwością ludzką. Najważniejszym z nich wydaje się pytanie o to, kim jest ten, kto zabija, skoro to człowiek taki sam „jak wszyscy”, doskonale przeciętny i zwyczajny. Pęknięte niebo, o którym wspomina Meursault, bohater *Obcego*, niezmiennie odmawia nam na to odpowiedzi.

FOR. NÓZ ABRAHAMA; W 1937 ROKU W MARIENBADZIE

Nike

„Najpiękniejsza jest Nike, która się waha” – napisał Zbigniew Herbert w wierszu zamieszczonym w tomie *Struna światła*. Obraz greckiej bogini zwycięstwa potraktowany został przez

poetę z goryczą i ironią: Nike rzeczywiście się waha, czy młodzieńca, którego szala z losem „gwałtownie opada ku ziemi”, warto wyróżnić z tłumu wojowników ostatnim, pożegnalnym pocałunkiem. Może jednak – ów pocałunek – odnieść fatalny skutek – bo młodzieniec, który do tej pory „nie zaznał słodczych pieszczot”, zamiast mężnie stawać do walki, ucieknie nazajutrz z pola bitwy jak inni. Nike zna rezultat walki, podobnie jak zapisany los młodzieńca. Jeżeli więc „w końcu postanawia pozostać w pozycji której nauczyli ją rzeźbiarze”, jeżeli godzi się na to, że nazajutrz o świcie „muszą znaleźć tego chłopca z otwartą pierśią zamkniętymi oczyma i cierpkim obolem ojczyzny pod drętwym językiem”, oznacza to, że bogini – po krótkiej rozterce – postanawia nie wychodzić z roli, idealnie wypełnić swoją misję, jaką jest głoszenie tryumfu zwycięzców. Innymi słowy – Nike przez chwilę wahała się, czy nie stanąć po stronie przegranego. Takie jednak stanowisko bogini byłoby sprzeczne z grecką tradycją i greckim pojmowaniem przeznaczenia, nad którym czuwały mroczne Mojry.

Ten piękny wiersz Herberta jest w istocie wierszem o polskim doświadczeniu. Cierpki obol ojczyzny pod drętwym językiem oznacza przecież nieustanną gorycz przegranej: w wojnach, powstaniach, dyplomatycznych targach mocarstw, które jednym podpisem zabierały nam ojczyznę, skazując miliony na śmierć lub niewolniczą i upokarzającą wegetację. Polska kultura klęski uczyniła wiele, by w nieustannym paśmie niepowodzeń znaleźć mimo wszystko nadzieję. Było nią romantyczne i chrześcijańskie przekonanie, że w śmierci i przegranej kryje się przecież wizja zmartwychwstania. Pokonani nieustannie wmawiali sobie, że racje moralne są po ich stronie. Ale Nike nie należy do porządku chrześcijańskiego. Zmagania armii nie mają nic wspólnego z moralnością. Ten, kto okazał słabość –

przegrywa, umiera, staje się niewolnikiem i żadne wniosłe racje nie zmieniają tego stanu rzeczy. Nike należy do porządku, w którym słabość nigdy nie będzie przedstawiana jako cnota, dlatego rezygnuje ostatecznie z pocałunku, bo miara rzeczy i przeznaczeń musi się wypełnić. Zderzenie klasycznej i wzniosłej bogini z kulturą wiecznej klęski tworzy w wierszu Herberta ironiczne napięcie. Gorycz wpisana jest w kontekst: ci, którzy zawsze przegrywają, nie mogą być kochankami Nike. Dlatego młodzieniec umrze, a bogini pozostanie w pozycji „której nauczyli ją rzeźbiarze”.

Mówiąc o starej tradycji greckiej, Zygmunt Kubiak podkreśla, że jej „pierwszym elementem jest rozpoznanie roli siły jako czynnika rozstrzygającego w życiu”. Nie był to – bynajmniej – rodzaj współczesnego darwinizmu, który znamy z czerwonej i brunatnej ideologii. Było to raczej powszechne przekonanie, że aby trwać – jako jednostka czy jako społeczeństwo polis – aby więc trwać w dumnej kondycji ludzi wolnych, decydujących o swym życiu, o swoich prawach, zwyczajach i tradycji, trzeba to trwanie realnie poprzeć siłą: oręża i cnót obywatelskich. „Już *Iliada* – pisze Kubiak – ukazuje stosunki w świecie ludzkim, jako relacje oparte na grze sił, nie mających żadnego uzasadnienia poza tym, że są siłami: zarówno siłami samych ludzi toczących ze sobą walki, jak i wielkimi siłami przyrody, od których ludzie zależą”. Grecka, arcygrecka, jest dla Kubiaka postać Edypa, który „zmiażdżony przez los i już oślepiiony własnymi rękami, słyszy od Kreona, obejmującego z kolei władzę nad miastem – Przestań myśleć, że jeszcze rządysz”.

Hellenowie nie byli hipokrytami, ale też nigdy nie uczynili z siły fetysza. Wiedzieli bowiem zbyt dobrze, że los bywa zmienny, bogowie kapryśni, a wyniki wojen są nieprzewidywalne. Dlatego pokonanym przysługiwało prawo do lamentu nad własną

klęską, lecz nigdy prawo do uznania własnej przegranej za objaw moralnej wyższości. Nike jest jednoznaczna – także w wierszu Herberta, choć jej wahanie mogłoby sugerować coś innego. Gest, w którym zamknęli ją rzeźbiarze, jest przecież gestem siostry Kratosy – boga siły, i Bii – bogini przemocy. Bez tego pokrewieństwa nie mogłaby zapewne rozpościerać swoich wspaniałych skrzydeł nad tymi, którzy zwyciężają.

Ironię wiersza Herberta uzupełnia ironia historii: najwspanialszy posąg Nike odnaleziony został dokładnie w roku 1863, kiedy w Polsce trwa już powstanie styczniowe, a w greckiej Samotrace, francuski konsul Champoisseau zabija czas archeologicznym hobby. Figura bogini – niezwykle ekspresyjna, wzniosła i niemal barokowo dynamiczna – odkopana została przez konsula pod ruinami teatru, w sąsiedztwie świątyni Kabirów. Przewieziona do Luwru w 118 rozproszonych fragmentach, żmudnie rekonstruowana, dopiero w roku 1883 została wystawiona na widok publiczny, wzbudzając nieklamany zachwyt. Autorstwo rzeźby wykonanej z marmuru paryjskiego przypisywano Pytokritosowi z Rodos, który działał w II wieku przed Chrystusem. O tym wybitnym artyście wspomina w swoim dziele Pliniusz, ale dowody na to, że Nike z Samotraki jest dziełem właśnie rzeźbiarza z Rodos, wielokrotnie zdążono już podważyć. W roku 1950 przeprowadzono w Samotrace ponowne wykopaliska i znaleziono to, czego nie odkrył konsul Champoisseau: część prawej dłoni Nike oraz fragment serdecznego palca. Było to znalezisko sensacyjne – po żmudnych rekonstrukcjach udało się ustalić, że bogini zwycięstwa ukazana w momencie lotu z góry, kiedy jej skrzydła były jeszcze w pełni rozwinięte, a stopy ledwie dotykały gruntu trzymała w prawej dłoni opaskę zwycięstwa: wykonana z metalu, zapewne świetnie markowała ruch łopoczącej tkaniny. Dziś, ustawiona na szczy-

cie schodów Daru w Luwrze, jest jedną z najpiękniejszych i najbardziej zdumiewających rzeźb świata antycznego, jakie przetrwały do naszych czasów.

Nie sprawia wrażenia bogini, która się waha. Może dlatego wywiera na zwiedzających tak duże wrażenie? Zapewne nie jest też apologią gwałtu i przemocy, lecz uosabia raczej szlachetną, czystą radość tryumfu, która dla Greków miała w sobie coś boskiego. Siła oręża i ludzkie męstwo, poparte przychylnymi wyrokami losu, miały taki właśnie, uskrzydlający smak. Ale Nike przypomina również, że żadne zwycięstwo nie jest ostatecznym i chwila upojenia trwa zwodniczo krótko.

POR. LUDWIK HRABIA DE PLELO; PAN HAKAGAWA

Nóż Abrahama

Co mówi o tym wydarzeniu filolog? Porównuje sposób jego opowiedzenia z eposem Homera, aby ukazać różnice pomiędzy światem greckim a żydowskim. Biblijna historia o Abrahamie i Izaaku ukazuje nie tylko inną technikę operowania słowem, niż ma to miejsce w *Odysei*, ale także ujawnia – zdaniem Auerbacha – odmienną filozofię bycia i funkcję literatury. W eposach homeryckich „radość, którą budzi egzystencja zmysłowa, jest wszystkim. Pośród namiętności i walk, przygód i niebezpieczeństw, ukazują nam one ucztę i łowy, pałace i chaty pasterzy, zawody rycerskie i pranie bielizny – po to, abyśmy mogli obserwować ich bohaterów, i po to, abyśmy mogli radować się tym, jak używają oni swego pełnego uroku żywota, ukazanego w sposób plastyczny na tle obyczaju, krajobrazu i zajęć codziennych”. Homer uwodzi nas estetycznie i w jego historiach każdy szczegół stroju, wyposażenia domu, oręża czy posiłku ma

swoją zmysłową moc. Inaczej w biblijnej opowieści o Abrahamie i Izaaku, gdzie liczba rekwizytów oraz informacji o przeżyciach wewnętrznych bohaterów ograniczona jest ascetycznie do niezbędnego minimum. Inna jest bowiem funkcja biblijnego tekstu. Jego celem nie jest oczarowanie i zachwycenie czytelnika, lecz – jak powiada filolog – „roszczenie do władzy nad umysłem”. Wstrząsająca historia ofiarowania Izaaka – ilekroć ją wspomnimy – zmusza nas do pytania o relacje między człowiekiem a Bogiem, o ostateczne granice wiary i zwątpienia. Homer wyjaśnia dokładnie związki między ludźmi, ale także między ludźmi a bogami. Autor biblijnego tekstu pozostawia nas w sferze mroku i milczenia, nie mniej dramatycznego niż to, które towarzyszyło ojcu i synowi przez trzy dni ich podróży do kraju Moria.

Co o tej scenie mówi filozof? Dla Kierkegaarda Abraham jest kimś, kto staje ponad etyką, samotnym rycerzem wiary, człowiekiem wkraczającym w jej absurd. Gdyby Abraham – tak jak Agamemnon czy biblijny Jefta – zmuszony był ofiarować swoje dziecko w zamian za obiecaną, czy też spełnioną przez bóstwo pomoc w wojennej wyprawie, od której zależy los całego narodu, byłby bohaterem tragicznym, godnym eposu i lez, lecz w pełni zrozumiałym. Tak jednak nie jest. Kierkegaard podkreśla, że w przypadku strasznego żądania Boga wobec Abrahama wymiana „coś za coś” nie wchodzi w rachubę. Bóg nie tłumaczy Abrahamowi, dlaczego ten ma zabić ukochanego syna: wysuwa jedynie swe żądanie, określa czas i miejsce kaźni i milknie, tak jak zamilkł Abraham wobec Sary, Izaaka i Eleazara. Wiemy, co stało się na górze w kraju Moria – w ostatniej chwili anioł wytrącił nóż z ojcowskiej dłoni i Abraham został usprawiedliwiony przez swoje posłuszeństwo Bogu. „A gdyby Abraham – pyta filozof – rzeczywiście ofiarował Izaaka – czy

byłby mniej usprawiedliwiony?” Kierkegaard podziwia Abrahama, ale jego czyn napawa filozofa „prerażeniem i zgrozą”. Agamemnon i Jefta posiadali pewność, jakiej nie miał Abraham. Wkraczając samotnie w absurd wiary, pogrążał się w mroczną i niejasną sferę, która – według Auerbacha – jest właściwym i najgłębszym tematem tej historii.

W roku 1635 Rembrandt ukończył *Ofiarowanie Izaaka*. Właśnie ten obraz, jak żaden inny w historii europejskiej sztuki, stał się kanonem w przedstawianiu wspomnianej sceny. Efekt dramatyzmu osiąga Rembrandt nie tylko dzięki nożowi ofiar-nemu, który – wytracony dosłownie w ostatniej chwili wypro-wadzania ciosu – szybuje teatralnie w dół, pomiędzy pustą już dłonią patriarchy a ciałem skępowanej ofiary. Równie silne napięcie tworzy spojrzenie anioła: nie patrzy on na Abrahama, ale na obnażone, napięte gardło Izaaka, jak gdyby chciał się upewnić, czy interwencja jest skuteczna. Co więcej – twarz Iza-aka, zasłonięta i dosłownie przygwożdżona do stosu drewna potężną dłonią ojca, podkreśla, podobnie jak układ nóg mło-dzieńca, że ta ostatnia chwila nie obyła się bez brutalnej szarpa-niny i przemocy. Na obrazie nie dostrzegamy baranka, którego Abraham „obejrzawszy się za siebie, miał spostrzec uwikłane-go rogami w zarośla”.

Niezwykle wyraźnie natomiast zaznaczył jego obecność Ca-ravaggio, którego obraz – w przeciwieństwie do płótna Rem-brandta – jest mniej dramatyczny, bardziej za to dogmatyczny. Caravaggio zachował podobny układ postaci, ale akcenty są tu rozłożone inaczej. Nóż tkwi jeszcze w dłoni patriarchy, anioł bardziej przypomina kaznodzieję niż posłańca ostatniej chwili, a jego spojrzenie i gest wskazujący palca – przechodząc niejako mimo Abrahama – wiodą do łba baranka, niemal przytulone-go do odkrytej, wykrzywionej bólem i prerażeniem twarzy

Izaaka. Tutaj otwiera się wdzięczne pole dla nieskończonych spekulacji – czy Caravaggio jest bardziej „katolicki” niż Rembrandt „protestancki”?

Ten ostatni powrócił do tematu w nieukończonej grafice z roku 1655, gdzie wszystkie trzy postaci tworzą zwartą, złączoną uściskiem grupę. Izaak klęczy, przełożony przez ojcowskie kolano, nóż ofiarny tkwi w lewej, a nie w prawej dłoni patriarchy, anioł wstrzymujący cios przytuła Abrahama, a u stóp całej trójki spoczywa wsparte na kamieniu koryto, do którego spłynąć miała krew. I tutaj ani śladu baranka, który według chrześcijańskich egzegetów, miał zapowiadać przyszłą ofiarę Chrystusa. Za to Izaak – jak na wcześniejszym obrazie – twarz ma zakrytą przez ojcowską dłoń. Czy dlatego, że Biblia ani słowem nie wspomina o tym, co wydarzyło się pomiędzy Abrahamem a Izaakiem podczas długiej drogi do domu, podobnie jak filozofowie piszący o rozpacz Abrahamie nie wspominają o przeżeniu Izaaka?

POR. ME(U)RSALUT; SIENA, ROK 1977

Oczy Marii Mikołajewny

Car Aleksander był lepszy, nie tylko dla Polaków. W swojej autobiografii Hercen – niechętny wszelkiej władzy absolutnej – wspomina go z sentymentem. „Za panowania Aleksandra – pisze – represje polityczne rzadko miały miejsce, zesłał on wprawdzie Puszkina za jego wiersze i Łabzina za to, że będąc sekretarzem Akademii Sztuk Pięknych, zaproponował, by zaliczono stangreta Ilję Bajkowa w poczet członków Akademii, ale systematycznych prześladowań nie było. Policja tajna nie rozrastała się jeszcze w samowładny korpus żandarmerii...” Słowo „jesz-

cze” brzmi jak zapowiedź ponurej epoki Mikołajowskiej, w której sam Hercen – jak wcześniej Puszkina czy Łabzin – zostanie aresztowany i zesłany. „Rosłem żywiąc dla Aleksandra wielki szacunek” – wyznaje Hercen i wspomina, że kiedy spacerował w Moskwie nieopodal rogatki Twerskiej, spotkał cara Aleksandra jadącego konno, w asyście kilku zaledwie generałów. Imperator „oblicze miał ujmujące, rysy miękkie”, a kiedy Hercen uchylił kapelusza, Aleksander „odkłonił się z uśmiechem”. Taka spontaniczna wymiana grzeczności pomiędzy monarchą a przypadkowym przechodniem za Mikołaja nie była już możliwa. Nie tylko ze względu na otaczające władcę tłumy dworaków, żandarmów i agentów policji. Także z powodu charakteru satrapy. „Oficerowie gwardii – pisze Hercen – nienawidzili go za zimne okrucieństwo, za małostkową pedanterię, za mściwość”. Ponadto Mikołaj wyglądał „jak ostrzyżona i oślizgła meduza z wąsami”.

Astolphe de Custine, zanim wybrał się w podróż po Rosji Mikołajowskiej w roku 1839, poznał cara Aleksandra na Kongresie Wiedeńskim podczas... poloneza. Francuz znalazł się pomiędzy cesarzem a jego żoną i był świadkiem małżeńskiej, banalnej sprzeczki („Aleksander zbyt długo tańczył z pewną panią, która od kilku dni była przedmiotem jego nie ukrywanej namiętności...”), po której „samowładca patrząc na mnie, zagryzł wargi”. Ten grymas, odnotowany przez Custine’a, nie mógł zdarzyć się Mikołajowi. W porównaniu ze swoim bratem i poprzednikiem był bowiem Mikołaj człowiekiem i władcą, który nigdy nie okazywał na zewnątrz najdrobniejszych choćby słabości. Po pierwszej rozmowie z Mikołajem w Petersburgu Custine pisze pod wrażeniem chwili, że „całkiem mnie podbił” i „byłem olśniony”, nie przeszkadza to jednak Francuzowi co najmniej kilkadziesiąt razy na kartach swojej książki zgłębiać



Amisze idący na nabożeństwo, Colonna

kartezjańskim umysłem istotę zła, cynizmu i okrucieństwa, jakie dostrzegał w osobie Mikołaja, który zresztą podczas tej pierwszej rozmowy wyznał z rozbijającą szczerością: „Despotyzm jeszcze istnieje w Rosji, stanowi przecież istotę moich rządów, ale jest zgodny z duchem narodu...”

Tę osobliwą zgodność Custine starał się badać i przenikliwie opisał. Antologia złożona z jego celnych sformułowań, uwag i sentencji mogłaby stanowić rodzaj użytecznego podręcznika dla początkujących politologów, bo chociaż w Rosji nie ma już carów, pozostało w niej wiele zdumiewająco żywych upiórów przeszłości. Kiedy czytamy u Custine’a „państwo to, choć tak ogromne, jest więzieniem, do którego klucz dzierży cesarz”, traktujemy tę uwagę jako historyczny zapis stanu rzeczy w roku 1839, kiedy jednak czytamy nieco dalej, że „ten, kto miał nieszczęście urodzić się w tym kraju, może jedynie szukać pociechy w snach o potędze i w nadziei panowania nad światem...” – widzimy nie tylko państwo carów czy Kraj Rad z jego imperialną pasją do zbrodni i zaborów, ale także Rosję współczesną, z Ziuganowem, Żyrinowskim i Liebiedziem, którzy stoją na razie w cieniu dogorywającego politycznie Jelcyna. Na pytanie, czy to carowie wychowali sobie takich niewolników, czy też sama ludność przez niewolniczą uległość wychowała sobie takich tyranów, Custine nie udziela jednoznacznej odpowiedzi, starając się przedstawić splot historyczno-cywilizacyjnych okoliczności, które stworzyły Rosję. Dlatego Custine nie popada w ten rodzaj fascynacji osobą tyrana, jakiej uległo wielu podróżników, polityków i pisarzy nie tylko zresztą w wieku XIX, by wspomnieć żenujące lizusostwo Gide’a czy Shawa wobec Stalina.

Tajemnica Mikołaja polegała na braku jakiejkolwiek tajemnicy. Zdaniem Custine’a, ten wyjątkowo okrutny car był hipoc

krytą, co – według greckiego terminu – oznacza aktora wkładającego różne maski na odpowiednie okazje. „Mikołaj – pisze Custine – ma wiele masek, ale nie ma twarzy”. Może właśnie ten fragment książki francuskiego arystokraty wzbudził największą wściekłość Mikołaja? O magicznej sile jego spojrzenia krążyły wszak legendy, nie tylko wśród ciemnego chłopstwa. Gdy Mikołaj na placu Isakijewskim zbliżył się do zbuntowanych oddziałów i zawołał „na kolana!!”, żaden z żołnierzy ani oficerów nie śmiał nie wykonać tego rozkazu i taki był koniec powstania dekabrystów. Hercen wspomina, że Mikołaj wszędzie i nieustannie „wypróbowywał, czy wzrok jego posiada właściwości węża-grzechotnika, zdolny zmrozić krew w żyłach”. W I tomie *Rzeczy minionych i rozmyślań* Hercen przytacza w związku z tym anegdotę, której nie znajdujemy u Custine’a. Pewnego razu w obecności wysokich urzędników Mikołaj zaczął wypróbowywać swój wzrok na Marii Mikołajewnie, która „podobna była do ojca i spojrzenie jej istotnie przypominało jego okropny wzrok”. Córka śmiało wytrzymała ojcowskie spojrzenie. „Mikołaj zbladł, policzki mu zadrżały, wstał, poczuł, że trafiła kosa na kamień, generałowie przyboczni nie śmieli odychać na widok kanibalsko-carskiego pojedynku na oczy...”

Pośród wszystkich podobizn imperatorów Rosji, które oglądałem w kolekcji Peterhofu, portret Mikołaja I nie wyróżnia się jednak demonicznym spojrzeniem, a jedynie tym, że carowi – ujętemu w parku, na tle błękitnego morza i klasycystycznej budowli – towarzyszy radosny, pokojowy piesek, ufnie wznoszący wzrok ku głowie swego pana. Zupełnie luźnym skojarzeniem obdarzyłem w myślach sympatycznego czworonoga imieniem Cziczikow.

Öland

Po raz pierwszy kamienne kręgi Gotów widziałem na Kaszubach. Rzeczywiście robiły wrażenie: położone zazwyczaj nad wodą, z centralnym – największym głazem w środku okręgu, otoczone zewsząd pagórkami kurhanów, wydawały się tajemnicze i pełne nieokreślonego uroku przeszłości. Jeszcze na początku XX stulecia tego rodzaju miejsc, odnotowanych przez tutejszych krajoznawców, było wiele. Czas oraz potrzeby budowlane miejscowej ludności zrobiły swoje – do dziś kamienne sanktuaria przetrwały tylko w Odrach nad zakolami Wdy i w Węsiarach nad Jeziorem Długim, chronione jako rezerwaty archeologiczne. W mitologii kaszubskiej są one dziełem Stołemów, legendarnych olbrzymów, którzy niegdyś zamieszkiwali te ziemie. W wyobraźni dziewiętnastowiecznego pisarza Floriana Ceynowy, owe kamienne kręgi stworzone zostały przez pogańskich, „starożytnych” Pomorzan, którym w ten sposób kaszubski działacz przydał romantycznej genealogii. Nauka rozwiązała jednak ludowe podania z tą samą bezwzględnością co literacką fikcję. Nekropolie skupione wokół kamiennych kręgów jednoznacznie przypisano Gotom, którzy podczas wędrówki na Południe, ku Morzu Czarnemu i Śródziemnemu, zatrzymali się w kaszubskich ostępach przez około dwa stulecia, po czym zniknęli stąd, pozostawiając miejsca kultu i cmentarze. Archeolodzy określili dokładnie typ pochówków i opisali precyzyjnie zawartość kurhanów, nie byli jednak w stanie powiedzieć jednoznacznie, czym w istocie były kamienne kręgi. Rodzajem świątyni? Ośrodkiem kultu solarnego? Pomnikiem przodków? Miejscem spotkań starszyny, gdzie rozstrzygano najważniejsze dla plemienia sprawy? Czego nie określiła nauka, wypełniają dzisiaj ezoteryczne teorie. Oto w terminie zrównania no-

cy z dniem kamienie ustawione w kręgi mają podobno świecić własnym, tajemniczym blaskiem. Oto osoba, która spędzi w kręgu samotną noc, dozna przyływu niezwyklej bioenergii. New Age zbiera tu obfity plon i prawdę mówiąc, czekam z utęsknieniem, aż w jakimś kolorowym magazynie przeczytamy o tym, że lodowcowe głązy w Odrach czy Węšiorach poustawiali w magiczne kręgi nie Goci, lecz przybysze z kosmosu.

Takie mniej więcej myśli snuły mi się po głowie, kiedy w sierpniowe, wietrzne przedpołudnie pedałowalem na zdezelowanym, szwedzkim rowerze szosą z Mockleby do Gettlinge. Wyspa Öland sprzyja rowerzystom. Zasadniczo jest płaska i pozbawiona większych wzniesień, jedynie wiatr stanowi tu przeszkodę dość istotną, bo jeśli dmucha ostro w twarz, jazda jest uciążliwa i powolna. Nagradzają to wszakże widoki: po lewej dłoni wyspa łagodnym skłonem otwiera się na morze, po prawej mamy perspektywę na Alvaret, czyli step rozciągający się dziesiątki kilometrów kwadratowych w całej południowej części Öland. Słońce przydaje temu pejzażowi życia i ostrych konturów. Spoglądając ku morzu, widzimy niemal każdą skałkę wybrzeża, a dalej – za cieśniną – siwy pasek stałego lądu Szwecji. Alvaret zaś uwodzi wzrok płaską jak stół płaszczyną traw, wśród których przycupnęły – niczym rozproszona armia – jałowce. Gettlinge, o którym wcześniej przeczytałem w przewodniku, że jest „największym na wyspie Öland miejscem pochówku” w istocie nie rozczarowuje: na rozległym płaskowyżu długo krążyć można pomiędzy głazami, które – bez żadnych ozdób i obróbki – pełniły rolę nagrobków. Jest też kamienny krag, znacznie okazałszy niż te, jakie spotykamy na Kaszubach. I chociaż nie doświadczyłem żadnej magicznej siły, to jednak stojąc wewnątrz opasanego głazami koła, słuchając nieustannego szumu wiatru w trawach i spoglądając na szeroką perspektywę morza,

poczułem, że jest to miejsce wyjątkowe. Według ostrożnych szacunków, nekropolia i miejsce kultu w Gettlinge sięgają V wieku naszej ery. Tak więc kamienny krąg i stale ustawiano tu mniej więcej sto lat po upadku Rzymu, a trzysta przed epoką Wikingów, za której początek uznano rok 793, kiedy to angielski klasztor Lindisfarne złupiony został przez norweskich rabusiów.

Także z Öland wyruszały na podbój Europy długie, budzące postrach łodzie. Zanim jednak mieszkańcy wyspy stali się wędrownymi korsarzami, wiedli spokojny żywot. Czternaście kilometrów na południe od Gettlinge z morza stepowych traw dość surrealistycznie wyrasta kamienny pierścień murów Eketorp – warownej osady rolniczej, którą przodkowie Wikingów wzniesli tu około 300 roku naszej ery. Jest to jedyna – w całości odkopana i zrekonstruowana – osada tego typu w Skandynawii. Niewielki, bo liczący zaledwie sześćdziesiąt metrów średnicy plac otoczono w całości murem, wytyczono w nim trzy wąskie bramy, by wewnątrz pomieścić 53 budynki mieszkalno-gospodarcze. Są to niewielkie, kryte strzechą kamienne chatki, w których mroku obejrzeć można paleniska, domowe sprzęty, rolnicze narzędzia, broń łowiecką. Rekonstrukcja jest udana także dlatego, że gospodarze tego muzeum postanowili je ożywić w prosty sposób. Żywy inwentarz w postaci świń, kaczek, kur i koni, stłoczony w ciasnej przestrzeni osady otoczonej murem, daje pojęcie o tym, jak wyglądało i pachniało życie wikingów, zwłaszcza w beznadziejnie długie sezony zimowe, pozbawione radości słońca. Czy sen o Południu, bogatym i ciepłym, był ich największym plemiennym mitem?

Wracając do Mockleby przez melancholijnie puste połacie Alvaret, które w wielu miejscach do złudzenia przypominają kaszubskie Czyste Pola, przypomniałem sobie wiersz Janusza

Szubera *Gdy jednooki Odyn*, a dokładnie jego krótki fragment, gdzie „u bram dalekiego Bizancjum straż nasi bracia trzymają...”. Szwedzki rower zgrzytał okropnie, nad skrzydła wiatraków nadciągały burzowe chmury, a linia wyobraźni pomiędzy wyspą Öland, moimi Kaszubami, Sanokiem, gdzie mieszka Janusz, a Bizancjum, dokąd zawędrowali Goci: zajaśniała w trzasku pierwszej błyskawicy.

POR. ARANN ISLANDS; SYCOWA HUTA, LATO 1962

Pałac Zimowy, kwiecień 1998

W edukacji, jaką zapewnił mi PRL, film Eisensteina *Październik* nie odegrał roli szczególnej. Kiedy na ekranie z luf krążownika „Aurora” oddano pierwszą salwę, w sali kina „Tramwajarz” jeden z moich szkolnych kolegów wystrzelił z korkowca. Efekt był murowany: zamiast pożądanego nastroju wzniosłości salę opanowała niepohamowana gorączka śmiechu. W żelaznym rytmie Eisensteinowskich kadrów czekaliśmy na następny wystrzał z blaszanego pistoletu, ale kolega – jak się później okazało – był na rocznicę rewolucji przygotowany słabo; nie miał już więcej korkowej amunicji. Po latach, kiedy przypomniałem sobie ten sztubacki wygłup, stojąc przed Pałacem Zimowym na nabrzeżu Newy, uderzył mnie jego symboliczny sens. W istocie, załoga krążownika nie miała ostrej amunicji i 25 października 1917 roku tamtą historyczną salwę „Aurora” oddała ślepyimi nabojami. „To wystarczyło – napisze Richard Pipes – by zapewnić jej miejsce w legendach o październiku”. Film Eisensteina był taką właśnie legendą, „wytworem czystej wyobraźni, próbą podarowania Rosji jej własnego szturm Bastylii” – wyjaśnia Pipes w swej znakomicie napisanej *Rewolucji rosyjskiej*.

Spojrzenie na skutą jeszcze o tej porze roku lodem Nowe, wiedzie więc ku konturom Twierdzy Pietropawłowskiej. To stamtąd dwie godziny po salwie „Aurory” rozpoczęto ostrzał artyleryjski Pałacu Zimowego. Trudno powiedzieć, czy celowniczy baterii opanowanej przez bolszewików, wiedzieli, w której części pałacu obraduje Rząd Tymczasowy Kiereńskiego. Tej wychodzącej na Nowę – bezpośrednia trajektoria pocisków, czy też po drugiej stronie gmazyska, z oknami na plac, Kolumnę Aleksandrowską i amfiladę Sztabu Generalnego? Zwiedzając dzisiaj galerię Ermitażu, możemy się przekonać, że Sala Malachitowa, w której dogorywał ostatni rząd Rosji, znajduje się po stronie Newy, a więc wystawiona była na bezpośrednie rażenie pietropawłowskich armat.

Strzelano jednak słabo i niecelnie. „Na około 35 pocisków – pisze Pipes – tylko dwa trafiły w pałac, wyrządzając niewielkie szkody”. Żaden z nich nie trafił zresztą w okna Sali Malachitowej, a na pytanie, czy jeśli tak by się stało, czy wówczas Rząd Tymczasowy upadłby o parę godzin wcześniej – nie ma sensu odpowiadać. Zanim padły puste salwy z „Aurory”, Kiereński, przebrany za serbskiego oficera, samochodem użyczonym przez ambasadę Stanów Zjednoczonych udał się na front z dramatycznym apelem o pomoc. Bolszewicy opanowali centrale telefoniczne, telegraf, dworce i drukarnie. Ich niezbyt liczne oddziały dwukrotnie odstępowały od Pałacu Zimowego, napotykając na umiarkowany ogień junkrów. Ci ostatni zrejterowali przed północą, pozostawiając ochronę Rządu Tymczasowego Batalionowi Kobiecemu (ochotniczki) i kilkunastoletnim elewom. Szturm, który przedstawił Eisenstein, w ogóle nie miał miejsca, a słynna scena na schodach Pałacu Zimowego, przedstawiająca, jak uwznioślony lud obala krwawych tyranów, powstała w umyśle reżysera. W rzeczywistości przez otwarte bra-

my i okna do pałacu weszli żołnierze Pułku Pawłowskiego, oddano kilka strzałów i na wyraźne polecenie Rządu Tymczasowego elewi i członkinie Batalionu Kobiecego zaprzestali – słabego zresztą – oporu. Ówczesny minister sprawiedliwości – Malantowicz – napisał we wspomnieniach: „pragnęliśmy uniknąć rozlewu krwi...” W obliczu następnych siedemdziesięciu lat, jakie zgotowali Rosji i światu bolszewicy, to wyznanie ministra rządu Kiereńskiego wzrusza naiwnością i całkowitym brakiem rozeznania sytuacji. Rewolucja potrzebowała swojego mitu, a ten łaknął nade wszystko krwi.

Przypominając sobie książkę Pipesa, z przewodnikiem po Ermitażu w dłoni, usiłowałem odnaleźć t a m t e schody. Wbrew pozorom nie jest to zadanie łatwe. Dzisiejszy Sankt Petersburg nie jest już przecież Leningradem, o czym w roku 1991 zdecydowało 54 procent głosów jego mieszkańców. Święte miejsce bolszewickiej rewolucji zdobi obecnie skromna, nowa tablica, raczej informująca niż kultowa. Eisensteinowskie schody wyglądają nader skromnie i kiedy się na nie patrzy, nie można oprzeć się wrażeniu, że cała scena kręcona była jednak gdzie indziej, przy którymś z bardziej reprezentacyjnych wejść do Pałacu Zimowego. Reżyser pragnął wszelako „trzymać się historycznej prawdy” i serię ujęć zrobił właśnie tu, tyle że dodał akcji bohaterskiego dynamizmu. W czasach, kiedy w mojej dzielnicy Gdańska istniało jeszcze kino „Tramwajarz”, wielu polskich krytyków filmowych nazywało Eisensteina geniuszem kina. Nigdy nie podzielałem tej opinii, a idąc teraz salami Ermitażu, rozmyślałem raczej o geniuszu propagandy. Scena z wbiegającymi po schodach marynarzami, podobnie jak ta z gigantycznym łukiem bramy Sztabu Generalnego w tle, ma w sobie coś archetypicznego. Oznacza przekraczanie granicy, pęd do wolności, wspinanie się na szczyty ludzkich ideałów.

Przebiegli zamachowcy stanu, a później najokrutniejsi dyktatorzy XX wieku uzyskali w obrazie Eisensteina wzniosłe, humanistyczne alibi.

Tego nastroju zabrakło najwyraźniej demonstrantom, których ujrzałem kilkanaście minut później, z okna wychodzącego na Plac Pałacowy i Kolumnę Aleksandrowską. Zwarte czworoboki przepływały jeden za drugim pod gigantycznym łukiem Sztabu Generalnego. Związkowcy i komuniści, niosąc sztandary z sierpem i młotem, powtarzali marszrutę swoich bohaterów sprzed osiemdziesięciu jeden lat. Nie wiem, na ile świadomy był to zabieg, ale widok szaro-czarnego tłumu, na który składało się dobrych czterdzieści tysięcy ludzi, z powiewającą czerwienią nad morzem głów, ten widok masy zatrzymującej się przy wejściu do Pałacu Zimowego, właśnie tam, gdzie Eisenstein stworzył swoje arcydzieło kłamstwa, ten widok z okna Ermitażu w kwietniu 1998 roku – przynajmniej – zrobił na mnie wrażenie dość ponure. Nie dlatego, że ludzie stojący na placu domagali się najsluszniej wypłaty zaległych od wielu miesięcy pensji, ale dlatego, że odwoływali się do symboli przeszłości. Padał śnieg, między chmurami prześwitywało słońce. Zamiast podziwiać impresjonistów, patrzyłem na falujący tłum i przypomniałem sobie cytaty z Mickiewicza, który w *Drodze do Rosji*, opisując swoją podróż do Petersburga, proroczo zapytał:

Ale gdy słońce wolności zaświeci
Jakież z powłoki tej owad wyleci?
Czy motyl jasny wzniesie się nad ziemię
Czy ćma wypadnie, brudne nocy plemię?

Pan Hakagawa

Niemal przez całą tę podróż nie mogłem sobie przypomnieć skąd pamiętam brzmienie tego nazwiska. Czytałem o nim w gazecie? Pojawiło się w telewizji? Na okładce książki? Dopiero kiedy samolot wyszedł z chmur i zataczając wielki łuk nad Zatoką San Francisco, zaczął schodzić do lądowania, przyszło nagłe olśnienie: otóż pan Hakagawa nie był ani japońskim konsulem w Wiedniu, ani autorem popularnych komiksów, ani też ich postacią – o co mogłem go wstępnie podejrzewać – lecz kimś, kto zjawia się na krótko w jednej tylko linijce wiersza, powołany do istnienia arbitralną decyzją poety, a więc kimś w rodzaju postaci literackiej, posiadającej być może swój pierwowzór w życiu. Linijka ta wyszła spod pióra T. S. Eliota, który w słynnym wierszu *Gerontion* napisał o niejakiemu panu Hakagawie dość ironicznie: „*bowing among the Titans*”, co znaczy ugrzecznony, cały w ukłonach przed obrazami Tycjana. Dlaczego akurat Tycjan? I dlaczego akurat pan Hakagawa, Japończyk, posłużyli Eliotowi do skreślenia tej scenki, w której pokazuje płytkość i niedojrzałość człowieka XX wieku w spotkaniu z wielką, dawną sztuką?

Wiersz *Gerontion* został opublikowany w roku 1920, a więc na wiele lat przed epoką maleńkich aparatów, kamer wideo i masowej turystyki. Nie to zjawisko jest więc jego głównym wątkiem, a jednak, przypominając sobie zdanie o panu Hakagawie, nie mogłem nie uśmiechnąć się do własnych wspomnień z Luwru, gdzie czterdziestu identycznie ubranych Japończyków zachwyliło mnie swoją dyscypliną: kłaniali się greckiej rzeźbie równo jak na komendę, słuchając kilku słów przewodnika, a potem tak samo równo – i już rzeczywiście na komendę – wyjęli czterdzieści małych kamer wideo, powielając ciało Wenus w ko-

lejnycy czterdziestu filmowych wersjach. Ironia Eliota nie dotyczy różnic w mentalności: Hakagawa, zginający się w pół przed Tycjanami, jest symbolem nie tyle obcego Azjaty, który i tak nie zrozumie wielkiej, europejskiej sztuki, ile duchowej mizarii dwudziestowiecznego człowieka, który wszystko spłyca i niczego nie pojmuje głęboko, metafizycznie.

Jak na ironię, myślałem o tym w samolocie, lecąc na spotkanie z panem Yoshimoto Hakagawą, poetą tajemniczym i ezoterycznym, którego, rzecz jasna, nie mógł znać T. S. Eliot, a którego sława we wpływowych kręgach establishmentu literackiego Ameryki przekracza znacznie sławę wielkiego Anglika. Ciekawiło mnie oczywiście, czy Hakagawa-poeta czytał ten wiersz Eliota i co na ten temat sądzi, ale nie doszło między nami do rozmowy, choć odwiedziłem jego dom, sfotografowałem się na jego trawniku i słuchałem jego własnego wiersza. Nie wynikało to również ze złej woli gospodarza, tylko z przyjętej konwencji: każdy z sześćdziesięciu zaproszonych na ten wieczór artystów przybywał tam nie po to, by r o z m a w i a ć z panem Hakagawą, lecz by w s ł u c h a ć s i ę w jego najnowszy wiersz, którego powstanie i wygłoszenie zapowiedziano w wydrukowanych zaproszeniach.

Typowe, nudne garden party zmieniło się wraz z wejściem pana Hakagawy do ogrodu w rodzaj celebrowanej mszy: ubrany w tradycyjny strój, otoczony przez trzy urocze asystentki, poprowadził gości długim korowodem na pobliską plażę. Tu siedliśmy w wyznaczonym kręgu, jak uczniowie pana Yoshimoto. On sam siedział nieruchomo, wpatrzony w zachodzące słońce; co jakiś czas jedna z asystentek komentowała głośno stany mistrza: „Pan Yoshimoto Hakagawa odczuwa radość z powodu wieczornej bryzy” albo „Pan Yoshimoto Hakagawa przewycięża właśnie lekki smutek” i trwało to dosyć długo, aż do mo-

mentu, gdy wielka, fantastycznie pomarańczowa kula słońca zniknęła w wodach Pacyfiku. I chociaż można było pić przyniesione ze sobą drinki, a nawet palić papierosy, co dawało poczucie swobody i należnego luzu, to jednak nakaz milczenia, narzucony przez szacunek dla gospodarza i jego sztuki, powstającej tu i teraz, na naszych oczach, zaczynał być uciążliwy. Wyglądało na to, że pan Yoshimoto Hakagawa po prostu kontempluje naturę, a jego stany ducha są nam u d z i e l a n e za pośrednictwem asystentek – byłaby to zresztą koncepcja sztuki dość nowatorska i w swojej sublimacji oryginalna, taka, jakiej nie prezentowano jeszcze na Zachodnim ani Wschodnim Wybrzeżu. Ale pan Hakagawa widocznie postanowił zaskoczyć swoich gości nie tyle awangardowym nowatorstwem, co dyskretnie podkreślonym, eleganckim konserwatyzmem.

Kiedy mianowicie zdawało się, że nic więcej nie usłyszymy i nie zobaczymy, pan Hakagawa wstał, złożył ukłon wieczornej zorzy i narysował na piasku kwadrat wielkości telewizyjnego ekranu. Zamarliśmy w oczekiwaniu i rzeczywiście napięcie osiągnęło zenit, gdy pan Hakagawa, stojąc teraz na jednej stopie jak bocian, powoli, niezwykle delikatnym i precyzyjnym ruchem odcisnął drugą stopę dokładnie w środku geometrycznej figury, narysowanej na piasku. Potem znów usiadł, lecz nie powrócił do poprzedniej kontemplacji: asystentki podały mu maleńki stoliczek, papier, tusz, pędzelek i lampę, która rozświetliła teraz skupioną twarz pana Hakagawy. Pisał wiersz. Trudno powiedzieć, jak długo to trwało, ponieważ w takich chwilach czas płynie po prostu inaczej. Wreszcie wstał, uklonił się gościom i przeczytał cztery krótkie wersy w swoim ojczystym języku. Jak większość zaproszonych nie znałem japońskiego i trudno było mi ocenić jakość tekstu, poza tym, że swoją zwieźłością przypominał znane mi z polskiego tłumaczenia wiersze

pióra Takenaka Iku albo Sekine Hiroshi, ale asystentki były przygotowane znakomicie: przełożyły *a vista* utwór pana Hakagawy na angielski, francuski, włoski i holenderski. Brzmiał on mniej więcej tak:

Dobrze jest wieczorem,
Gdy dom pełen przyjaźni,
Na piasku plaży
Odcisnąć swoją stopę.

Zapewne, trudno nie przyznać racji panu Hakagawie.

POR. KSIĘGA, WIEDEN 1893; NIKE

Pogrzebacz Wittgensteina

„Era ideologii totalitarnych w Europie zbliża się do końca. Wiara w misję historyczną jednej rasy czy klasy okazała się najbardziej druzgocącym błędem naszego wieku i jego ofiarą padły miliony niewinnych ludzi. Karl Popper walczył z tym błędem bez wytchnienia”.

Powyższe słowa nie zostały wypowiedziane przez profesora filozofii, ale znanego polityka. Napisał je Helmut Kohl w krótkim wstępie do intelektualnej biografii Karla Poppera, która nareszcie ukazała się po polsku, w przekładzie Adama Chmielewskiego. Nie ulega wątpliwości, że ten gest kanclerza ma co najmniej podwójne znaczenie. Po pierwsze, polityk – określając własny system wartości – oddaje hołd filozofowi, który te wartości kształtował. Po drugie, nie sposób nie dostrzec w podtekście słów właśnie niemieckiego przywódcy ekspicyjnego charakteru wypowiedzi. Gdyby Karl Popper jesienią 1936 roku

nie opuścił Wiednia, stałby się jedną z pierwszych ofiar Anschlusu. Zarówno jego poglądy, jak żydowskie pochodzenie nie pozostawiają co do tego najmniejszych wątpliwości. Autobiografia kończy się akcentem równie mocnym politycznie. W napisanym w 1992 roku *Postscriptum* Popper odnotowuje nie bez satysfakcji – „komunizm sowiecki się skończył, a wraz z nim największe zagrożenie nuklearne ludzkości. Radujmy się. Miejmy również nadzieję, że zagrożenie to nie powróci w jakiejś nowej postaci, jest bowiem wiele innych możliwości”.

Ta klamra może być myląca dla kogoś, kto nigdy nie zetknął się z myślą Poppera. Specyfika jego filozoficznej drogi polega na tym, że to, co głosił niestrudzenie w obronie demokracji, wolnej myśli i społeczeństwa otwartego, nie było dodatkiem czy chwilowym odejściem od głównej ścieżki jego zainteresowań – logiki i teorii poznania naukowego – lecz wynikało z wypracowanych na tym polu wniosków i teorii. „Racjonalna postawa – pisał w *Logik der Forschung* w roku 1936 – nie polega na poszukiwaniu faktów potwierdzających nasze mniemania, przypuszczenia czy hipotezy, takie bowiem zawsze dadzą się znaleźć, lecz na stawianiu sobie pytania: jakie ewentualnie uznane fakty zmuszałyby nas do ich porzucenia”. W autobiografii ten właśnie moment wspomina filozof jako jeden z ważniejszych: „Mój zasadniczy pomysł w 1919 roku wyglądał następująco: jeżeli ktoś przedstawia teorię naukową, musi odpowiedzieć – tak jak Einstein na pytanie – w jakich warunkach uznałbym, że moja teoria jest nie do utrzymania?”.

Konieczność wpisania tego rodzaju mechanizmu krytyczno-testującego w każdą tworzoną przez człowieka ideę czy hipotezę stała się podstawą słynnej teorii falsyfikacji, opartej na takim właśnie antydogmatycznym założeniu. „Nauka jest w zasadzie grą bez końca – twierdzi Popper – ten, kto pewnego dnia uzna-

je, że jakiegokolwiek zdanie nauki nie wymaga dalszego sprawdzania, że można je traktować jako ostateczne potwierdzenie, ten wycofuje się z gry”. Realizm, racjonalizm, swoboda poszukiwań, a przy tym krytycyzm i odpowiedzialność za słowo – oto wartości, jakimi winna się kierować nauka. Popper nie widział powodu, aby na tych samych fundamentach nie miało się opierać życie społeczne, i już przez samo to założenie wszedł w ostry konflikt z marksizmem i narodowym socjalizmem. Skrajna lewica uważała swój ruch za ostateczne wcielenie naukowej prawdy w historię, prawica w podobny sposób uzasadniała teorie rasistowskie i militarystyczne, przy tym oba totalitaryzmy były skrajnie antyracjonalistyczne i w taki sam sposób odwoływały się do przemocy.

Książkę *Spoleczeństwo otwarte i jego wrogowie* Popper ukończył w lutym 1943 roku i przesłał manuskrypt z Nowej Zelandii – gdzie wówczas wykładał – do Ameryki, w nadziei na rychłą publikację. Książka została odrzucona przez wpływowego recenzenta, dopiero interwencja Gombricha i Hayeka spowodowała, że wydano ją w roku 1945. W tym czasie Popper nie był już tak samotny jak Winston Churchill w roku 1929, o którym filozof pisał wtedy, że nikt nie traktował go poważnie, choć tylko on na całym Zachodzie i w całej Anglii rozumiał zagrożenie niemieckie. Popper był bezwzględnie krytyczny także wobec kwestii żydowskiej (to jego własne określenie), kiedy powiedział: „jest oczywiście zrozumiałe, że ludzie pogardzani z powodu pochodzenia rasowego winni reagować stwierdzeniem, że są ze swego pochodzenia dumni. Ale duma rasowa jest nie tylko głupotą – jest też czymś złym, nawet jeżeli jest spowodowana nienawiścią rasową. Wszystkie rasizmy i nacjonalizmy są złe, a nacjonalizm żydowski nie jest tu żadnym wyjątkiem”.

Ale nie tylko poglądy polityczne przysparzały Popperowi zaciekłych wrogów. Kiedy w roku 1946 został zaproszony przez Klub Nauk Moralnych w Cambridge do wygłoszenia odczytu o łamigłówkach filozoficznych, rozpoczął wystąpienie od stwierdzenia, że istnieją prawdziwe problemy filozoficzne, nie zaś łamigłówki. Był to zadawniony spór z obecnym na sali Ludwikiem Wittgensteinem, tak mocno związanym z ideami Koła Wiedeńskiego. Według Poppera, „prawdziwe problemy filozofii zawsze miały swe źródło w palących problemach nie należących do filozofii” – takich jak życie społeczne, przyrodniczość czy religia. Wittgenstein twierdził odwrotnie: prawdziwe są tylko problemy języka, a problemów filozoficznych po prostu nie ma. Siedząc koło kominka, parokrotnie przerywał Popperowi i wymachiwał pogrzebaczem, a kiedy ten poruszył problem obowiązywalności zasad moralnych, wybuchnął: „Proszę podać przykład zasady moralnej!”. Popper ripostował: „nie strasz zaproszonych prelegentów pogrzebaczem”, na co rozszalał Wittgenstein rzucił pogrzebacz i trzaskając drzwiami, opuścił zebranych.

Choć słynna – jest to jedyna tego rodzaju anegdota w autobiografii Poppera. Filozof poważnie potraktował przymiotnik „intelektualna” i zamiast łatwych do zapamiętania formuł, rzetelnie opisuje swoje nieustanne poszukiwanie prawdy, sensu i wartości.

POR. BECKETT

Publiusz, Hispala, Bakchus

Być może działalność tajnej sekty, nazwanej przez historyka „kuźnią zepsucia”, trwałaby jeszcze wiele lat, gdyby nie seria

drobnych, z pozoru niewiele znaczących wypadków, które w roku 186 przed Chrystusem przytrafiły się pewnemu rzymskiemu młodzieńcowi z niższej warstwy średniej. Nazywał się Publiusz Ebutiusz, a jego rodzinne i erotyczne perypetie mogłyby z powodzeniem rywalizować z operami mydlanymi, ponieważ w tej biografii zawiera się prawie wszystko, co dziś wyciska łązy milionom widzów. Najpierw więc półsieroce dzieciństwo po śmierci ojca. Następnie powtórne zamążpójście matki, za niejakiego Rutylusa, który – bo jakżeby inaczej – jest złym człowiekiem i jeszcze gorszym ojczymem. Rutylus, zawładnąwszy majątkiem rodziny, nie zamierza spłacać pasierba, gdy ten dochodzi swoich męskich lat. I oto konflikt już gotowy. Tymczasem matka Publiusza, Duronia, jest pod tak przemożnym wpływem męża, że zgadza się wziąć udział w spisku przeciwko własnemu synowi. „Twierdziła ona – opowiada historyk – że kiedy Publiusz był chory, ślubowała wtajemniczyć go, jeśli tylko wyzdrowieje, w misteria Bakchusa”. Młodzieniec, wciągnięty w nowe towarzystwo, oddany bez reszty namiętnościom, prawdopodobnie przestałby zagrażać ojczymowi. Tak więc Publiusz ozdrowiał. I nie miał właściwie wyboru: któż ośmieliłby się złamać tego rodzaju przyrzeczenie matki, igrając w dodatku z łaską Boga? „Chłopiec musi żyć przez dziesięć dni we wstrzeźliwości – odnotowuje historyk – a dziesiątego dnia po zjedzeniu posiłku i wymyciu się do czysta, matka zaprowadzi go do świątyni”.

Na szczęście na scenę wkracza teraz niejaka Hispala Fecenia, znana w dzielnicy hetera (czyli niewolnica oddana przez swego właściciela do domu publicznego), obecnie będąca już wyzwolenicą, co nie przeszkadza jej „zapewniać sobie utrzymania poprzednim rodzajem zarobku”. Związek łączący Hispalę i Publiusza nie był ukrywany, ale był wyjątkowy. Młodzieniec, nie-

kochany w domu, znajdował w doświadczonej kobiecie po-wiernicę i opiekunkę, ona zaś „nie szukała szkody na jego mie-niu”, ponieważ darzyła kochanka prawym uczuciem i namięt-nością. Kiedy odmówił jej swego towarzystwa w łożu, Hispala dowiedziała się o dziesięciodniowym poście erotycznym i pla-nach wtajemniczenia ukochanego w misteria Bakchusa. Wy-znaje, że sama – jeszcze jako niewolnica – musiała brać w nich udział. Kreśli przed kochankiem obraz okrutnych gwałtów, ja-kim poddawani są adeptci. Tłumaczy Ebutiuszowi, że odtąd – spętany przysięgą i spełnioną orgią – będzie musiał dopusz-czać się czynów złych, odrażających i haniebnych, taki jest bowiem prawdziwy cel działania sekty. Młodzieniec daje się przekonać i po powrocie do rodzinnego domu stanowczo od-rzuca projekt matki i ojczyma. Ci z kolei – zarzucając mu bez-bożność, brak synowskiego szacunku i uleganie „tej żmii, Hispa-li” – przy pomocy czterech niewolników wyrzucają go z domu na ulicę.

Tutaj historia opowiadana przez Liwiusza nabiera rozmachu i tempa, ponieważ z planu intymnego przenosi się na forum publiczne. Pozbawiony środków do życia, wygnany z domu młodzieniec za radą swojej ciotki składa doniesienie o całej sprawie konsulowi. Konsul Postumiusz zaś, zbadawszy rzecz dyskretnie i dokładnie (opis przesłuchania i lamentów Hispali, następnie problem zapewnienia bezpieczeństwa koronnemu świadkowi mógłby z powodzeniem wypełnić kilka odcinków serialu), zaczyna zdawać sobie sprawę, że kult Bakchusa nie jest rozrywką znudzonych elit republiki, ale potężnym, niekon-trolowanym ruchem, który zagraża państwu. Śledztwo zostaje rozszerzone, senat uchwala aresztowania kapłanów i wyznaw-ców kultu, a konsul Postumiusz wygłasza wspianiałą mowę, której retoryczne figury przejdą do historii.

Przez Rzym i całą Italię przetacza się fala donosów, przesłuchań i wyroków. Wyznawców Bakchusa oskarżano nie tylko o czyny lubieżne, lecz przede wszystkim o przestępstwa kryminalne: morderstwa, krzywoprzysięstwa, rabunki, fałszowanie pieniądza i testamentów. „Większą ilość ludzi – podaje lakonicznie Liwiusz – ukarano śmiercią, niż więzieniem”. Kult został zniesiony i zakazany, a oczyszczona republika mogła odetchnąć: odtąd żadna kobieta nie miała zaznać erotycznej swobody pod płaszczykiem religijnych wtajemniczeń, a mężczyźni mieli folgować swoim żądom tak jak dawniej – w boju albo ramionach żon lub heter. Dziejopis Liwiusz nie wspomina, czy Publiusz Ebutiusz odzyskał zagrabioną mu przez ojczyzna część majątku. Być może nie było mu to już potrzebne, skoro na wniosek konsula Postumiusza Ebutiuszowi, podobnie jak heterze Hispali Fecenii, senat wypłacił z funduszy publicznych sto tysięcy asów, tytułem nagrody za ujawnienie spisku. Ebutiusza zwolniono też z obowiązku służby wojskowej, a Hispali Fecenii nadano przywilej wyjścia za mąż za wolnego obywatela. Liwiusz nie wspomina, czy skorzystała z tego prawa, odnotowuje jednak ze wzruszeniem, że jej uczucia do młodzieńca były tak silne, iż „sporządziwszy testament, jedynym swym spadkobiecą uczyniła Ebutiusza”.

Tytus Liwiusz, w którego *Dziejach Rzymu* czytamy tę historię, nie mógł być świadkiem owych wydarzeń. Urodził się w czterdzieści siedem lat po rozgromieniu kultu Bakchusa, a pięćdziesiąt dziewięć lat dzieliło go od wystąpienia konsula Postumiusza w senacie, gdy zaczynał pisać pierwszą księgę swego dzieła. Korzystał ze źródeł, których autentyczności nie sposób ustalić. Był szczerym, rzymskim patriotą i pod gwiazdą epoki Augusta – tak jak sam władca – pragnął moralnego odrodzenia państwa. Dlatego na zajmującą relację o losach Publiusza, Hispali i kilku ty-

sięcy straconych wyznawców Bakchusa patrzymy dzisiaj bardziej krytycznie niż sam autor. Oskarżonym i pokonanym nie przysługiwało prawo głosu. Reprezentowali obcy ludom italskim kult helleński, który zagrażał miejscowym bogom, tradycji i państwu. Zarzuty, jakie wysuwano pod adresem wyznawców ekstazy boga, powtórzyły się prawie dokładnie w czasach prześladowania chrześcijan. Dionizos-Bakchus z kolei, zanim stanie się jednym z głównych wątków myśli Nietzschego, poddany zostanie przez stulecia surowym egzorcyzmom Doktorów Kościoła i teologów. Ci ostatni mieliby chyba sporo kłopotu, by tak jak Liwiusz – pochwalić związek Ebutiusza i Hispali, choć ostatecznie to właśnie on uratował młodzieńca, heterę i całą republikę od zepsucia.

FOR. EROTIKOS, ROK 96; LEWKO, SYN JORDANA

Sejny, rok 1997

Kiedy wkracza się w pagórkowaty pejzaż tej ziemi, pamięć podsuwa rozproszone okruchy zdań poety, czytanych dawno temu i w zupełnie innych okolicznościach, a które teraz zdają się domykać obserwowane widoki. „Linie polodowcowych pagórków, owalne misy jezior”, „droga mija gospodarstwo w dolince nad jeziorem”, „sieci schną rozpięte, dym idzie z komina”, „czołno chrobocze o żwir”, a dalej, „między lodowcowymi głazami a jałowcem ścieżka wije się w dół ku olchom i sitowiu”. Mało istotne, z jakich dokładnie wierszy pochodzą przywoływane widokiem słowa, ważne, że nakładają się na siebie jak poszczególne warstwy tego pejzażu i towarzyszą zmysłowi wzroku, ujmując trafnie istotę rzeczy. Wprawdzie daleko stąd jeszcze do Doliny Issy, lecz kiedy zatrzymamy się na zakręcie

szosy, obejmując spojrzeniem dalekie horyzonty pofalowanych wzgórz, wspomnieć możemy jeszcze jedną frazę Miłosza, tym razem z wiersza *Nauki*, o kraju „nie zanadto dzikim, nie zanadto uprawnym, z łąką, ornym polem i wodą na dnie czołna w gąszczu za stolarnią”.

Kiedy wjeżdżamy do Sejna, mijając strzeliste wieże barokowej bazyliki, pamięć podręcznikowa podsuwa przygarść informacji: w grudniu 1522 roku Zygmunt I nadał z królewskiej w Puszczy Olickiej „ziemi pół mili wzdłuż i pół mili wszerz nad rzeką Sejną wraz z jeziorami i lasami” kniaziowi Michajłowiczowi Wiśniowieckiemu, hetmanowi. Jego syn – Dymitr – pobudował tu dwór i takie były początki miasta nad rzeką, która obecnie zwie się Marychą. W tym akcie nadania zawiera się niewątpliwie jakaś synteza dawnej Rzeczypospolitej. Polski monarcha z rodu Jagiellonów obdarza ziemią na litewsko-polskim pograniczu hetmana, który – przynajmniej z pochodzenia – nie jest ani Litwinem, ani Polakiem. Kim byli pierwsi cieśle? Drwale? Bartnicy? Gospodarze? Kroniki o tym nie wspominają, a kwestia ta zaczyna być paląca dopiero z końcem XIX wieku. W latach 1919-1920 toczyła się tu wojna wielu samozwańczych i ochotniczych oddziałów, okrutna jak każda wojna pogranicza. Sejny – to w rękach polskich, to w litewskich – gorzko doświadczały zapiekłych nacjonalizmów i chociaż do roku 1939 ostatecznie przypały Polsce, podobnie jak po 1945, pamięć tamtych wydarzeń jest trwała – „po strychach i rozmowach”.

Kiedy wkraczamy w piękny barok sejneńskiej bazyliki, nie sposób nie przypomnieć Mikołaja Grodzińskiego: to on odkupił majątek Sejna od Sapiechów (którzy wzięli go jako posag Hanny Wiśniowieckiej), a pod koniec swego życia, w roku 1602, zapisał dominikanom z Wilna. Ci wzniesli tutaj klasztor i świątynię, w której do dziś kultem otaczana jest figura Matki Boskiej, spro-

wadzona do Sejn jeszcze za życia Grodzińskiego. I znów – kiedy patrzymy na tę rzeźbę Matki Boskiej, niezwykłą, bo szafkową, z otwieranymi skrzydłami, nie sposób nie pomyśleć o dawnej Rzeczypospolitej. Figurę zakupił siostrzeniec Grodzińskiego w Królewcu, ale pochodzi ona z Gdańska, gdzie wykonano ją w początkach XV wieku. Świadczą o tym – między innymi – postaci Krzyżaków, umieszczone w lewym i prawym skrzydle szafki. Byłoby powieściową sprawą opisać historię tej figury: wykonana w Gdańsku zajęty przez Krzyżaków, po dwóch stuleciach znalazła się w protestanckim Królewcu, by tutaj kupić ją (na wyprzedazy?) siostrzeniec sejneńskiego dziedzica, który na koniec ofiarował ją wraz z całym swoim majątkiem – wileńskim dominikanom. Postaci fundatorów w białych płaszczach nie budzą dzisiaj już emocji, a linia pomiędzy Gdańskiem, Królewcem, Wilnem i Sejnami, jaką kreślimy w myślach, znów przypomina, że jesteśmy w samym sercu pogranicza.

Kiedy pozostawimy za sobą gdański gotyk ujęty w skrzydła wileńskiego baroku, trafimy – tuż obok byłego pałacu biskupiego – na sejneńską synagogę, wybudowaną tutaj w 1885 roku. Jej fronton – choć dziewiętnastowieczny – dyskretnie nawiązuje do baroku; za symboliczny można uznać fakt, że wejście do synagogi skierowane jest ku fasadzie bazyliki. Zezwolenie na budowę pierwszej w Sejnach bożnicy dominikanie wydali w 1768 roku, ale obecność żydowskiej gminy sięga wiek wcześniej, w XVII stulecie. Najsławniejsi rabini działali jednak w wieku XIX – Jehuda Bruch, Mojżesz Luria i Mojżesz Icchak Awigdor. Ten ostatni, jako aktywny filozof żydowskiego oświecenia, założył w Sejnach wyższą uczelnię talmudyczną, słynną na całą Litwę. Po krótkotrwałym okresie świetności została zamknięta przez rząd rosyjski, a Awigdora skazano na wygnanie z guberni. Dwadzieścia kilka lat później jeszcze gorszy los

spotkał tutejszego biskupa, Ireneusza hrabię Łubieńskiego. Wywieziony na Syberię zmarł na zesłaniu w Niżnym Nowgorodzie w 1869 roku, płacąc w ten sposób za wierność polskiej sprawie i lojalność wobec Watykanu. Dzisiejsze Sejny nie są siedzibą biskupstwa, a po żydowskiej gminie zostały tylko synagoga i jesziwa. W budynku tej ostatniej działa obecnie ośrodek „Pogranicze”, którego filozofię i działalność przyrównać można do żmudnej pracy odtwarzania dawnego języka: kultur, obyczajów czy wyobraźni religijnej.

Wystawa poświęcona polskim rodzinom i sadybom z okolic Lidy to nie tylko zbiór fotografii i podpisów. Młodzi ludzie przemierzali przez kilka tygodni tamtą okolicę, by zdobyć coś więcej niż dziennikarską informację. Zapisywali koleje życia społeczności, która przetrwała represje i wywózki, kołchozy, ateizację, rusyfikację, nędzę i upokorzenia – teraz zanika i odchodzi w przeszłość. Jak archaiczne gesty, modlitwy, obyczaje. Być może za dwadzieścia lat nikogo ta historia nie będzie już obchodzić i pozostaną tylko fotografie, nagrane głosy, zapisany los. Kiedy w sejneńskiej synagodze obejrzymy spektakl *Dybuka*, przygotowany przez tę samą grupę młodzieży, oprócz podziwu dla teatralnej urody tego przedstawienia, może ogarnąć nas zdziwienie: czy rzeczywistość przeszłość jest tak ważna?

Co znaczy dzisiaj los biskupa Łubieńskiego, rabina Awigdora albo historia figury Matki Boskiej, która z Gdańska przez Królewiec trafiła do tutejszych dominikanów?

Odpowiedź jest banalna, prosta i do znudzenia oczywista: czym byłyby dzisiaj Sejny bez swojej przeszłości? Trudno to sobie wyobrazić, tak jak trudno wyobrazić sobie współczesny dyskurs o Europie Środką bez poetyckich inkantacji i przenikliwych esejów Miłosa.

Siena, rok 1977

Była to jedna z jego ostatnich, świetnych prac – fresk przedstawiający papieża Aleksandra III w konnym orszaku i w otoczeniu kardynałów. Malarz Aretino Spinello otrzymał to zamówienie od władz Sieny w roku 1408 i fakt, że od śmierci papieża Aleksandra III upłynęło już 227 lat, nie miał większego znaczenia. Znaczenie miało pochodzenie papieża – był z urodzenia sienieńczykiem – a także powszechnie zgodna ocena jego pontyfikatu jako jednego z najwybitniejszych w całym średniowieczu.

Trudno powiedzieć, co bardziej urzeka w scenie przedstawionej na fresku: kolorystyka renesansu, operująca tak śmiało zestawieniem żywych i naturalnych barw, czy kompozycja orszaku, w którym sylwetki koni, postacie ludzkie oraz ich stroje uzyskują zdumiewającą i harmonijną jedność. Zapewne Aretino Spinello znał najważniejsze fakty z życia swojego bohatera. Przez dwadzieścia dwa lata pontyfikatu Roland Bandinelli z Sieny – jako papież Aleksander III musiał przeciwstawiać się czterem kolejnym antypapieżom, uznawanym przez stronników cesarza Fryderyka Barbarossy, przeprowadzić niepopularne decyzje na soborze w Lateranie, wreszcie utrzymać pokój, pozyskując mądrze i roztropnie swoich kolejnych przeciwników z cesarskiego stronnictwa. Nawet niechętni mu historycy uznali w Aleksandrze wybitnego prawnika i męża stanu, który zdecydowanie wolał słowo i trudną sztukę perswazji od miecza. Może dlatego artysta przedstawił go nie jako postać monumentalną, lecz właśnie jedną z wielu? Aleksander III wyróżnia się na fresku jedynie białą, fantazyjnie rozmalowaną suknią, jego wierzchowiec natomiast, podobnie jak kardynalski kapelusz, są pospolite, takie same jak w wypadku pozostałych osób. Szlachetne rysy ludzkich twarzy i wręcz pogodne pyski koni

odwołują się tutaj do manieri Giotta, którego Spinello był naśladowcą i kontynuatorem. Tematem fresku nie jest więc papieska chwala ani polityka, lecz raczej urok chwili, w której konny orszak wjeżdża do miasta.

W 1526 roku Sebastiano del Piombo, weneccjanin, maluje w Rzymie portret papieża Klemensa VII. Od śmierci Aretina Spinella minęło 116 lat, w czasie których zmieniło się wiele, także w sztuce. Piombo ma przed sobą żywego modela i na płótnie – zgodnie z życzeniem zleceniodawcy i utrwaloną już tradycją portretową – jest miejsce tylko dla jednej postaci. Artysta musi oddać wiernie nie tylko jej rysy, ale też wzniosłą i wyjątkową aurę majestatu. Brąz, czerwień i biel, tylko gdzieś tam przełamane złotem, stanowią zredukowaną i niemal ascetyczną gamę barw. Gulio, nieślubny syn zamordowanego Juliana de Medici, jako papież Klemens VII przedstawia się nam także w swoim książęcym dostojeństwie. Przenikliwe, makiaweliczne spojrzenie, linia mocno zaciśniętych ust, a także posagowa stateczność całej postaci nie pozwalają żywić wątpliwości, że przeznaczeniem rodu Medyceuszy jest panowanie i świat wielkiej polityki. Sebastiano del Piombo, malując portret, nie wie jeszcze, że na skutek tejże polityki i fatalnych sojuszy papieża na Rzym najadą wojska cesarza Karola V. Miasto zostanie splądrowane, papież wzięty w niewolę, a wykup będzie tak drogi, że Benvenuto Cellini przetopi watykańskie skarby na gorącą monetę. Odbudowanie pozycji Medycejskiego rodu zajmie Klemensowi wiele lat, a z faktu, że zajmował się bardziej właśnie tym niż konieczną reformą Kościoła, współcześni nie czynili mu zarzutu.

Podobnie jak nie czyniono zarzutów Innocentemu X z faktu, że absolutnym dyktatorem na papieskim dworze stała się jego szwagierka – despotyczna, wrzaskliwa, pazerna na łapówki Olimpia Maidalchini. Nepotyzm – nawet w takiej formie – stał się

instytucją szanowaną i trwałą. Nie wiemy, czy o tym rozmyślał Diego Velázquez, malując w roku 1650 portret Innocentego X, jedno jest wszakże pewne: papież, spoglądający na nas z płótna hiszpańskiego artysty, przedstawiony został z tego rodzaju realizmem, w którym obecna jest ironia. Może dlatego Innocenty X, gdy obejrzał ukończone dzieło, zakrzyknął: „Zbyt podobny! Zbyt prawdziwy!”. Według historyków, okrzyk ten nie tylko wyraża podziw dla sztuki Velázqueza, lecz jest także znakiem epoki: papieństwo w roku 1650, dwa lata po podpisaniu pokoju westfalskiego, jest tylko cieniem swojej dawnej potęgi politycznej.

Kiedy w roku 1958 jeden z najsławniejszych malarzy XX wieku, Francis Bacon, namalował obraz *Papież z sowami*, nie można było nie odnieść tego płótna do całej, wielowiekowej tradycji papieskich wizerunków i papieskich portrecistów. Jest w nim reminiscencja ze słynnej podobizny Juliusza II pędzla Rafaela, jest nawiązanie do Velázqueza, Tycjana, del Piombo i wielu innych. Ale ten oczywisty system odniesień pozornie tylko pozwala nam zrozumieć pracę Bacona, która w istocie pozostaje niejasna, irytująco zagadkowa. Angielski malarz nie portretował przecież żadnego konkretnego papieża. Zgodnie ze swoją teorią deformacji, kolorystyczną tradycję papieskich wizerunków doprowadził do jej całkowitego zaprzeczenia, podobnie zresztą traktując ludzką twarz. Pozostawił natomiast idiom kompozycji: krzesło, ułożenie szat, modelunek sylwetki, nachylenie głowy. I dodał – ironicznie? żartobliwie? szyderczo? – dwa nocne ptaki, po jednym na każdym ze szczytów papieskiego tronu. Powstała w ten sposób przedziwna synteza – *Papież z sowami* zawiera w sobie cechy wszystkich poprzedników, lecz równocześnie nie jest żadnym z nich. Zupełnie tak, jakby Francis Bacon namalował nie tyle pastisz wszystkich znanych w hi-

storii wizerunków papieży, co jego ideę. Ale czy jest możliwe namalowanie idei? A może w ten sposób Bacon postawić chciał kropkę nad i, podsumowując sytuację europejskiego malarstwa, które żywić się może już tylko samym sobą?

Warto o tym podumać w sali sieneńskiego Palazzo Publico, gdzie niezmiennie, od 570 lat, zachwyca barwnością, kompozycją i fantazyjnym wdziękiem konny wizerunek papieża Aleksandra III.

POR. KLEPSYDRA ASCHENBACHA; MADAME TUSSAUD; NÓZ ABRAHAMA

Societas Jesu

Jakież to były historie: duchy czyścicowe powracające na ziemię, nawiedzone dwory, straszne cmentarze, widma wiecznych potępieńców ukazujące się podróżnym w austerii albo w lesie – za siódmą wiorstą od miasta. Myli się jednak ten, kto sądzi, że stworzył je romantyzm ze swoim upodobaniem do opuszczonych zamków, gotyckich ruin i upiorów. *Ballady i romanse* Mickiewicza, które wzbudziły zachwyt na wileńskiej prowincji, a salwy śmiechu i szydercze uwagi na warszawskich salonach, miały w Polsce – co najmniej przez sto pięćdziesiąt lat – swych godnych poprzedników. Z łacińska zwane *miracula* lub *exempla* po polsku zwyczajnie – historiami. W bogatej praktyce kaznodziejskiej zakonu jezuitów odgrywały rolę niepoślednią. Najpierw przykuwały uwagę słuchacza opisem zbrodni lub innego strasznego grzechu, następnie szokowały interwencją zaświatów, by wreszcie przekazać morał: chrześcijański w ogólnym ujęciu, w szczegółowym zaś – rzymsko-katolicki.

Taką jest na przykład opowieść *Świętokradca* zamieszczona w *Dziejach kościelnych* ojca Jana Kwiatkiewicza. Rzecz dzieje



FRANCIS BACON *Papież z sowami*, olej na płótnie, 1958

się w czasie potopu, kiedy to „jeden z przednich szwedzkich wojowników, jak insi, z polskich kościołów dość zdobyczy drogiej był nabrał, a gdy się do swoich z Polski powrócił, kielichy i pateny z katolickich kościołów zarwane, na bankiet przynieść kazał i na tychże patenach jeść, a z kielichów za zdrowie króla szwedzkiego pełnić zalecał”. Nawet luterańscy duchowni prze-razili się takiego pomysłu i odwodzili grafa od popelnienia świętokradztwa, dając za ostrzeżenie biblijny przykład króla Baltazara. Butny Szwed nie posłuchał wszakże i „ledwie co do ust kielich przyłożył, zaraz od siebie odchodzić i na ziemię upadać począł”. Chciano go ratować, pochyłono się nad nim, „ażci jakaś straszna poczwara tam weszła, czym przestraszeni wszyscy uciekać poczęli, a w tym toż straszdył do świętokradce przystąpiwszy, szyję mu zakręciło i strasznie zadusiło...”

W tej krótkiej narracji, spisanej przez siedemnastowiecznego jezuitę, zaobserwować można wszystkie typowe cechy gatunku historii „dziwnych i straszliwych”. Po pierwsze – nawiązuje ona do wydarzeń znanych słuchaczom; w tym wypadku była to szwedzka okupacja kraju i powszechna grabież. Po drugie – operując umiejętnie obrazem najeźdźcy, łączy go z pojęciem heretyka. Po trzecie – wprowadza element boskiej interwencji w postaci „strasznej maskary”, która – zgodnie z barokową estetyką – przeraża i zdumiewa. Po czwarte – przedstawia jasno określony morał, dając przy tym słuchaczowi satysfakcję narodową i wyznaniową za jednym zamachem. Na koniec wreszcie – opowiedziana jest językiem prostym, zrozumiałym dla każdego, niepozbawionym jednak ekspresji, bardzo żywym. Setki tego typu historii, wplatanych przez jezuitów do kazań, krążyło po kraju z ust do ust. Barokowy koncept mieszał się w nich z sarmacką barwnością, a duch kontr-reformacji brał srogi odwet na innowierczych herezjach, dotyczących czyśćca, Trójcy Świętej czy hostii.

Oświeceniowa myśl schyłku XVIII wieku potraktowała te cudne i dziwaczne fabuły z typową dla siebie pryncypialną wyższością. Już po kasacie zakonowi jezuitów, wytoczono proces przed trybunałem historii i rozumu, oskarżając nie tylko o knowania polityczne, moralną dwulicowość czy pazerność na ziemskie dobra, ale też o szerzenie ciemnoty i zabobonu, czego koronnym przykładem miały być owe historie, w których duchy, zjawy i upiory interweniowały skutecznie na rzecz moralności i rzymsko-katolickiej doktryny. Zanim – wraz z wystąpieniem romantyków – nastąpiła rehabilitacja sarmatyzmu i opowieści niesamowitych, jezuita stali się synonimem ciemnogrodu. Uczyniono ich współodpowiedzialnymi za „noc saską” polskiej kultury, obyczaju, mentalności, polityki... Oświeceniową retorykę powtórzyli dwa wieki później publicyści komunistycznej „Kuźnicy”, dorzucając do jezuitów akt zarzuty wstecznictwa, reakcji i kosmopolityzmu. Specjaliści od literatury chętnie cytowali wówczas fragmenty księdza Baki, by dowieść całkowitego upadku sztuki poetyckiej, w wykonaniu jezuita właśnie.

Dzisiaj, gdy pochylamy się nad *Historiami dziwnymi i straszliwymi*, które przypomniało wydawnictwo „Verba”, przede wszystkim potrafimy się cieszyć ich niesamowitą aurą, smakując dosadny, pełen fantazji i równocześnie lapidarny język. Kiedy Adam Stadnicki, obłożony we własnym dworze od drabów Drojewskiego, zwrócił się w domowej kaplicy do świętych Floriana i Maurycego, z obrazu przemówił doń święty Ignacy tymi słowami: „A czemuż i mnie na pomoc przeciw adwersarzowi twemu nie prosisz? Albow i ja nie żołnierz? Bądź pewien, że w tej potrzebie będę służył. Jakoż szczęśliwie – kończy opowieść narrator – nieprzyjaciela swego odpędził, kupę swywołną trupem położywszy”.

Lektura *Historii*... dostarcza, obok tego rodzaju przyjemności, także takiej oto refleksji: otóż rola i miejsce jezuitów w pol-

skiej kulturze i w polskich dziejach nie da się zamknąć w szufladzie z napisem „kontreformacja + katolicyzm + sarmatyzm = ksenofobia”. Odkąd 8 stycznia 1565 roku otworzyli w Braniewie swoje pierwsze w Polsce kolegium, pejzaż naszego kraju zaczął się zmieniać dość gruntownie. Nie tylko przez architekturę, którą podziwiamy dzisiaj w Wilnie, Krakowie, Poznaniu czy tylu innych miejscach, lecz także przez formułę wykształcenia, jaką zaproponowali jezuici. Ich kolegia stworzyły jedyną w swoim rodzaju, nowoczesną sieć szkół, których poziom – co przyznawali nawet oponenti – nie miał sobie równych w Europie. Mało kto wie, że szkoły te nie były wyznaniowe w tym znaczeniu, że kształciły jedynie młodzież katolicką. W roku 1648 kronikarz kolegium w Rydze zapisze: „wszyscy uczniowie to synowie luteranów”. Różnice stanowe uczniów były rzecz jasna widoczne, ale dostęp do wiedzy i studiów – równy, także dzięki systemowi stypendiów. Oprócz tradycyjnej wiedzy humanistycznej wprowadzono zajęcia z geografii, architektury, astronomii, prawa, uczono też języków współczesnych, prowadzono zajęcia z tańca, muzyki, szermierki i... zapasów. Nie gdzie indziej jak na jezuickiej Akademii Wileńskiej inaugurowano uroczyście w roku 1677 katedrę polityki, nie ograniczając się tradycyjnie do Arystotelesa, lecz wpisując w jej program zagadnienia współczesne. W murach tejże Akademii już w roku 1627 profesor Tomasz Rostoga przedstawiał studentom poglądy Galileusza, a wykłady Jaakuba Marquarta z psychologii opierały się na analizie anatomicznej systemu nerwowego z dzieła Vesaliusa.

Historie dziwne i straszliwe mogą się jawić w tym kontekście dość dziwnie, dopóki nie zwrócimy uwagi na to, że były przeznaczone dla niewykształconego ogółu. Gdyby w wieku XVII członkowie Societas Jesu mieli do dyspozycji telewizję,

zapewne wymyśliliby wideoklipy, wykorzystując w nich mrozące w żyłach krew historie. Wiedzieli bowiem doskonale, jak funkcjonuje ludzka wyobraźnia, wiedzieli też, że wykształcenie wszystkich jest utopią.

POR. CNOTLIWY CZLEK GODLEWSKI

Spoon River

Jak zagrać umarłych? Nie chodzi przy tym o klasyczne duchy, w rodzaju ojca Hamleta czy królowej Dydony – tutaj tradycja teatralna dostarcza wielu efektownych chwytów, które od stuleci wykorzystywano z powodzeniem. Jak zagrać zwykłych umarłych, gdy pojawiają się na scenie po to, by w kilkunastu zdaniach zdać nam relację ze swojego życia, które upłynęło w małym amerykańskim miasteczku, pomiędzy wzgórzem, rzeką, knajpą i kościołem? Michał Sprusiński we wstępie do *Spoon River Anthology* Edgara Lee Mastersa wspomina o takim doświadczeniu. Grupa czternastu studentów z Duke University w Północnej Karolinie, „posługując się monologami wybranymi z dwustu czterdziestu czterech tekstów, w formie teatru rapsodycznego dała obraz życia człowieka w najskrajniejszych uwikłaniach, między życiem i śmiercią, między sukcesem i katastrofą”. Sprusiński zaznaczył, że aktorzy mówili swoje kwestie tak szczerze, jak w swoim arcydziele napisał je Edgar Lee Masters. W programie spektaklu zaznaczono – nie bez racji – „czas nieważny”, określając wszak miejsce – „cmentarz na wzgórzu Spoon River, Illinois”. Polski tłumacz amerykańskiego poety nie zawahał się użyć w tym miejscu słowa „dziady” i zapewne miał ku temu powody. Ale zbiór dwustu czterdziestu czterech wierszy – epitafiów Edgara Lee Master-

sa, które jako *Spoon River Anthology* 15 kwietnia 1915 roku weszły na trwałe do literatury światowej, nie jest zapisem cmentarnego obrzędu przywoływania dusz ani tym bardziej metafizycznym dramatem, w którym jasny podział pomiędzy dobrem i złem stanowi zapowiedź zbawienia lub wiecznej kary. Nad niezwykłą przestrzenią śmierci w wierszach Mastersa unosi się raczej tradycja rzymskich epitafiów, których najcelniejszym skrótem może być taka oto starożytna inskrypcja: „Non fui, fui, non sum...”, co znaczy: „Nie byłem, byłem, nie mamnie...”. Bo jak powiedział Marek Aureliusz, nasze życie to jedynie „przystanek na chwilę w podróży...” Umarli z miasteczka nad rzeką Spoon opowiadają właśnie o tym przystanku. Śmierć nadaje ich historiom wymiar ostateczny, ponieważ przestrzeń danego człowieka istnieje tylko wraz z nim. To, co rozciąga się przed jego narodzinami, jak też to, co istnieje po jego śmierci, stanowi mroczną zagadkę istnienia, domenę niemych i milczących bogiń, których prastarych imion lepiej jest nie przyzywać...

Spektakl teatralny, o którym wspomina Michał Sprusiński, zrealizowano jesienią 1978 roku. Zapewne grano go inaczej niż pięć lat wcześniej na zawodowej scenie Nowego Jorku. Można też przypuszczać, że nie przypominał w niczym opery *Wzgórze*, którą na podstawie siedemdziesięciu tekstów Mastersa wystawił w mediolańskiej La Scali w roku 1950 Mario Pergallo. Studenci z Duke University całkowicie skupili się na słowie, które w ciemnej przestrzeni sceny, pozbawionej jakichkolwiek dekoracji, brzmiało czysto i mocno, właśnie jak w rapsoodycznych wersach poety.

Cóż bowiem opowiada nam o swoim życiu małomiasteczkowy kłoszard, Chase Henry? „Byłem pijakiem, kiedy umarłem, ksiądz odmówił pochówku w poświęconej ziemi” – banalnie za-

czyna swą opowieść. Ale życie dopisało puentę już nie tak banalną. Niepoświęcony przez księdza grunt kupili protestanci i oto Chase Henry, pijak i wyrzutek, spoczął obok bankiera Nicholasa i jego żony Priscilli. Z tak znakomitego teraz miejsca pochówku mówi do nas przewrotnie: „baczcie, o wy, roztropne i pobożne dusze, na przeciwne prądy życia, które przynoszą zaszczyt umarłym, co żyli w hańbie...” Jedenastu linijkom pijaka nie ustępuje wcale dwanaście wersów poświęconych Minerwie Jones – nawiedzanej poetce miasteczka, wygwizdywanej i poszturchiwanej na ulicach za „ociężałe ciało, zeza i kaczy chód...” Zgwałcona po brutalnej pogoni przez niejakiego Rzeźnika Weldy, trafia do doktora Meyersa i podczas zabiegu: „zapada w śmierć, drętwiąc od stóp, jak ktoś, kto coraz głębiej wchodzi w strumień lodu...” Wspomniany doktor Meyers w swym własnym epitafium wspomina – „Chciałem jej ulżyć – umarła – oskarżyli mnie, oczerniła mnie prasa...” Doktor umarł wprawdzie na zapalenie płuc, ale możemy się domyślać, że prawdziwą przyczyną jego śmierci była zgryzota związana z Minerwą Jones. Pani doktorowa Meyers, spoczywająca obok męża, nie ma co do tego wątpliwości; „starając się jej pomóc, jak to zwał, złamał prawo ludzkie i boskie” – stwierdza oschle w swym monologu. A Rzeźnik Weldy? Wprawdzie spoczywa na tym samym cmentarzu, lecz w jego opowieści nie znajdziemy śladu skruchy wobec Minerwy Jones czy doktora Meyersa. Może dlatego, że przy wybuchu kotła zginął śmiercią tak okropną, iż nie potrafi opowiedzieć już o niczym więcej? Zupełnie inaczej odeszła natomiast Margaret Fuller Slack: piorąc dziecinne rzeczy ukłuła się igłą w palec i „umarła na tężec, głupią śmiercią...” Margaret to kobieta, której los powinny wypisać na sztandarach wszystkie artystki i feministki: „byłabym tak wielka jak George Eliot” – stwierdza na początku swej historii. Ale przeznaczenie w postaci bogatego apteka-

rza i ośmiorga dzieci nie pozostawiło jej ani jednej wolnej chwili na pisanie powieści. Dlatego niedoszła artystka ostrzega na zakończenie – „słuchajcie mnie, ambitne dusze, pleć to przekleństwo życia!”.

Niezwykle rzadko mieszkańcy nekropolii przy Spoon River wyrażają nadzieję na to, co będzie tam – po drugiej stronie. Sara Brown, której los wyznaczył życie pomiędzy mężem a kochankiem, udręczona tą sytuacją przez wiele lat, teraz, z perspektywy grobu, stwierdza: „W niebie nie ma małżeństwa, jest miłość”. Być może to jedyne tak mocno i wprost wyrażone pocieszenie w całej antologii Edgara Lee Mastersa. Ale jeśli nadzieja zmartwychwstania jest tak niepewna i ulotna, a śmierć tak pewna i okrutna, czy może być inaczej? Na rzymskim nagrobku Skateriusza Celera napisano – nie bez znajomości rzeczy – „Jesteśmy niczym, a byliśmy śmiertelni. Ty, który czytasz, pomyśl: jak szybko przechodzimy z nicości w nicość”. Na innym zaś, anonimowym grobie łatyńskim napisano jeszcze dosadniej: „Jest, jak widzisz. Tak oto. Nie może być inaczej”.

FOR. ASFODELOWE ŁĄKI; JEZIORO ACHERUZA; FAULKNER

Sycowa Huta, lato 1962

Nie wiem, co bardziej mnie zdumiewa w tej – nie tak starej w końcu – fotografii. Uśmiech mojej matki? Miała wtedy trzydzieści sześć lat, o cztery mniej niż ja w tej chwili, pochylając się nad poźółką odbitką. Spojrzenie lekko zmrużonych oczu ojca? Jest wyjątkowo łagodne. To znak, że musiał czuć się dobrze: z dala od planów turbiny okrętowej. Jezioro? Jego powierzchnia, nie bardzo pomarszczona, pozwala dzisiaj domyślać się zaledwie przelotnego wiatru, który w sierpniowe, upalne popo-

ładnie przyniósł wytchnienie letnikom i miejscowym. Trzciny? Rosły, może mniej bujne niż na Mazurach, z lewej i prawej strony kąpieliska, tworząc szeroki szpaler przy zejściu do wody. Płaskodenka? Przycumowana była do pomostu: wiosła wyjęte z dulek spoczywają na tylnej ławeczce, a nad drewnianym jej kadłubem unosi się zapach tamtego lata, którego złożone ingredencje – woń tataraku, rybackich sieci, nenufarów, smoły do uszczelniania klepek – pamięć dopełnia żywicznym oddechem lasu, łąk i zwożonego właśnie do stodoły zboża.

Trzydzieści pięć lat, jakie minęło od chwili zatrzymanej na tamtej fotografii, to więcej niż epoka. Zmieniło się tak wiele, że teraz, kiedy schodzę tą samą ścieżką do jeziora, odczuwam pewien rodzaj niepokoju: po co tu przyjechałem? Widok na szczęście nie szokuje. Daleki cypel, za którym rozciąga się Sudomie, trzciny i nawet pomost wydają się te same. I tylko przestrzeń jakby się skurczyła, bo pejzaż, który mnie otacza, dostępny jest w godzinę jazdy samochodem z miasta, a ten na fotografii osiągnąć trzeba było podróżą długą i daleką. Kolejka elektryczna wtaczała się na stację Gdynia Główna, gdzie na peronie piątym czekała już sapiąca lokomotywa z doczepionym składem osobowym. Wolno, puszczając kłęby pary i węglowego dymu, ruszała wreszcie z gwizdem, a oklejone sadzą i kurzem lata okno co chwila opadało w dół, wpuszczając do przedziału ów archaiczny, żelazno-kolejowy śwąd, który nas łączył z XIX wiekiem. Niepieszna jazda miała nieodparty urok, bo była jak kontemplacja powoli zachodzących zmian: dalekie wzgórza i doliny, jeziora, grzywy lasów nie stanowiły tła podróży, lecz były jej istotną treścią, podobnie jak konduktor z zatabaczoną chustką i akcentem, jaki słyszałem po raz pierwszy w życiu, gdy wreszcie krzyknął mocno i przeciągle: „wysadac, Kueszczyna!!”. Autobus marki Jelcz wiozł nas niewiele szybciej od pociągu; chłodzony powietrzem, co

chwila fuczał jak ciężko ranny zwierz, by w końcu, za zwirownią, wysadzić nas na rozstaju dróg. Stąd trzeba było iść piechotą mniej więcej dziesięć minut, aż dochodziło się do miejsca, z którego teraz, z fotografią w dłoni, spoglądam na to samo jezioro i starsze o trzydzieści pięć lat świerki. Pamiętam tamten moment: po pięciogodzinnej podróży drewniany dom na wzgórzu, stodoła, malwy, warzywny ogród i falujący łąn żyta, za którym błyszczało w słońcu jezioro, były jak ziemia obiecana. Miałem pięć lat i magiczna księga kaszubskiego lata otwierała się przede mną po raz pierwszy, z intensywnością, jakiej nigdy nie miałem już zapomnieć.

Ale początki były trudne. Z chłodnej, półmrocznej izby wyszedłem na podwórze i otoczony dziećmi gospodarzy, nie rozumiałem czego chcą ode mnie. Ich język zdawał się tak obcy, że przestraszony wróciłem do rodziców z pytaniem: gdzieście mnie przywieźli? Nie przekraczaliśmy przecież granic Polski, a skoro nie mówią tutaj po polsku, to gdzie jesteśmy? Nie pamiętam już, czy w odpowiedzi padło słowo „gwara” lub „Kaszuby”; po kilku wszakże dniach wiedziałem, co znaczy „maselnica”, „kuelo”, „rozwerk”, a także „krokulc”, „lasny”, „urzas”, „czidel” lub „pólnie bystro jesc”...

Pamięć języka i tamtych nowo odkrywanych słów nie jest obecna na fotografii. Lecz, teraz, kiedy ze wzgórze schodzę tą samą ścieżką do jeziora, owo poźółkle nieco zdjęcie przywołuje dawno już nieobecny świat. Pan Wanicki w mundurze leśnika przyjechał właśnie z Kościerzyny bryczką: zmęczone konie chcą pić i Jasiek zaraz zaprowadzi je do stajni. Za kilka dni, po żniwach, obracać będą kierat, naoliwiony na tę okoliczność starannie i fachowo. Obraz zwierzęcia przy obrotowym dyszlu niespodziewanie budzi inne skojarzenie: masło i chleb. To pierwsze, pani Wanicka oddziela od śmietany i maślanki, w drewnianej

dzieży z ubijakiem mozolnym ruchem ramion, ten drugi piecze się raz w tygodniu w domowym piecu, który pamięta jeszcze kajzera, żandarmów i zabory. A jałowcowe piwo? Nie, nie widziałem, jak się je warzy, lecz jego zapach rozchodzący się po izbie, gdzie wieczorami zbierają się mężczyźni, spoceni, o pobrużdżonych twarzach, ten jego zapach w świetle naftowej lampy, przy której krążą nieustannie ogromne ćmy i opowieści o partyzantach, diabłach i umrzykach, ten jałowcowy napój, którego dano mi spróbować ledwie łyk, przypominam sobie teraz, schodząc na pomost i zanurzając stopy w wodzie.

Na wprost, po drugiej stronie, jest cypel i wąski przesmyk pomiędzy jeziorami. To tam prosiłem zawsze ojca, żeby zatrzymać kajak: dość silny prąd przesuwiał kadłub bez wiosłowania i miało się wrażenie, że wprost z jeziora wpłynęliśmy na rzekę. Nigdy nie zabierali mnie na raki i może właśnie dlatego zapamiętałem tamten obraz tak dokładnie: płaskodenka wychynęła zza cypla i trzech mężczyźni pochylali się w świetle latarki nad wyciąganym z wody koszem. Potem łódź przesuwiała się wolno do naszego brzegu i dobiła do miejsca, w którym trzydzieści pięć lat później siedzę z poźółką fotografią w dłoni, myśląc o tamtych wakacjach w sześćdziesiątym drugim roku. Radio doniosło właśnie o śmierci Leona Kruczkowskiego: Zawadzki, Ochab, Cyrankiewicz maszerowali za trumną na Powązkach, parę tygodni wcześniej KTT gromił na łamach „Przeglądu Kulturalnego” wzrastający w naszym kraju konsumpcjonizm i „wygodnictwo”, lecz w Sycowej Hucie życie toczyło się jak zawsze, pomiędzy wodą, lasem i polami, na których oprócz ziemniaków, żyta i kamieni wyrastał rdzawy, dziki szczaw. Czasami tylko drogą na Wdzydze przemknął samochód i warkot silnika, podobnie jak smużka zapachu benzyny, wydawały się w tamtym świecie czymś niesłychanie egzotycznym.

U Irlandczyka

Tamtego popołudnia jak co tydzień spotkaliśmy się w pubie u Irlandczyka na rogu dwóch głównych ulic Wrzeszcza: doktor psychiatrii, dwaj filozofowie, nauczyciel, artysta malarz, no i ja – sekretarz nieistniejącego bractwa; tamtego popołudnia jak co tydzień pragnęliśmy uwolnić się od ciężaru bytu, od szarej, nudnej i powtarzalnej egzystencji spraw doczesnych, lecz tamto popołudnie nie było takim sobie, zwykłym, lutowym popołudniem z breją rozdeptanego śniegu za oknami, lekką dekonstrukcją na warszawskiej giełdzie oraz trzydziestym piątym lub – równie dobrze – pięćdziesiątym trzecim czytaniem ustawy lustracyjnej przez naszych mądrych polityków, nie, tamto popołudnie z widokiem na ulicę Grunwaldzką, która kiedyś zwała się Adolf-Hitler-Strasse, wcześniej zaś aleją Hindenburga, nieco później Rokossowskiego, na początku aleją Główną, więc tamto popołudnie, spędzane jak co tydzień w pubie, nagle przemieniło się w stypę, żalobną mszę, zaduszki, kadysz, panichidę, kaszubską „pustą noc” – słowem w modlitwę za zmarłego, a mówiąc ściślej, za jego duszę, która opuściła ciało, albowiem tamtego popołudnia wszystkie rozgłośnie i stacje telewizyjne przynajmniej w środkowej części Europy, podały tę wiadomość, historię najkrótszego lotu: Bohumil Hrabal, przebywający na leczeniu w praskim szpitalu na Bulovce, karmiąc gołębie, wypadł z okna piątego piętra i poniósł śmierć na miejscu; więc pani Agnieszka częściej niż zwykle musiała nam donosić kufle, a my zaczęliśmy te nasze wypominki i wywołyaliśmy z pamięci pana zawiadowcę stacji, słynny motocykl BMW Francina, koty w Kersku, wuja Pepina, obfajdaną Maniusię, piękną Marie i jeszcze piękniejszą Cyganke, skład makulatury, bar „Świat”, kelnera, co obsługiwał angielskiego króla, browar w Nymburku, sowieckie tanki na Vaclavskim Na-

mesti, zawód pisarza w likwidacji, i stanęły przed nami wszystkie wesela na Libni i wszystkie listy do Kwiecieńki i znów nas cieszyły, jakbyśmy byli „Pod Złatym Tigrem” albo „U Wojwodów”, albo „U Spivaczku”, albo w jakiejś zwykłej gospodzie na Žižkowie, a nie w pochmurnym, prowincjonalnym mieście na północy, które obchodziło właśnie swoje tysiąclecie, atmosferą przypominające raczej hospicjum niżli święta – jak on to pisał, jak on to potrafił! – przekrzykiwaliśmy się nadaremnie; ktoś wspomniał o zwierciadle ustawionym na gościńcu, ktoś inny o kolażu, kalejdoskopie, mozaice, surrealizmie praskim, przed którym André Breton na wieki musi uchylać kapelusza, zaraz też – na odwrocie karty dań – napisaliśmy list do Szwedzkiej Akademii, że mianowicie kochamy wiersze Jaroslava Seiferta bardziej niż sami prażanie, ale nie rozumiemy doprawdy, dlaczego Nagrodę Nobla przyznano właśnie Seifertowi, a nie Bohumilowi Hrabalowi, ponieważ naszym zdaniem poetów miary Seiferta jest w świecie i w samych Czechach co najmniej jeszcze kilku, natomiast prozaików takich jak Bohumil Hrabal, poza samym Bohumilem Hrabalem – nie ma ani na lekarstwo; tak zatem napisaliśmy naszą protestację, pani Agnieszka dostarczyła nam kopertę, a nawet znaczki i niebieską lotkę z napisem „Par Avion”, i kiedy już zamknięto pub, kiedy schodziliśmy Grunwaldzką w dół, wrzuciliśmy nasze pismo do skrzynki pocztowej, ale odpowiedź do dzisiaj nie nadeszła i czasem, wspominając tamtą stypę, zastanawiamy się, czy lepiej byłoby pisać na Berdyczów.

Niestety, w tamto popołudnie nie mieliśmy przy sobie przepięknej książki – *Pamiętam jedynie dni słoneczne – Bohumil Hrabal w fotografii*, ponieważ nie została jeszcze wówczas wydana, lecz gdyby towarzyszyła nam przy stypie, zapewne oglądalibyśmy ją od końca: najpierw zdjęcie Hrabala na łóżku szpitala na Bulovce, potem fotografię pisarza przy rodzinnym grobie w oko-

licach Kerska, następnie pocztówki z Mitterandem, Clintonem, Havlem oraz Menzlem, dalej portret wykonany w osiemdziesiąte urodziny przy ulicy Na Grobli 24, potem z kotami w Kersku, potem w barze „Świat” w siedemdziesiątym szóstym roku, potem z żoną u schyłku lat sześćdziesiątych, następnie z Vladimirem Boudnikiem, dalej z wujaszkiem Pepinem i ojcem, następnie w składnicy makulatury, a także z Cygankami z Libni – lata pięćdziesiąte, wreszcie przy odebraniu dyplomu doktora praw w Pradze – rok czterdziesty szósty, aż na koniec – zatrzymawszy się nieco dłużej przy fotografii pisarza z epoki pracy na kolei (wygląda tu niczym hollywoodzki amant) – dotarlibyśmy do źródeł, czyli dzieciństwa w Nymburku i w Židenicach, podziwiając trzyletniego Bohumilka pod klamką dwuskrzydłowych drzwi lub nieco starszego, z Francinem, na tylnym siodełku motocykla BMW.

To wszystko stanowiło ingrediencje, z których obficie czerpał w swojej twórczości, jedynej w swoim rodzaju, łączącej – jak pisze w posłowie do albumu Aleksander Kaczorowski – Kafkę z Haškem. A jednak to nie tych pisarzy wymienił Hrabal w ankiecie o mistrzach XX wieku: „Dla każdego, kto pisze i kocha poezję i prozę – wyznał kiedyś – Guillaume Apollinaire i Bruno Schulz to święci poeci, patroni strzegący nienaruszalności i tajemnicy nowoczesnej sztuki, nowoczesnej literatury przede wszystkim...” Chrystus-lotnik, oblatujący samolotem wieżę Eiffla w wierszu Apollinaire’a *Strefa*, i Księga, będąca w Schulzowskim świecie nie gorsetem, ale postulatem i wyzwaniem – to znaki, które być może pociągały Hrabala mocno. Jego lot z okna szpitala na Bulovce, pod znakiem *Alkoholi i Sklepów cynamonowych* zamyka epokę, która zaczynała się w okopach Verdun, a kończy upadkiem muru berlińskiego. „Myślę, że był największym czeskim pisarzem” – wyznaje Škvorecký we wstępie do

albumu. Trudno się z tym nie zgodzić, nawet podczas stypy w irlandzkim pubie.

POR. HRABAL

Ulica Wielka Morska, rok 1998

Kwiecień tego roku nie był łaskawy dla Petersburga. Po paru słonecznych odsłonach niebo nad Newą zaciągnęło się niskimi chmurami i przez kilka dni w podmuchach lodowatego wiatru padał śnieg. Pamięć rozmaitych lektur podsuwa w takim pejzażu widok zaprzężonych sań, pędzących przez rozległe place w tumanach zamieci, ale rzeczywistość natychmiast nakłada na ten obraz element realny, którym są opóźnione i nabite autobusy oraz skuleni na przystankach ludzie. Decyzja, aby w taką pogodę pokonać pieszo dystans czterech przystanków wzdłuż Newskiego Prospektu – od stacji metra do rogu ulicy Wielkiej Morskiej – taka decyzja stawia człowieka w sytuacji bohaterów powieści Dostojewskiego. Tych niezamożnych rzecz jasna, którzy nie mając na dorożkę (o ekwipażu nawet nie wspomnimy), przemierzają ogromne przestrzenie tego miasta, skrajnie wyczerpani nie tylko pogodą, ale również widokiem mijających ich, często obryzgujących błotem karet i powozów, które dziś zastąpione zostały wielkimi BMW i mercedesami tak zwanych „nowych” Rosjan.

Marsz taki, w kierunku Wielkiej Morskiej, nie jest jednak pełną udreki wędrówką śladami Dostojewskiego. Ulica Bolszaja Morskaja należy do innego czasu i innego pisarza – do Władimira Nabokowa, autora słynnej *Lolity* i wielu innych powieści, z których co najmniej kilka opatrzyć można dumnym mianem arcydzieła. Przemierzając Newski Prospekt, dostrzeżemy wyraźne

znamiona ostatnich lat. Są nimi witryny luksusowych magazynów, banków, hoteli, restauracji i biur lotniczych. Po siedemdziesięciu latach dyktatury szarzyzny stanowią rodzaj ekscytującej uwertury do dzieła o nieznannej jeszcze treści i całkowicie nieprzewidywalnym finale. Próżno wszelako wśród starych i odnowionych fasad Newskiego Prospektu poszukiwać tropu Nabokowa. Biuro podróży, na którego wystawie znajdował się okazały model wagonu Nord Express, owo biuro podróży i mityczny model slipingu, opisane na początku słynnego opowiadania *Pierwsza miłość*, są już wyłącznie fantomami czasu przeszłego, symbolem dzieciństwa pisarza i tamtej, „jeszcze znośnej Rosji”, rozbłyskującej ostatnimi promieniami przed katastrofą.

„Nasz licowany różowym granitem dom znajdował się przy Wielkiej Morskiej, pod numerem 47 – wspomina Nabokow w *Tamtych brzegach* – następny był dom Ogińskiego, potem ambasada włoska, niemiecka i rozległy plac Maryjski z nigdy nie dość podziwianym soborem Świętego Izaaka”. Pokonując tę przestrzeń w kierunku dokładnie odwrotnym, a więc od strony Newskiego Prospektu, ze zdumieniem stwierdzimy, że wspomniany dom nadal znajduje się pod numerem 47, a na jego zniszczonym frontonie widnieje skromna tablica „Muzeum Władimira Nabokowa”. O czym można rozmyślać, wkroczywszy ze śnieżnej zawieruchy na szerokie, niemal pałacowe schody domu Nabokowów, kiedy siedząca za strażniczym biurkiem Gorgona, cała ukryta w socjalistycznej koafurze blond czupryny, warczy na nas głosem czekisty, że „nie lzia” i że już zamknięte? Na nic się zdają stworzone *ad hoc* argumenty – na przykład, że jutro mamy samolot albo że na zlecenie „Timesa” piszemy reportażyk o tym miejscu. Na szczęście drzwi (byłej) jadalni państwa Nabokowów uchylają się i skromny, cichy człowiek, który w niczym nie przypomina wspomnianych przez pisarza

dumnych lokajów i służących, ofiarowuje pomoc: jest tutaj pracownikiem technicznym, ma wszystkie klucze i chętnie oprowadzi. Pozostawiwszy więc Gorgonę samej sobie, podziwiamy puste, przestronne pokoje, w których ocalały boazerie, kominek, stiuki i plafony. Słowo „ocalały” jest tutaj określeniem nie przenośnym, lecz dosłownym. Tylko dzięki temu, że w domu państwa Nabokowów po rewolucji zainstalowała się duńska firma handlowa, znany scenariusz „komunałki” nie doszedł tu do skutku.

Największe wrażenie robi buduar matki pisarza, na pierwszym piętrze, z wykuszem opisanym tak dokładnie w *Tamtych brzegach*. Można stąd – tak samo jak przed osiemdziesięciu laty – obserwować perspektywę ulicy Wielkiej Morskiej aż do placu Maryjskiego, można przypomnieć sobie proustowskie pasaże, w których Nabokow wspomina poranne wizyty w tym właśnie pokoju, swoją matkę, jej delikatność, humor i urodę, można też wyobrazić sobie młodego Władimira, jak z oszklonego wykuszu po raz pierwszy w swoim życiu obserwuje śmierć człowieka („ludzie go nieśli, zwiślała mu noga, ktoś żywy usiłował ściągnąć z niej but i tego kogoś gniewnie odpędzono...”), można zadumać się nad losem książek z biblioteki ojca pisarza, które w większości lud zużył na skręty. Pewne nieliczne egzemplarze odnajdywane były potem przez syna w Berlinie i Nowym Jorku, można też wreszcie przypomnieć sobie, że istotą sztuki, także tej literackiej, jest wedle Nabokowa „złożoność i bezużyteczność”, zupełnie jak przy rozwiązywaniu szachowych zadań lub podziwianiu kolekcji rzadkich motyli.

Kilka plansz z fotografiami pisarza i rodziny kończy zwiedzanie pustego, dopiero tworzonego muzeum. Mój przewodnik – zanim przeprowadził mnie bezpiecznie przez placówkę Gorgony – wręczył mi piękny prezent: reprint debiutu Nabo-

kowa, czyli tomu wierszy wydanego w 1916 roku. Wszystkie one, napisane w ciągu dwóch lat dla Walentyny Szulginy, wielkiej, młodzieńczej miłości Nabokowa, stanowią w jego dziele ewenement. Nigdy już później nie publikował (i jak twierdził – nie pisał) wierszy, a napisane epokę później opowiadanie *Pierwsza miłość* poświęcił nie Szulginie, lecz ośmioletniej Colette, Francuzce spotkanej na plaży w Biarritz, dokąd z Petersburga uwiózł rodzinę Nabokowów piękny jak sen wagon sypialny Nord Expressu. Myślałem o tym, patrząc na skutą lodem Newę. Śnieg przestał padać, a w siwiejącym zmierzchu na ogromnej, nieprzyjaźnie śliskiej powierzchni zapalały się dziesiątki małych ognisk. Wędkarze, pochyleni nad tunelami swych przereębli, grzali się przed długą, kwietniową nocą.

POR. DEDALUS, DUBLIN, TULLA; KUŹNIECZNY ZAULEK; HRABAL; W 1937 ROKU W MARIENBADZIE

W 1937 roku w Marienbadzie

„Miarą mistrzostwa jest krótka forma”. To zdanie, wypowiedziane przez Flauberta, zdaje się nabierać pełnej treści zwłaszcza przy lekturze dzieł Władimira Nabokowa. Głośna, wielostro nicowa *Lolita*, z misternie podsycaną aurą erotyzmu i zabawnymi pomysłami fabularnymi, nuży liczbą słów, zdań i sytuacji. Miłosna awantura podstarzałego narratora i nastoletniej nimfetki, jakkolwiek zajmująca, zyskałaby na artystycznej randze, gdyby autor potraktował swoją powieść bardziej emocjonalnie. Podzielam przytoczoną tu opinię Dołżenina. Do finału *Lolity*, podobnie jak ów rosyjsko-amerykański krytyk, dobrnąłem nie bez uczucia znużenia. Nigdy natomiast nie doznałem podobnych rozczarowań, czytając opowiadania Nabokowa. Jego pisarskie umiejętności osiągnęły w tej właśnie formie niedoścignio-

ne wyżyny artystycznego kunsztu. Ich symbolem może być *Pierwsza miłość* – kilkustronicowa opowieść o dziecięcej inicjacji, łącząca szum atlantyckich plaż i stukot kół międzynarodowego slingu z nieuchwytną, pełną poezji i nostalgii atmosferą *la belle époque*. W opowiadaniach Nabokow łączy to, co wydaje się absolutnie nie do pogodzenia: rosyjski liryzm z anglosaską rzeczowością opisu i kartezyjską dyscypliną myśli. Prawie każde z nich sprawia wrażenie całości doskonale skończonej, w której trudno znaleźć jakikolwiek element zbędny, niekonieczny. Jest w nich epicki pazur, głęboka znajomość dramaturgii życia, a także kulturowa i geograficzna różnorodność, której doświadczył sam autor. Od przedrewolucyjnego Petersburga, przez Berlin i Paryż międzywojnia, do zwariowanej, szalonej i cudownej Ameryki lat sześćdziesiątych.

Droga Nabokowa do polskiego czytelnika nie była prosta. W PRL-u, kraju wasalnym wobec ZSRR, ten rosyjski emigrant o – jak na złość – arystokratycznym pochodzeniu nie był dobrze widziany. Dwie powieści i jeden zbiór opowiadań to wszystko, co przedarło się przez urząd warszawskiego obercenzora na Mysiej. Obecnie wydawcy nadrabiają te braki i – podobnie jak w wypadku Singera – mamy dziś do czynienia z festiwalem Nabokowa. Co parę miesięcy pojawia się w księgarniach jego kolejna książka, którą napisał piętnaście, dwadzieścia albo trzydzieści lat temu. Dla wytrawnych zwolenników prozy, a prozy Nabokowa w szczególności, to przesunięcie w czasie nie ma jednak większego znaczenia. Ledwie zdążyli ochłonąć po lekturze *Prawdziwego życia Sebastiana Knighta*, już spoglądali w *Arlekiny*, by nie dokończywszy ich, pogrążyć się w *Rozpaczy*, przy równoczesnym studiowaniu *Śmiechu w ciemności*. Trzy ostatnie tytuły przeczytałem w jeden weekend i chociaż każda z tych powieści niewątpliwie zasługuje na miano wybitnej, znów za-

pragnąłem – jak po lekturze *Lolity* – obcować z Nabokowem na nieco krótszych dystansach. Traf chciał, że dzięki uprzejmości zaprzyjaźnionego wydawcy, otrzymałem nowe tłumaczenie opowiadania *Jezioro, obłok, zamek*. Jego bohaterem jest niejaki Wasyl Iwanowicz, „skromny kawaler o łagodnym usposobieniu, doskonały pracownik”. Otóż Wasyl Iwanowicz na dorocznym balu rosyjskich emigrantów wygrywa swój szczęśliwy, loteryjny los: wycieczkę krajoznawczą. Ponieważ rzecz dzieje się w Berlinie około roku 1936, nie ma mowy o odmowie czy rezygnacji. Wasyl Iwanowicz musi pojechać. W ten sposób jego życie osiąga zupełnie nowy wymiar. Dotąd samotny i niezauważany, staje się obiektem szyderstw, kpin, a wreszcie agresji ze strony swoich współtowarzyszy podróży. Nie mogą mu wybaczyć, że lubi inne potrawy niż oni. Że nie chce się zachwycać, kiedy oni się zachwycają. Że nie lubi kart, chlania piwiska, gry w dupniaka, podkołdernih dowcipów i zbiorowych pieśni, które należy śpiewać, gdy wszyscy je śpiewają. Wreszcie, pod koniec koszmarnej wycieczki, „rzucili się i zaczęli go bić: pastwili się długo, okazując sporo inwencji. Wpadli między innymi na pomysł, by wypróbować korkociąg na jego dłoniach [...]. Mieli wszyscy pyszną zabawę”. Oni – kulturalni urzędnicy, rzemieślnik, panie z biura, agent firmy turystycznej. Rodacy Schillera i Goethego. Metafora zbiorowych uniesień uczestników turystyki masowej robi niezwykle wrażenie, także dzisiaj. Braterstwo w pieśni, w piwie, w niechęci do odmieńców – takich choćby jak Wasyl Iwanowicz – przeradza się w braterstwo przemocy i gwałtu. Ale nie jest to opowiadanie wyłącznie o Niemcach i faszyzmie. Mechanizm przedstawiony przez Nabokowa działa w każdym społeczeństwie – ogłupionym propagandą, reklamą i przesadami, których nie wybiela żadne, nawet najdoskonalsze prozki do prania. Zanim Tomasz Mann rozli-

czył się z niemieckim uniesieniem w *Doktorze Faustusie*, zanim Hannah Arendt ogłosiła swe tezy o banalności zła i zanim Günter Grass wydał *Blaszany bębenek*, Władimir Nabokow, nieznany wówczas prawie nikomu emigrant, powiedział na sześciu stronach swojego opowiadania wystarczająco dużo o Niemczech, Europie i XX wieku, by czytać go dzisiaj. *Jezioro, obłok, zamek* napisał w roku 1937, w Marienbadzie.

POR. LEWKO, SYN JORDANA; ME(u)RSAULT; ULICA WIELKA MORSKA, ROK 1998

Wiśła, Leniwka, Nogat

To, co zachwyca na starych mapach, to nie tylko zapis geograficznej wiedzy minionych epok, ale estetyka: owe pracowicie cyzelowane przez rytowników legendy, róże wiatrów, podziałki wyrażone w egzotycznych dziś miarach, a przede wszystkim kartusze zdobione fantazyjnymi elementami, które topograficznej ścisłości przydawały skrzydeł poezji. Kartusze te spełniały rolę tytułową, informacyjną i alegoryczną: jednym spojrzeniem czytelnik miał się zorientować, jaki charakter ma studiowana właśnie kraina. Piękna mapa Francji z 1631 roku opatrzona została imponującym kartuszem w kształcie głowicy antycznej kolumny, na której dopiero pod napisem GALIA widnieje inskrypcja – *Le Royaume de France*. To odwołanie do antyku jest konsekwentne – tarczę z trzema liliami Bourbonów, ustawioną na szczycie kolumny, podtrzymują dwie postacie: Apollo z lirą oraz Atena w bojowym szyszaku, odziana w egidę i z nieodłączną włócznią w dłoni. Oglądający mapę nie może mieć wątpliwości, że kraj rządzony przez Ludwika XIV jest spadkobiercą tradycji starożytnych, królestwem silnym i potężnym, w którym męstwo, rozum i sztuki piękne sta-

nowią cnoty kardynalne. Szampania, Gaskonia czy Prowansja do dzisiaj trwają w tych samych co wówczas granicach, zmieniły się natomiast nazwy wód. Ocean Atlantycki z Zatoką Gaskońską w wieku XVII określony został jako Oceanus Aquitanicus; Kanał Angielski nazywano wówczas Oceanus Britannicus, a kanał La Manche występował pod nazwą Le Calais. Zupełnie inny charakter ma kartusz mapy Nowej Francji z roku 1632, obejmującej swym zasięgiem wschodnią Kanadę i Labrador, czyli obecną prowincję Quebec. Na szczycie owalu zwieńczonego bukszprytem i kotwicą zasiada amor. Po jego obu stronach widzimy długowłosych, wąsatych i brodatych mężczyzn, dzierżących rybacki sznur, na który nawleczono mnóstwo ryb. „*Extrema Americae versus Boream ubi Terra Nova Francia*” – jak głosi napis – jest więc krainą żeglarzy i rybaków oraz nieprzebranej obfitości ryb, co różniło ją zasadniczo od wizerunku starej Francji.

Przeglądając słynny *Atlas Maior* Jeana Blaeu – podobno najdroższą książkę w całym XVII stuleciu – natknąłem się również na mapę gdańsko-pomorskiej prowincji, nazwanej dość nieprecyzyjnie Prussia. Nieprecyzyjnie, bo przecież Prusy dzieliły się w owym czasie na Królewskie i Książęce, czego autor mapy – Gaspar Henneberg – nie zaznaczył. Moje rodzinne miasto zostało tu opisane jako Dantzk (czytaj zapewne „Dańsk”), więc jego nazwa nie brzmi tak twardo jak niemieckie Danzig. Bez wysiłku rozpoznałem znajome miejsca i klasztory: Zernowitz, Carthaus, Oliva, Pelplin, trudziłem natomiast język i oko przy takich miejscowościach, jak Boszepeł, Mirchaw czy Bouta – ten ostatni to oczywiście Bytów. Kartusz u szczytu mapy jest czytelny: herb Prus dzierżą trzy nimfy, których atrybutami są kłosa zboża, róg obfitości oraz gałęzie liściastych drzew, być może owocowych. Niżej, u ich stóp, spoczywa starzec trochę podob-

ny do Sylwana, a trochę do Neptuna. W jednej dłoni dzierży wiosło, w drugiej przechylony dzban, z którego pełnym strumieniem wypływa struga wody. Prussia to zatem kraina płodnych pól i wszelkiej obfitości, gdzie bukoliczna poezja w stylu Wergiliusza nie zrodziła się wyłącznie z powodu klimatu. Okręty pod pełnymi żaglami, tak finezyjnie narysowane na pustej przestrzeni Mare Balticum, wiozą do północnej krainy zapewne to, czego tu najbardziej brakuje: wino, oliwę, korzenie i fantazję. Moja prowincja oglądana na mapie Gaspara Henneberga, którą w swoim atlasie przedrukował Jean Blaeu, została zupełnie arbitralnie pozbawiona Kaszub. Ziemia ta, a więc Cassubiae Pars rozciąga się dopiero na zachód od koryta Piaśnicy i Jeziora Żarnowieckiego, za to Mierzeja i Zalew Wiślany nie odbiegają zasadniczo od współczesnych kształtów, podobnie jak Cieśnina Pilawska (Pilaw), o którą dzisiaj toczą się żeglugo-prawne boje z Rosjanami.

Znacznie ciekawsze jest jednak prześledzenie rozgałęzień Wisły. Długi i wąski Nogat, podobnie jak krótka, lecz szersza Szkarpawa, wpada do Zalewu Wiślanego mniej więcej tak jak dzisiaj. Trzecia, główna wówczas odnoga rzeki, zwana Leniwką, na parę kilometrów przed morskim brzegiem skręcała na zachód, opływała Gdańsk i wpadała do morza w okolicy miejsca, które obecnie znane jest jako Westerplatte. Z trzech odnóg rzeki kartograf opisał tylko jedną – Nogat. Leniwka oraz Szkarpawa pozostały anonimowe. Przypomina to inną, znacznie wcześniejszą mapę, wydaną przez Henryka Zella w Norymberdze w 1542 roku, na której Wisła rozgałęzia się tak samo trojście, lecz ani jedna z odnóg nie posiada nazwy własnej.

Rzut oka na mapę Zella albo Henneberga wystarczy, aby zrozumieć to, co wydarzyło się zimą 1840 roku. Rzeka spiętrzona lodowym zatorym sama skróciła sobie drogę do morza, przebi-

jając piaszczyste wydmy obok Górek Wschodnich. Leniwka z czasem stała się Martwą Wisłą, a nowa – teraz główna i czwarta już odnoga – zyskała miano Śmiałej. Okazało się jednak, że system wodny Żuław i Gdańska, naruszony po tej rewolucji, nie sprzyja żegludze i polderom. Od 1890 roku przystąpiono więc do realizacji śmiałego przedsięwzięcia: przekopu nowego koryta rzeki na linii Świbno – Mikoszewo. Ten kilkukilometryowy odcinek, wpuszczający główny nurt rzeki „prosto do morza”, otworzono uroczyście w marcu 1895 roku. Wówczas powstała Wyspa Sobieszewska i piąta – jak do tej pory ostatnia – odnoga Wisły, zwana Przekopem. Rzecz jasna, zmian biegu naszej domowej rzeki nie wyśledzimy w atlasie Jeana Blaeu. Jego słynna na całą Europę oficyna spłonęła w Amsterdamie w 1627 roku. Właściciel i wydawca zmarł rok później, a jego piękny *Atlas Maior* nigdy już nie był aktualizowany ani wznawiany przez spadkobierców. Stare mapy obrazujące historię zmian biegu Wisły znajdują się jednak znacznie bliżej – w Bibliotece Gdańskiej PAN, a kilka z nich przedrukowano w *Katalogu*, wydanym z inicjatywy Stowarzyszenia Wyspy Sobieszewskiej. Szkoda tylko, że w tak nikłym nakładzie i tak małym formacie: nawet porządna lupa wydaje się bezradna przy próbie odczytania szczegółów i kartuszy.

FOR. ŻUŁAWA, POMEZANIA, PRUSY

Żuława, Pomezania, Prusy

Opactwo Cystersów w Oliwie, fundacji kaszubskiego księcia Sambora, przez pierwsze dziesięciolecia swojego istnienia nie mogło się cieszyć harmonijnym rozwojem. W roku 1226 Prusowie przekroczyli linię Wisły i najechali Księstwo Pomorskie. Klasztor

i kościoł zostały spalone, dobytek zrabowany, a konwent zakonników i opat Etheler, zamordowani na oczach mieszkańców Gdańska, którego umocnień pogańskie drużyny nie były w stanie sforsować. Ta okrutna egzekucja przed wałami grodu miała w sobie coś z politycznej deklaracji. Prusowie demonstrowali chrześcijanom, że nie mają ochoty przyjąć nowej religii i że będą bronili swojego stanu posiadania na wschód od Wisły. Misja świętego Wojciecha, podjęta dwa stulecia wcześniej, pozostawała nadal sprawą otwartą, a sąsiedztwo Prusów dawało się we znaki w równym stopniu gdańskiemu Pomorzu co Mazowszu. Dokładnie dziesięć lat po męczeńskiej śmierci opata Ethelera pomezzańskie plemię Prusów raz jeszcze najechało Oliwę. Podobnie jak w roku 1226 poganie pozostawili po sobie zgliszcza i trupy zakonników, podobnie też nie byli w stanie zdobyć Gdańska, w którym twardą ręką rządził książę Świętopelk, zwany przez potomnych Wielkim. Niektórzy historycy podkreślają, że to drugie zniszczenie Oliwy – w roku 1236 – było odwetem pruskiego plemienia Pomezanów za misyjne zapędy i wojenne wyprawy gdańskiego księcia na ich ziemię. Dwieście lat później Pomorzem Gdańskim rządili już od dłuższego czasu Krzyżacy, dynastia miejscowych książąt dawno wymarła, a po Pomezanach, których ziemie rozciągały się niegdyś między rzeką Osą, Wisłą i Zalewem Wiślanym – oprócz kurhanów i kilku nazw miejscowości – nie pozostał żaden ślad. Dalej na wschód i północ ostali się jeszcze Warmowie, Galindowie, Natanowie i Sambowie, ale ich los był już przesądzony. Cywilizacja chrześcijańska potraktowała ich z taką samą bezwzględnością, z jaką kilka stuleci później dokona zagłady Indian w obu Amerykach. Postęp etyczny polegał chyba jedynie na tym, że Indianie – nieliczni i zdegradowani – przetrwali w rezerwach, Prusowie natomiast nie dostąpili tego dobrodziejstwa, znikając ze sceny dziejów bezpowrotnie.

O wojowniczym plemieniu Pomezanów rozmyślam zazwyczaj wówczas, gdy powracając z Warszawy do Gdańska samochodem, widzę po lewej stronie szosy malownicze brzegi jeziora Drużno. Widok jest piękny, zwłaszcza wiosną, kiedy skłonem równiny schodzą ku wodzie kwitnące sady. Prawdopodobnie w tej właśnie okolicy, osiem wieków temu, wyrastał najświętszy gaj dębowy Pomezanów, prawdopodobnie niedaleko stąd znajdowało się legendarne miasto Truso, o którego lokalizację po dziś dzień spierają się archeolodzy. Faktem bezspornym jest natomiast gruntowna zmiana pejzażu: minąwszy jezioro Drużno ostatecznie rozstajemy się z krainą łagodnych pagórków i do samego Gdańska czeka nas już tylko równa jak stół, depresyjna nizina Żuław.

Kraina ta nie miała szczęścia do wybitnych malarzy czy poetów, jej pozorna monotonia nie przyciąga turystów przemyskających tędy nad morze, a jej historia – warstwowa niczym palimpsest – znana jest raczej wąskiemu gronu specjalistów i lokalnych entuzjastów. Tymczasem wystarczy zboczyć nieco z głównej trasy, by za smutną, popegeerowską fasadą, pośród kanałów, grobli i starorzecz, znaleźć okruchy cywilizacji, którą tworzyli tu, począwszy od XVI stulecia, „olendrzy” i „nowochrześcijcy” – czyli mennonici. Przybyli na bagienne nieużytki delty Wisły za czasów Zygmunta Augusta, sprowadzeni przez królewskich dzierżawców – Loizów. Dokumenty tej pierwszej lokacji zaginęły, dopiero w przywileju Władysława IV, wydanym 22 grudnia 1642 roku, czytamy o „potomkach mieszkańców Wielkiej i Małej Żuławy”, którym „nic z wolności i zwyczajów dotychczas im przysługujących odjęte być nie może...” Tolerancja wobec „sekciarzy” czy „manitów” (jak nazywali ich mieszkańcy miast), wyrażona królewskim przywilejem, miała konkretne przyczyny: zysk z jednego łanu oddanego przyby-

szom potrafił wzrosnąć w ciągu lat kilkunastu o kilkadziesiąt razy. Nie tylko hydrotechniczno-inżynierskie umiejętności zapewniały im takie powodzenie, lecz przede wszystkim religijna dyscyplina wspólnoty. Mennonici byli w tamtych czasach ludem Księgi. Treść Starego i Nowego Testamentu interpretowali w wielu punktach najdosłowniej. Dlatego nie składali przysięg, odmawiali służby wojskowej, zachowywali surową czystość obyczajów. Fakt, że ich gminy nie stanowiły nawet luźnej federacji, sprzyjał wtapianiu się – jedna po drugiej – w żywioł niemiecki. Zanim jednak do tego doszło, trzymani byli, podobnie jak Żydzi, z dala od bram miast Prus Królewskich, gdzie nie wolno im było kupować nieruchomości ani się osiedlać. Musieli natomiast płacić coraz to nowe podatki i często stawali się celem gwałtownych ataków kaznodziejskich – zarówno z luterańskiej, jak katolickiej ambony. Mimo to przetrwali na Żuławach przez stulecia i chociaż znacznie różnili się od swoich szesnastowiecznych przodków, do czasu ostatniej wojny tworzyli niezwykle koloryt delty Wisły.

Czas komunizmu i pegeeryzacji dokonał największego spustoszenia. W ciągu pięćdziesięciu lat z pejzażu tej ziemi zniknęły niemal doszczętnie wiatraki, spichlerze, zbory, zwodzone mosty, tkalnie i inne warsztaty rzemieślnicze. Stalle na zapuszczonych cmentarzach, nieliczne domy o charakterystycznej architekturze oraz kanały – to pozostało. Myślę o tym, przeglądając piękny album Marka Opitza *Żuławy – czas przełomu*, który wiele – choć nie wszystko – zawdzięcza mennonickim inspiracjom. Niezwykła uroda tych fotografii uwodzi wzrok i porusza wyobraźnię, ale też napełnia serce melancholią. Być może za następnych pięćdziesiąt lat po „manitach” i „olen-drach” nie pozostanie na Żuławach więcej śladów niż po pogańskich Pomezanach. Być może nasze prawniki, buszując

w sieci Internetu, nigdy nie dowiedzą się o istnieniu książek Kizika, Szafrana czy Klima, w których ci pasjonaci Żuław starali się – jak Marek Opitz – ocalić od zapomnienia były skrawek niebyłej Rzeczypospolitej Wielu Narodów.

FOR. COLONNA, ROK 1992; CYSTERSI

Inne sprawy

Mapa

Była marzeniem mojego dzieciństwa. Nie ta ogromna, kolorowa, z oceanami i łańcuchami gór. Tę miałem w szkole i w atlasie. Marzyłem o mapie mojej najbliższej okolicy, która oliwskie wzgórza, leśne doliny i wąskie ścieżki między duktami ujmie na rozkładanej płachcie w magicznej sieci znaków i poziomicy. Czas, w jakim wzrastałem, nie sprzyjał jednak mapom. Były ogólne – jak niekonkretna hipoteza – i fałszowane przez odpowiedni departament, na wypadek gdyby wróg wszedł w ich posiadanie.

Nie mając mapy mojej najbliższej okolicy, z tym większym zainteresowaniem studiowałem mapy dziadka. Te duże, podklejone płótnem płachty, pachnące wojną, polowaniem i przygodą, rozkładane wieczorem przy świetle lampy, wiodły w zupełnie inny świat. Winniki pod Lwowem czy okolice Drohobycza w podziałce 1:75000 zdumiewały swą dokładnością i egzotyką nazw. Karpaty Wschodnie, ich łańcuchy gór, doliny i przysiółki dane mi były za pośrednictwem austriackich i polskich kartografów, przy których kunszcie PRL-owskie „mapy turystyczne” zdawały się nieodmiennie tandetne i nikczemne. Podróż ze Stryja do Sambora mogłem odbywać wiele razy i zawsze wzruszały mnie te same szczegóły: drewniany most na Dniestrze, karczma za

Horodyszczami czy samotne gospodarstwo, którego właściciele nigdy przecież nie miałem poznać. Zdumiewające było także co innego: mapy mojego dziadka, które służyły ck artylerzystom i sztabowcom do prowadzenia wojny, kupowało się w księgarniach dla cywilów, o czym świadczyły pieczętki na drugiej stronie płótna, w rodzaju „Gubrynowicz i Han, Księgarnia wraz ze składem”... Paradoksalność mojej ówczesnej sytuacji zawdzięczałem historii i epoce: nie będąc nigdy w Karpatach Wschodnich, znałem je dosyć dobrze, natomiast często chodząc leśnymi duktami pomiędzy Doliną Sambora a Szwedzką Groblą, nawet nie mogłem marzyć o posiadaniu mapy mojej najbliższej okolicy, na której labirynt leśnych dróg i ścieżek między Wrzeszczem i Oliwą nareszcie zostałyby ujęty z kartograficzną rzetelnością.

Co roku, kiedy ze wzgórz spłynęły już wody roztopów, wyruszałem na szczególną wędrowkę, zaopatrzony w blok rysunkowy, ołówek, cyrkiel i linijkę. Zazwyczaj zaczynałem od drogi pod kościołem Zmartwychwstańców: przechodziła pod mostkiem umarłej linii kolejowej i pnąc się ostro w górę, dochodziła do leśnej polany, której kilka polodowcowych głazów dało miejscową nazwę „kamieniołomów”, choć nigdy nie kopano tu kruszywa. Na największym głazie czyjaś ręka wykuła nostalgiczny napis – „tu pochowana miłość Borkowskiego”... Stąd drogi rozchodziły się do Brzozowej Alei, Węgliska i Osiedla Młodych, a szkicowany plan nabierał gęstości. Nigdy jednak nie udawało się go należycie wyskalować i stąd brały się właśnie paradoksy: odcinek od kościoła do polany zajmował prawie całą kartkę, podczas gdy na Brzozową Aleję starczało już ledwie kilku centymetrów. Ale prawdziwe kłopoty zaczynały się dalej, w gęstwinie leśnych ścieżek wokół Samborowej Doliny: różnice wysokości były tak znaczne, a drogi tak kręte, że

przeniesienie ich na papier kończyło się zawsze klęską oraz poczuciem niemożności. Szkice i blok wędrowały więc do szuflady, czekając tam następnej wiosny, ale pagnienie pozostawało: ujrzeć wszystkie te leśne zakamarki w liniach poziomic, z legendą i opisem.

Po latach, kiedy w najbliższą okolicę mojego dzieciństwa wracałem już tylko pamięcią podczas pisania opowiadań, idea mapy zmaterializowała się nieoczekiwanie. W jednym z antykwariatów ujrzałem reprint niemieckiego planu *Waldkarte von Oliva und Zoppot*, natychmiast go kupiłem, ruszając następnie na wędrowkę. Mapę wydano w roku 1936 i od tamtego czasu wiele się zmieniło, zwłaszcza w najbliższym otoczeniu lasów. A jednak ze wzruszeniem odnotowałem, że *Prasidentenweg* – tak samo jak dzisiaj – pnie się w górę od nieistniejącego jeszcze wówczas kościoła Zmartwychwstańców, mija polanę z narzutowymi głazami – gdzie nie pochowano jeszcze miłości Borkowskiego – przecina Samborowo – *Dicke Eiche*, snuje się wzdłuż *Reinketal*, czyli dzisiejszej Zielonej Doliny, i dociera wreszcie – pod nazwą *Charlottenweg* (dziś Droga Marty) – do ulicy Świerkowej w Oliwie. Dzięki wędrowce z niemiecką mapą odkryłem zmienną geografię nazw. Wzgórze Trzech Panów dzisiaj nazywa się Głowicą, Droga Filozofów biegła kiedyś w zupełnie innym miejscu, a wzgórze za Pachołkiem, z obeliskiem bitwy oliwskiej, nosiło niegdyś imię królowej Luizy. Są jednak i takie punkty, które zmieniły nazwę jedynie w języku. *Paulushöhe* obok II Dworu to dziś Pawełek, a *Schwedendam* to nic innego jak właśnie Szwedzka Grobla. *Waldkarte...* nie jest mapą pozbawioną mankamentów: bez poziomic, zaznaczająca jedynie główne drogi, nieźle sprowadzić może na manowce kogoś, kto po raz pierwszy zapuściłby się w labirynt ścieżek pod Głowicą.

Przed taką ewentualnością ustrzegą jednak piechura mapy mojej najbliższej okolicy, wydane wreszcie przez polskich kartografów. Być może trzeba było upadku komunizmu, by rzecz tak zwykła jak dobra mapa turystyczna czekała na nas w księgarni lub ulicznym kiosku. Gdy dziś wyruszam na spacer z Oliwy do Wrzeszcza, do dyspozycji mam wspomnianą już *Waldkartę* z roku 1936, *Lasy oliwskie* z roku 1996, wydane nakładem oficyny „Via Mercatorum”, oraz dwustronną – i moim zdaniem nieco mniej staranną – mapę *Trójmiejski Park Krajobrazowy*. Ich porównanie dostarcza wielu przyjemności i niespodzianek, o których tu nie wspomnę, bo jeszcze słowo należy się niejakiemu Borkowskiemu. Kim był? Gdzie mieszkał? Nikt z mojej najbliższej okolicy tego nie wie. Zwyczajem chuliganów wykuł na głazie narzutowym napis, a dziś, po latach, zdewastowany głaz nosi na mapie jego imię. Może dlatego wydawcy *Trójmiejskiego Parku...* zignorowali tę nazwę, jakby w obawie przed następnymi inskrypcjami? Chyba niesłusznie: dzisiejsi wandalę porzucają w Zielonej Dolinie wraki samochodów, po czym je podpalają. Być może za pięćdziesiąt lat ktoś nazwie tę dolinę – Doliną Zdechłych Aut, czego nie życzę sobie ani nikomu, kto lubi swoją najbliższą okolicę.

Moje wykształcenie klasyczne

Pamięć bywa zawodna i kiedy usiłuję przypomnieć sobie, w którym to było roku, nie potrafię precyzyjnie tego ustalić – może w sześćdziesiątym trzecim? Czwartym? A może w sześćdziesiątym drugim? Chyba jednak nie w czwartym, bo to był mój pierwszy rok szkolny, *Elementarz* Falskiego, jego twarda



GASPAR HENNEBERG *Prussia accurate descripta*
mapa XVII-wieczna, fragment

oprawa i równie twarde zdania: „To jest Ala”, „A to fabryka”, „Tata Ali idzie do fabryki”, zdania, które przyprawiły mnie o nudności, ponieważ całkiem nieopatrznie posiadałem sztukę czytania znacznie wcześniej. Więc chyba jednak stało się to w sześćdziesiątym trzecim, podczas upalnego lata, które spędzałem w domu mojej babki Marii w Mościcach: buszując po bibliotecznej szafie, pośród tomów Brockhousa, albumu z uroczystości pogrzebowych marszałka Piłsudskiego, atlasu Romera, poezji Asnyka, Ujejskiego, Leśmiana i Tuwima, a także powieści Kraszewskiego, znalazłem egzotyczną książkę. Była bez ilustracji i zadrukowano ją dziwnym, nie naszym alfabetem. Wyglądała jak tajemnicza Księga, w której zamknięto niedostępną wiedzę. Podejrzywałem, że są w niej jakieś zaklęcia, w przeciwnym razie równe linijki wersów nie byłyby przecież zapisane tak dziwnymi literami. Babka z uśmiechem pochyliła się nad pożółkłymi kartkami – „ależ to moja szkolna *Odyseja*” – powiedziała i zaraz, niemal w tej samej chwili, potoczyła się opowieść o jej lwowskim gimnazjum, o profesorach Uniwersytetu Jana Kazimierza, którzy w tej szkole wykładali, wreszcie o mieście, dla mnie równie dalekim i egzotycznym, jak wyspa Ogigi czy kraina Lotofagów. Pamiętam, jak babka wzięła do rąk to swoje gimnazjalne wydanie *Odysei* i przeczytała po grecku kilkadziesiąt wersów, tłumacząc następnie *a vista* ich treść na polski. Byłem oczarowany. Obcy, zupełnie niezrozumiały język brzmiał hieratycznie, wzniośle, jak modlitwa, a słowo *thalassa* zapamiętałem już na zawsze, pewnie dlatego, że do Mościc przyjechałem na wakacje właśnie znad morza. Do lekcji greki nie doszło, ale tego samego dnia babka podarowała mi *Odyseję* w przekładzie Parandowskiego i dzięki temu wydarzeniu moja samodzielna nauka czytania w języku ojczystym, ów mozół składania sylab, który zaczął się od apostrofy „Me-ża głoś, Mu-

zo, wiel-ce o-brot-ne-go...”, przebiegał nie pod znakiem fabryki, lotnika i spółdzielni, ale świata, w którym Mojry rzucają cień na nieśmiertelne życie bogów i kruchy żywot ludzki.

Rok później anonimowa pani o imieniu Rejonizacja zapisała mnie do Szkoły Podstawowej numer 66 przy ulicy Marcellego Nowotki w Gdańsku Wrzeszczu. Pamiętam, że nasze domowe radio, nieustannie i wściekle atakowane przez zagłuszarke z Gradowej Góry, donosiło o Liście 34, złożonym na ręce Cyrankiewicza; był to rok, w którym w Kijowie zmarła Wanda Wasilewska, rok, w którym Władysław Gomułka wyrzaskiwał z trybuny niewybredne, chamskie epitety przeciw wybitnym polskim pisarzom, rok obalenia Nikity Chruszczowa i zastąpienia go Leonidem Breżniewem, rok objęcia resortu MSW przez Mieczysława Moczara, a resortu kultury przez Lucjana Motykę, rok, w którym czytałem *Mitologię* Parandowskiego, podarowaną mi przez rodziców, rok, w którym zakonnica powiedziała mi na lekcji religii u Zmartwychwstańców, że bogowie greccy byli jedynie wymysłem chorej wyobraźni pogan, rok, w którym nasz pan od muzyki tłumaczył rozbrykanej klasie, że tylko sezon w obozie koncentracyjnym Stutthof mógłby nauczyć nas porządku oraz szacunku dla przełożonych, rok, w którym Melchior Wańkowicz skazany został w pierwszej instancji na trzy lata więzienia za to, że w liście do swojej córki szkalował politykę kulturalną państwa chłopów i robotników; był to więc rok pełen zdarzeń, docierających do naszego sennego Wrzeszcza za pośrednictwem magicznego oka radioaparatu lampowego „Telefunken” oraz magicznej lektury Parandowskiego, dzięki której ani siostra katechetka, ani pan od muzyki nie określili mojej dziecięcej wyobraźni wedle własnego upodobania.

Po ośmiu latach edukacyjnej udręki (łagodziło ją jedynie kilku rozumnych nauczycieli) Rejonizacja raz jeszcze zdecydo-

wała o moim życiu: nie dano mi zapisać się do upragnionego III Liceum przy ulicy Topolowej, lecz zesłano do nowo utworzonej szkoły, oznaczonej numerem dziesiątym. Jej kierownictwo dzierżył dyrektor K., magister historii o poglądach bardziej partyzanckich niż Mieczysław Moczar i znacznie mniej liberalnych niż Edward Gierek, który właśnie wtedy, w roku siedemdziesiątym drugim, wraz z Jaroszewiczem Piotrem gasił ciche strajki w stoczniach mojego miasta położonego nad morzem; pamiętam, że słowo *thalassa* nadal poruszało moją wyobraźnię, a wykształcenie klasyczne zaczynało nabierać pewnej głębi za sprawą *Szkiców antycznych* Tadeusza Zielińskiego i *Wędrówek po stuleciach* Zygmunta Kubiaka. Jak wiele zawdzięczałem tym książkom, trudno mi nawet określić, cała ówczesna piana szkolnych apeli, podczas których dyrektor K. oskarżał Niemców o zbrodnię katyńską, a gazety i telewizja nieustannie, aż do wymiotów, celebrowały jedność moralno-polityczną komunistycznej partii i narodu, cały ten szlam odpływał nieszkodliwie, kiedy Zieliński opowiadał o mimijambach Herondasa, a Zygmunt Kubiak, z właściwą sobie głęboką prostotą, mówił o wierszu Horacego. Tak, moje wykształcenie klasyczne bez tych wspaniałych pośredników byłoby nędzne i ubogie, edukacja w szkołach publicznych sprowadziła je bowiem do jednej czytanki, bodajże w klasie piątej, o Korze i Demeter oraz dwóch godzin poświęconych *Iliadzie* i dwóch *Antygonie* w klasie dziewiątej, nielepiej było zresztą na pierwszym roku studiów polonistycznych, zreformowanych przez ministra Kuberskiego. Kiedy zaczynałem je w roku siedemdziesiątym szóstym, tuż po hysterii partyjnych wieców potępiających warchołów z Radomia i Ursusa, przekonałem się, że z programu pierwszego roku zniknęła zarówno historia Polski, jak literatura powszechna, której kurs – miałem taką nadzieję – obejmie Grecję i Rzym.

Słowo *thalassa*, od którego zacząłem moją edukację klasyczną, powróciło do mnie niedawno, kiedy sięgnąwszy do *Mitologii Greków i Rzymian* Zygmunta Kubiaka, odnalazłem je ze wzruszeniem na jednej z pierwszych stron tej niezwyklej książki. Pamięć przywołała natychmiast tamte wersy Homera, przeczytane mi przez babkę Marię, Parandowskiego, akacje kwitnące we Lwowie przy Wałach Hetmańskich oraz klasycznie peerelowską odyseję szkolną, której nie wspominam z liryzmem.

San Clemente

Pośród wielu znakomitych prac Tadeusza Zielińskiego rozprawa *Rzym i jego religia* zajmuje miejsce szczególne. Wydrukowana po raz pierwszy w rosyjskim „Wiestniku Jewropy” w 1903 roku, opublikowana następnie po polsku w roku 1920, do dziś stanowi intrygujący portret starożytnego Rzymu, od jego duchowej, religijnej strony. Już sam tytuł – nawet dla kogoś, kto zaledwie otarł się o klasyczne wykształcenie – stanowi wyzwanie. W potocznej świadomości Rzym jawi się bowiem jako stolica wielonarodowego imperium, prawdziwa wieża Babel języków, kultur i rytów religijnych. To tutaj przez stulecia współlistnieli ze sobą egipska Izyda, rzymska Minerwa, grecki Dzeus, żydowski Jehowa czy chrześcijański Jezus. Tytuł rozprawy sugeruje wszakże wyraźnie jedną tylko religię Rzymu i już na samym początku lektury chcielibyśmy dowiedzieć się od autora, o której religii rzymskiej będzie pisał: tej z czasów legendarnych królów i wczesnej republiki czy może znacznie późniejszej, kiedy wielu łatyńskich bogów utożsamiało się niemal ze swoimi greckimi odpowiednikami.

Oryginalność poglądu Zielińskiego zasadza się na śmiałej i dyskusyjnej tezie: pojęcie religii jako takiej zostaje tu oddzielone od samego wyznania, a nawet jego obiektu – konkretnego boga, czy też bogów. „Religia – pisze Zieliński – jest to coś innego niż wiara, niż wyznanie, niż pobożność, jest to tajemniczy łańcuch wiążący (*religans*) nas z czymś, co istnieje nad nami, na czymkolwiek to coś polegało. Możemy zaniechać wszelkich praktyk pobożności, możemy wyrzec się wszelkich dogmatów, możemy nawet utracić wszelką wiarę, a mimo to pozostaniemy religijni dopóty, dopóki w ujmowaniu wszechbytu zastrzegamy pewną dziedzinę dla tego, co Niepoznawalne, i czujemy się zdolni zająć wobec niego tę lub ową postawę...” Taki właśnie jawi się Zielińskiemu fenomen Rzymu. Nie jest on bynajmniej „Charybdą kulturalną, która pochłoneła Grecję oraz Wschód i, ubrawszy się w ich ryszczunek, nic własnego świata cywilizowanemu nie dała”. Jest wręcz przeciwnie – poczucie religijne Rzymian było wysoce oryginalne na tle mozaiki ludów i ich wierzeń.

Odmiennosc rdzennej religii rzymskiej od kultów sąsiadujących widzi Zieliński w tym, że bóstwa Latynów były – jego zdaniem – obiektywizacjami Woli powszechnej w jej rozmaitych przejawach, nie zaś zewnętrznymi wobec człowieka siłami, wyobrażonymi pod ludzką postacią, w formie posągów. Jak to przystępniej wytłumaczyć? Rzymska Cerera jest boginią wzrostu zboża i objawia się człowiekowi właśnie w tym momencie: rozwoju i dojrzewania, jest zatem boginią konkretnego aktu, danej chwili, nie zaś – jak grecka Demeter – personifikacją ciągłego odradzania się życia, jego ostatecznego triumfu nad śmiercią. „Grek wierzący – podkreśla Zieliński – nie zdziwiłby się wcale, gdyby gdzieś po drodze spotkał swoją Demetrę w postaci wysokiej, pełnej kobiety, Rzymianin zaś nigdy by w kobie-

cie takiej nie uznał Cerery, ta objawia mu się wyłącznie w rosnącym zbożu...” Podobnie rzecz się miała z wyobrażeniem życia pośmiertnego. Dla Greka dusza ludzka blakająca się po Hadesie była tą samą duszą, która wcześniej – obleczona w ciało – cieszyła się blaskiem słońca. U Rzymian Geniusz każdego człowieka („Geniusz jest to właśnie to, co w nas chce...”) jest aktem życia każdego człowieka, momentem wzrostu i działania, ale – jak pisze Horacy – jest przecież „bogiem śmiertelnym natury ludzkiej” i obumiera wraz z nami. Stan śmierci, nie-życia, wymagał w mentalności rzymskiej zupełnie innego pojęcia. Są nim Many – „dobrzy bogowie” – jak ze strachu nazywano duchy zmarłych. Akt życia kończy się wraz z Geniuszem, pośmiertne Many nie mają z nim nic wspólnego, dopiero wiele stuleci wpływów greckich i wschodnich zatarło tę różnicę.

Paradoks Rzymu stanowiło to, że zajmując nowe terytoria, sam podbijany był przez coraz nowe kultury, a napięcie pomiędzy „starymi” i „nowymi” bogami niejednokrotnie prowadziło do kryzysów, zamieszek i politycznych przesileń. Opis tego procesu jest pod piórem Zielińskiego fascynujący, ponieważ „bogowie krajowi” i „bóstwa-przybysze” rywalizowali ze sobą nie tylko w planie niebiańskim, lecz także w życiu politycznym – poprzez wpływowe rody i ich zwolenników. Czy wobec tego Rzym zachował swoją tożsamość, skoro – jak pisze Zieliński – ze złością traktował bogów gmin pokonanych? Tu wracamy do punktu wyjścia. Zdaniem autora, Rzym nigdy nie spełniał się w jakiejś jednej, konkretnej konfesji, ale właśnie w dążeniu religijnym, które oznacza pragnienie nawiązania kontaktu z Niewyraźnym, niezależnie od rytów i sposobów. To jest prawdziwy *genius loci* Wiecznego Miasta, w którym – jak w palimpseście – warstwy pisma nakładają się na siebie. Symbolem tej różnorodnej ciągłości jest dla Zielińskiego nazwa jednego z rzymskich

kościółów: Santa Maria sopra Minerva. Zamyka się w niej część dla Marii-dziewicy, ale też pamięć o dawnej, rzymskiej bogini, której oddawano hołd dokładnie w tym samym miejscu.

Rozmyślając o religii Rzymu i tekście Zielińskiego, takich miejsc w Wiecznym Mieście można znaleźć więcej. Kiedy udamy się z placu Colosseum na Lateran, po drodze dojrzymy do bazyliki San Clemente. Uformowana ostatecznie w epoce baroku, nosi od wieków imię papieża Klemensa – trzeciego po Świętym Piotrze namiestnika Chrystusa. Poznając jej poszczególne części, doświadczymy prawdziwie rzymskiego fenomenu. Piętnastowiecznym freskiem w kaplicy Świętej Katarzyny towarzyszy barokowa Madonna Sassoferrata. Bizantyjskim freskiem z mistycznym drzewem życia renesansowy święty Krzysztof. Znacznie więcej oferuje jednak zejście w głąb. W południowej krypcie, noszącej ślady bazyliki z IV wieku, znajdziemy grób świętego Cyryla, apostoła Słowian, pochodzącej z roku 869. W krypcie północnej – pogański, pięknie rzeźbiony sarkofag z I wieku i o stulecie późniejsze popiersie Apollina. Ten bóg miał wiele wspólnego z Mitrą i to jego właśnie sanktuarium znajduje się w najstarszej części krypty. Na kamiennym ołtarzu wyrzeźbiono Mitrę w momencie składania przezeń ofiary z byka. Mitra – jak zawsze – odwraca wzrok od zwierzęcia i zadając cios, spogląda w słońce. Kamiennie ławy pod niskim sklepieniem są puste, zupełnie tak, jakby rzymscy wyznawcy irańskiego bóstwa odeszli właśnie przed chwilą do domów, po mistycznej uczcie...

Drzewo Kraków

W bocznych i najdawniejszych korytarzach Galerii Uffizi znajduje się kilkanaście nadzwyczajnej piękności arrasów. Część z nich pochodzi ze słynnej Arrazeria Florentina, manufaktury założonej w roku 1546 przez Kosmę I Medyceusza, inne mają rodowód flandryjski, gdzie sztuka produkcji tych tkanin narodziła się znacznie wcześniej. Te kompozycje z nici wełnianych, jedwabnych, srebrnych i złotych przybyszowi z Polski kojarzyć się mogą ze wspaniałą kolekcją wawelską, a największe zainteresowanie wzbudzi zapewne arras ze zbiorów Katarzyny Medycejskiej, obrazujący uroczystości na dworze francuskim w roku 1572. Przedstawia on scenę przyjęcia posłów polskich, którzy przybyli wówczas do Francji, by zaproponować tron Henrykowi Walezjuszowi. To, co uderza w obrazie najmocniej, to całkowita odmienność strojów, fryzur i nakryć głowy, jaką prezentują przybysze. Wspaniałe, długie szaty i podgolone łby, na których osadzono futrzane czapy zwieńczone piórami, podobnie jak wysadzone drogimi kamieniami pasy czy rękojeści szabel – zrobiły na gospodarzach ogrodów Tuileries wrażenie piorunujące. Sarmaci pojawili się bowiem na francuskim dworze niczym figury z mitycznego kraju, o którym nie wiedzieli nic nawet uczeni i poeci. Zachwytom nad egzotyką orientalnych strojów towarzyszyło zdumienie politycznymi urządzeniami dalekiego kraju: tron elekcyjny był wszak instytucją republikańską z ducha i zdawał się pozostawać w głębokiej sprzeczności z ideą monarchii jako takiej. Polska – wkraczając w świadomość kultury francuskiej już od tego pierwszego momentu zaczęła się więc jawić nie tylko jako kraina egzotyczna, ale też pełna wewnętrznych sprzeczności, nigdy do końca zrozumiała, zawsze dwuznaczna i niejasna.

Pasjonującą historię powstania polskiego mitu, jego przemian i ciągłej obecności w literaturze francuskiej dał nam François Rosset w świetnie napisanej książce, zatytułowanej *Drzewo Kraków*. Ten legendarny kasztanowiec, wzrastający w czasach Voltaire'a w ogrodach Palais-Royal, wydaje się najcelniejszym symbolem otwierającym i oświetlającym opowieść Rosseta: zbierali się pod nim próżniacy, spekulanci, prostytutki i nowinkarze, zawzięcie dyskutujący najnowsze wieści z Europy i świata. Dlaczego jednak paryski kasztanowiec nazwano Drzewem Kraków? „Niektórzy uważają – pisze autor – że miało to związek z zagmatwaną sprawą sukcesji po Janie Sobieskim, którą cała Europa śledziła z zainteresowaniem na przełomie XVII i XVIII wieku. Lecz dlaczego w takim razie Kraków, skoro stolicą polskiego królestwa już od ponad wieku była Warszawa? Dla innych nazwa drzewa wywodziła się z homofonii łączącej nazwę dawnej stolicy Polski z czasownikiem *craquer* w znaczeniu kłamać, rozpowszechniać brednie i fałszywe nowiny. W obu przypadkach obecność Polski w sercu Paryża oparta była na aktach językowych i konkretyzowała się w słowach przy każdej wypowiedzi nowinkarzy: pod patronatem Krakowa plotkarze ci wymieniali swobodnie frywolne poglądy, k r a k a ć sobie do woli, opisując świat rzeczywisty, bez najmniejszego obowiązku trzymania się prawdy”.

W podobny sposób jak w klubie pod kasztanem obraz Polski i Polaków kształtował się w literaturze francuskiej. Wprawdzie już nie nowinkarze i błagierzy, lecz pisarze, ale i oni niewiele troszczyli się o zgodność słów z faktami, wprowadzając polskie motywy w krwioobieg swojej kultury. Stworzyli mit, który na przestrzeni stuleci zaspokajał różne potrzeby: od polityki przez estetykę po erotykę i filozofię włącznie. Zaczęło się – rzecz jasna – od polityki i nie mogło być inaczej, skoro szło o tron. Pola-

cy-Sarmaci postrzegani są w roku 1573 jako obcy, egzotyczni, bohaterscy, piękni i waleczni, a ich ziemia – pełna obietnic obfitości – zawiera w sobie wcielony mit złotego wieku. Francuscy hugenoci, prześladowani okrutnie przez swoich władców, podniosą sprawę elekcji jako pierwszorzędną i będą zachwycać się Polakami – „że tak pięknie określili i ograniczyli władzę swoich królów”. Wystarczy jednak ucieczka Waleczjusza do Francji niedługo po koronacji, by Philippe Desportes napisał słynny wiersz – *Pożegnanie z Polską* – w którym śladu już nie ma po bogactwie sarmackiej ziemi, grzeczności jej szlachty, pięknie strojów i rumaków, jest natomiast brud domostw, są barbarzyńskie obyczaje, paskudny klimat, ohydne pijaństwo i dziesiątki innych plag, które w porównaniu ze słodką, słoneczną Francją, czynią Polskę krajem chaotycznym i plugawym.

Rozczarowanie nieudanym małżeństwem francuskiego króla z sarmacką republiką zaowocowało natychmiast powstaniem stereotypu negatywnego i odtąd ta dwubiegunowość, w rozmaitych mutacjach i wariantach, stale będzie powracać pod piórem francuskich pisarzy. Wiek XVII doda zaś jeszcze nowy rodzaj dwuznaczności – kto wie, czy nie pod wpływem nieustannej fascynacji polskim strojem. W powieści z tej epoki piękny Polak – niczym „Ifegen” Jean-Pierre’a Camusa – objawi dwuznaczność erotyczną, podziwiany dla swej urody zarówno przez kobiety, jak przez mężczyzn. „Polska z tamtych powieści – mówi François Rosset – powstała tym samym trybem, co równocześnie odtwarzana Grecja, czy Środkowy Wschód. Są to dzieci płodnego związku mitologii z historią” – czego przykładem może być dzieło Jeana de Préchaca *Piękny Polak* wydane w roku 1681.

Paradoksalnie, z biegiem lat Polska staje się krajem coraz bardziej niekonkretnych granic i coraz większej nieobliczalności. Francuskie księżniczki mogą otrzymać polską koronę, pol-

skim królem może zostać bohater – Sobieski, ale też to właśnie tutaj monarchą zostaje „nikomu nieznanym, ciemnym, bez zasług szlachcic – Michał Korybut Wiśniowiecki”. Wiek XVIII przynosi znów dominację polityki, ale następujące rozbiory, dalej epopeja napoleońska, tragedia powstań i emigracji raczej potwierdzają już istniejące klisze, niż sprzyjają rozbiciu stereotypów. Dla romantycznej opozycji francuskiej Polska znów będzie „waleczna”, „bohaterska”, „piękna” i „nieszczęśliwa”, natomiast premier Casimir P rier zaraz po upadku powstania listopadowego wypowie znamienne s owa: „Francja nie pozwoli na to, by jakikolwiek nar d mi ł prawo zmusza c j  do walki o niego: pieni dze i krew francuska należą tylko do Francji!”

Ta dziwna Polska, kt ra nie by ła do ko ca republik  ani zdecydowan  monarchi , kt ra znikn ła z mapy Europy, lecz stale powraca ła niczym widmo do gabinet w polityk w, ta Polska istnia ła we francuskiej literaturze pod postaci  „ograniczonej ilo ci niezmiennych obserwacji” – jak pisze w podsumowaniu Fran ois Rosset. To struktura wyobraźni – „my i inni” – sprzyjaj ca dominacji stereotyp w „obcego” czy „odmiennego”, zawi dnie ła wyobraźni  pisarzy i czytelnik w, tworząc ostatecznie obraz Polski niemożliwej, jak  wykreowa ł w swoim arcygroteskowym *Ubu kr lu* w 1896 roku m odziutki Alfred Jarry. „Mi dzy 11 maja 1573 roku, czyli dat  wybrania Henryka Walezkiego na tron Polski, a 1896 rokiem, kiedy ukaza ł si  *Ubu kr l*, upły n ły trzy wieki kraka n zapoc tkowanych prawdziw  koronacj , a zako czonych upadkiem fikcyjnego kr la” – ko czy sw  opowie c Fran ois Rosset.

Drzewo Krak w nie ro nie juź w ogrodach Palais-Royal, a nowinkarzy i pisarzy zast pili dzi  dziennikarze. Zawsze moźna mie  nadzieje, że zanim wybior  si  do kraju Sarmat w, przeczytają jak s m dr  ksi żk . A zwi szcza *Drzewo Krak w*.

Demos

Dlaczego Platon nie lubił demokracji? Na to pytanie można odpowiedzieć rozmaicie, na przykład stwierdzeniem, że pochodził z rodziny arystokratycznej i już sam ten fakt predystynował go co najmniej do dystansu wobec rządów kramarzy i producentów oliwy. Rzecz jasna, argument ten – dobry w przedszkolu marksistowskim – niczego nie wyjaśnia: lepiej już wspomnieć Sokratesa, który był mistrzem Platona i który – jak powszechnie wiadomo – w demokratycznym państwie, przez demokratycznie wybranych sędziów, w demokratyczny sposób skazany został na śmierć na podstawie absurdalnego donosu. Jak przekazuje nam tradycja, Platon nie był obecny na samej rozprawie, ale to właśnie on napisał *Obronę Sokratesa*, dialog, o którym Karl Popper – najzacieklejszy obrońca demokracji w wieku XX – powie, że jest najpiękniejszym i najważniejszym tekstem w tradycji europejskiej. A jednak i ta odpowiedź tłumaczy niezbyt wiele, jeśli zważymy, że według Platona nawet najbardziej skrajny przypadek, nie może decydować o sędzie ogólnym. Jego krytyka demokracji ma charakter spójnego systemu i to, co czytamy w *Państwie*, nie jest wynikiem ani pochodzenia filozofa, ani też groteskowo-tragicznego splotu okoliczności związanych z oskarżeniem Sokratesa. Platon był przeciwnikiem demokracji, ponieważ dostrzegł w niej zagrożenia dla ludzkiej duszy znacznie bardziej niebezpieczne niż pod rządami oligarchii czy monarchii.

Istota tej niechęci da się sprowadzić do dyskusji o powołaniu człowieka. Jeśli zgodzimy się z Platonem, że jest nim ciągła droga wzwyż, doskonalenie duszy i rozumu aż do poznania prawd absolutnych, w rzeczy samej religijnych, które są przecież jedyne i niezmiennie, łatwo nam będzie zauważyć, że mechanizm ustroju

demokratycznego wchodzi natychmiast w konflikt z tego rodzaju przeświadczeniem. I nie dlatego bynajmniej, by w demokratycznej społeczności z definicji zabraniano komukolwiek poszukiwania prawd metafizycznych. Liczba szkół filozoficznych, poglądów, ba, rytów religijnych jest w demokracji w sposób naturalny wielka, lecz problem – zdaniem filozofa – tkwi w tym, że nie stanowią już one spoiwa społeczeństwa. Tym, co faktycznie łączy ludzi w państwie powszechnych wyborów, głosowań, referendum i nieustannych dysput na agorze, jest cena oliwek, problem cła, wysokość podatków, długość kadencji urzędniczej, przekupstwo, rozdzielanie przywilejów, tajne i jawne koalicje, a nade wszystko ów magiczny fetysz, bożek tłumu, zwany wzrostem życiowej stopy obywatela: garncarza i właściciela stoczni w równym stopniu. Wyścig wszystkich po wszystko, ponieważ – przynajmniej teoretycznie – w demokracji, każdy może już jutro być kimś innym: ważniejszym, zamożniejszym, sławnym. Wystarczy dar wymowy, spryt, trochę szczęścia i odpowiedni moment. A prawa? One są także zmienne, chwiejne i nazbyt często naginane do potrzeb chwili: wszak decyduje o nich większość, a niekoniecznie prawda czy sprawiedliwość. Zwłaszcza ten punkt był dla Platona groźny, bowiem pojęcia tego, co dobre, szlachetne, sprawiedliwe, godne, nie da się wywieść, jego zdaniem, z umowy społecznej, wyrażonej głosowaniem. Ludzie w swoich wyborach są krótkowzroczni, pragmatyczni, a przede wszystkim zmienni, jak można więc zakładać, że służyć będą rzeczywiście dobru wspólnemu, a nie grupowym, doraźnie określonym interesom?

Spoleczeństwo otwarte i jego wrogowie Karla Poppera to największa apologia współczesnej demokracji, jaką napisano w naszym stuleciu. Dzieło powstałe w obliczu totalitaryzmów, przeciw nim zwraca swą polemiczną siłę. Popper uznaje w nim Platona za prekursora nieludzkich systemów zbiorowej inżynierii: zarów-

no nazistowski rasizm, jak komunistyczna doktryna dyktatury znajdują w Platońskim *Państwie* wiele pouczających inspiracji. Nie sposób temu zaprzeczyć. Lista pomysłów greckiego filozofa jest w tej materii długa: począwszy od selekcji biologicznej, a na cenzurze kończąc. Zdaniem Poppera, największy grzech Platona polega na tym, że zasadnicze dla ludzkości pojęcia etyczne wywodzi nie z realnego, lecz idealnego świata, a następnie – przekonany o ich boskim pochodzeniu – pragnie je na siłę wcielić w oporną materię społeczeństwa. Jest to klasyczny przykład chęci zbawienia bliźnich nie siłą argumentów, lecz argumentem siły. Hiszpański inkwizytor, pałacy heretyka dla uratowania jego duszy, to tylko jeden z przykładów zastosowania takiej filozofii.

Nie ma potrzeby obrony Platona przed takimi zarzutami. Jak napisał kiedyś Leszek Kołakowski o Marksie: wobec ogromu zbrodni komunizmu jego doktryna – nawet w swoich najszlachetniejszych intencjach – nie może pozostać niewinną. Istnieje natomiast możliwość nowej, uważnej lektury *Państwa*, ze szczególnym uwzględnieniem tych fragmentów, które wnikliwie analizują wady i słabości demokracji. Bowiem pytania, które stawia Platon, mają w sobie stale aktualny ładunek. Cóż bowiem począć z demagogią polityków? Obietnicami bez pokrycia? Szlachetną deklamacją, zza której nader często wyziera pospolita żądza wysokich i regularnych apanaży? Jak wyznaczyć zakres wspólnego dobra i sprawić, by szlachetnymi pojęciami nie wycierano sobie ust?

Co wreszcie ma być źródłem kardynalnych praw: nasza powszechna zgoda, umowa, czy może raczej szukać ich podstaw poza porządkiem empirycznym, a więc w intuicyjnej sferze doświadczenia religijnego? Czy rzeczywiście łączy nas coś więcej niż problem wzrostu gospodarczego?

Tamta, ateńska demokrację, Popper z perspektywy tysięcy lat nazywa jednym z najwspanialszych eksperymentów, na jakie zdobyli się nasi europejscy przodkowie. Platon nie szczędzi jej krytyki i niczym prorok przepowiada jej upadek. Popper kładzie nacisk na wolność, Platon podkreśla demagogię, pozorną równość, powszechny materializm. Obu pogodzić mógłby nie filozof, ale polityk, Winston Churchill, ze swoim słynnym powiedzeniem, że demokracja to najgorszy z systemów, ale nie wymyślono do tej pory niczego lepszego.

Anytos, Meletos, albigensi

Esej Zbigniewa Herberta *O albigensach, inkwizytorach i trubadurach* czytałem po raz pierwszy bodajże w siedemdziesiątym czwartym roku, będąc gimnazjalistą. Czytałem z wypiekami na twarzy, jednym tchem, w podziwieniu i zachwyceniu. Nieznane mi wówczas wydarzenia z XIII wieku, dzieje okrutnej krucjaty ogłoszonej przez papieża Innocentego III przeciw księstwu Tuluzy, dzięki znakomitej narracji autora przeżywałem zupełnie tak, jakby cała ta historia wydarzyła się zupełnie niedawno, i to nie w dalekiej Francji, ale w moim własnym kraju. Nie wiedziałem, czy taki właśnie efekt zamierzył sobie Zbigniew Herbert, ale jego wyznanie, że „autor szkicu nie jest zawodowym historykiem, tylko opowiadaczem”, co zwalnia go „od naukowego obiektywizmu i dopuszcza sympatie i pasje”, było wskazówką, że ta opowieść o zamordowaniu pięknej prowansalskiej cywilizacji może posiadać całkiem współczesne odniesienia.

Dlaczego księstwo Tuluzy musiało upaść? Dlaczego ogniem i mieczem wypleniono religię albigensów? Dlaczego przesła-

dowcy z takim zapamiętaniem, już po fizycznym pokonaniu opornych, niszczyli ich kulturę, obyczaje, więzi społeczne? „Na południu obecnej Francji – pisze Herbert – istniała cywilizacja odrębna i wyprawa krzyżowa przeciwko albigensom była starciem dwu kultur. Klęska, która spotkała księstwo Tuluzy, jest jedną z katastrof takich, jak zagłada cywilizacji kreteńskiej czy Mayów”. Straszna jest historia tej klęski. Armia, „jakiej nie widziano”, zdobywała krok po kroku terytorium skażone herezją, w perzynę obracała miasta, wyrzynała ludność cywilną. Jak stwierdzają historycy, po zdobyciu Beziers wymordowano około trzydziestu tysięcy ludzi. „Arnaud Amaury, legat papieski – opowiada Herbert – gdy mu w czasie walk zwrócono uwagę, że w liczbie masakrowanych znajdują się na pewno także katolicy, miał odpowiedzieć: «Zabijajcie wszystkich, a Bóg rozpozna swoich»”. Równie okrutne były rządy zwycięzców. Za armią posuwały się oddziały do zadań specjalnych, to znaczy grupy inkwizytorów, wyposażonych we władzę absolutną. Donosy, aresztowania, tortury, procesy bez świadków i obrony, konfiskaty majątku, a wreszcie śmierć na masowych stosach – wszystko to było losem pokonanych przez długie lata. Rycerze (ci, którzy cudem ocalili) musieli składać przed biskupami przysięgę, „że nigdy już nie będą składać wierszy”, co równało się fizycznej likwidacji poezji trubadurów, którą zastąpiły – według słów Herberta – „ciężkie kolubryny ideologiczne, składane przez pobożnych rymarzy...” „Nawet najbardziej bezwzględna walka mężczyzn twarzą w twarz – puentuje autor – nie jest tak zgubna, jak szept, podsłuchy, strach przed sąsiadem i zdrada w powietrzu...”

Dla czytelnika w PRL-u, który choć trochę znał historię, nie ulegało wątpliwości, że esej o albigensach, inkwizytorach i trubadurach, jest w równym stopniu tekstem o jego własnym kra-

ju: pokonanym, upokorzonym, z wszechwładzą cenzury i tajnej policji. Siła eseju Herberta polega jednak na tym, że nie jest on dziełem wyłącznie aluzyjnym: czytany dzisiaj, w zmienionych warunkach, nadal stanowi jeden z najlepszych przykładów analizy totalitarnej przemocy. I można przy tej okazji postawić sobie pytanie: czy przy opisie ciemnych stron demokracji historyczny kostium byłby równie nośny?

W swojej książce-eseju *Namaluj to* amerykański pisarz Joseph Heller zderza ze sobą losy Sokratesa i Rembrandta: obaj jego bohaterowie żyli wszak w republikańskich demokracjach i obaj – choć każdy w inny sposób – ponoszą klęskę. Heller nie lubi demokracji i pokazuje bardzo precyzyjnie, jak biorą w niej górę doraźne interesy małych ludzi, kłamstwa polityków, głupota tłumów, wreszcie wszechwładza pieniądza i dorobkiewiczów. Poza tą sferą nie ma miejsca na filozofię, sztukę i prawdę. Proces i śmierć Sokratesa miały miejsce pod rządami demokracji, a jego oskarżyciele: Anytos – rzutki, choć drobny przedsiębiorca, i Meletos – nieudaczny poeta, są jej typowymi przedstawicielami. Bankrutujący Rembrandt, którego „nie stać byłoby na Rembrandta”, jest dla Hellera również przykładem ofiary republiki pieniądza, w której „pojawia się grupa ludzi świetnie prosperujących w finansowym świecie oraz dużo liczniejsza grupa tych, którzy idą prosto na zatracenie...” Demokratyczne Ateny narzucały zależnym od siebie miastom tyrańskie ustawy, a demokratyczna Holandia, w której zakazane było niewolnictwo, zbijała fortuny na zamorskim handlu niewolnikami. Heller, pisząc swą opowieść o Rembrandcie i Sokratesie, wystawia w istocie surowy rachunek demokracjom współczesnym i mówi do nas: to, że nie jesteście tyranami, nie znaczy jeszcze wcale, że wasz świat jest najlepszym z możliwych. Na pytanie, czy możliwy jest zatem inny, lepszy świat, Heller nie odpowiada

da, ale jego trzeźwa ocena komunistycznych utopii Platona zdaje się sugerować, że pomiędzy okrucieństwem tyranii a „nadętą pychą buńczucznych demokratów” miejsca jest mało, coraz mniej.

Waluta Platona

Okazało się, że jest bibliotekarką w pobliskiej szkole. Jej samochód zatrzymał się na skraju szosy i nawet nie musiałem tłumaczyć, że zasnęłam, że uciekł mi autobus i że chcę dojechać do miasteczka. Kiwała głową i nasza obustronna angielszczyzna okazała się wystarczająco nośna dla wymiany polsko-fińskich grzeczności, gdzieś na dziesiątym kilometrze przed Sipola. Wiedziała, że spotykają się tam pisarze krajów bałtyckich – z Rosji, Estonii, Łotwy, Litwy, Polski, Szwecji, Niemiec, a także z jej własnego kraju – i cieszyła się rzeczywiście, że jednemu z gości może wyświadczyć drobną przysługę. Kilkanaście okrągłych zdań tej konwersacji mogłoby figurować w podręczniku: – „podoba ci się tutaj?” – „tak, bardzo jest tu miło” – „co piśiesz?” – „prozę” – „to trudniejsze niż poezja?” – „niekoniecznie” i tak dalej, aż do zakrętu, na którym – wobec chwilowego wyczerpania tematu – dyskretnie włączyła radio. Nadawano akurat serwis informacyjny i pośród wielu tajemniczych i niedostępnych słów fińskich, nagle pojawiły się dwa zrozumiałe: Lenin i mauzoleum. Natychmiast skojarzyłem fakty: parę dni wcześniej, przed wyjazdem do kraju Sibeliusa, w polskich Wiadomościach obejrzałem krótki felieton. Oto Rosjanie chcą się pozbyć mumii Lenina z placu Czerwonego, przeciwko czemu protestują komuniści całego świata i byłego ZSRR, na co rząd

Finlandii składa propozycję: chętnie przyjmujemy zabalsamowane zwłoki wodza światowej rewolucji, zapewnimy im godne miejsce, a przede wszystkim spokój.

– „Czy to prawda – zapytałem – że wasz rząd chce sprowadzić Lenina?” – „O tak – odpowiedziała z uśmiechem – świetny pomysł”. – „Dlaczego?” – „No, trzeba chronić historię” – odparła bez wahania, zupełnie tak, jakby Lenin był Finem i urodził się w Helsinkach, albo Sippola w okręgu Anjalankoski. Zapytałem ją, czy wie, ile milionów ludzi zginęło na osobisty rozkaz Lenina oraz w wyniku jego szalonych eksperymentów. – „Tak, oczywiście – podjęła to natychmiast – ale on chciał przecież dobrze dla prostego człowieka...”

Ta jej odpowiedź – mówiąc najdelikatniej – замуrowała mnie. Pani bibliotekarka nie wyglądała na potwora, leśnego robotnika-pijanicę ani byłego agenta Kominternu, jej palcom, trzymającym teraz kierownicę, nieobce były klawisze fortepianu, być może jej dziadek walczył z Sowietami pamiętnej zimy czterdziestego roku, kiedy Armia Czerwona stała już u wrót Helsinek, jej kraj zaś stracił tysiące żołnierzy i cywilów oraz ogromne terytoria Karelii, a tu tymczasem taka sympatia, taka nostalgia za kimś, kto „chciał dobrze dla prostego człowieka”...

Kiedy słynny dysydent rosyjski Andriej Bukowski w licznych wywiadach i publikacjach domagał się drugiej Norymbergi, to znaczy międzynarodowego procesu, w którym opisano by, osądzono i potępiono monstrualne zbrodnie komunizmu na całym świecie, zewsząd odezwały się liczne głosy oburzenia. Nie tylko ze środowisk byłych komunistów i szeroko pojętej lewicy. Przeciwno drugiej Norymberdze protestowali także „prości ludzie”, w rodzaju fińskiej bibliotekarki, którą spotkałem na drodze do Sippola. Największe emocje wzbudził fakt porównania przez Bukowskiego nazizmu z komunizmem. Ten pierwszy

był przecież złem wcielonym, ten drugi szlachetnym zrywem, prawda, że nieudany, lecz za to w pełni usprawiedliwiony. W ten oto sposób wcielony marksizm-leninizm odniósł zwycięstwo niejako zza grobu: mimo dziesiątków milionów ofiar, mimo niewyobrażalnego okrucieństwa, mimo podboju, złupienia i okupacji wielu narodów, mimo bezprzykładnej klęski gospodarczej – system ten nie został potępiony tak jak faszyzm. Nadal utrzymuje się w wielu państwach, z którymi cywilizowany świat ma otwarte stosunki, i nadal posiada swoją legitymację w sporej części społeczeństw Zachodu.

Podobne głosy odezwały się we Francji na początku listopada 1977 roku, po opublikowaniu *Czarnej księgi komunizmu*, w której podtytuł umieszczono słowa „85 milionów ofiar”. Ta zbiorowa praca pod redakcją historyka Stéphane’a Courtoisa wzbudziła wściekłość francuskiej lewicy nie dlatego przecież, że podsumowuje dotychczasowe badania nad zbrodniami komunistów i owe 85 milionów, anonsowane na okładce, uściśla w książce na około 100 milionów. Dziś, gdy nie da się już ukryć faktów, polemizować można jedynie z ich interpretacją, a ta – dla obecnej czy byłej lewicy – jest w *Czarnej księdze* druzgocąca. Eksterminacja całych narodów i klas społecznych przeprowadzona przez Lenina, Stalina oraz ich następców i naśladowców różniła się od nazistowskiej jedynie metodologią. W rezultacie na całym świecie zginęło około 90-100 milionów ludzi, co przy 25 milionach ofiar osiągniętych przez Hitlera wydaje się wynikiem znakomitym. Świetnie udokumentowana *Czarna księga komunizmu* stawia więc zasadne i w pełni uprawnione pytanie porównawcze o komunizm i faszyzm, dając odpowiedź twierdzącą. Zatem dlaczego do dzisiaj zajadło protestuje się przeciwko takiej analogii? I dlaczego czyni tak nie tylko Gienadij Ziuganow i nie tylko lewicowi deputowani do francuskiego parlamentu?

Zapewne najprostsza jest odpowiedź psychologiczna. Przecież nikt, kto w przeszłości – z takich czy innych powodów, w jakimkolwiek zakątku ziemskiego globu – popierał komunistyczną ideologię, nie zechce dziś przyznać otwarcie: „tak, wspierałem system, który okazał się zbrodniczy, i chociaż nikogo osobiście nie skrzywdziłem, poczuwam się do współodpowiedzialności...” Takie powszechne wyznanie niemożliwe jest także z innych powodów: otóż mit rewolucji, niosącej postęp, wyzwolenie i sprawiedliwość, który z takim mistrzostwem wykorzystali Marks, Lenin, Stalin, Kim Ir Sen, Pol Pot, Mao i tylu innych, ten mit okazał się zakorzeniony w ludzkiej świadomości tak głęboko, że nawet najbardziej oczywiste zbrodnie nie były w stanie go skompromitować ani pozbawić siły oddziaływania. Jest to mit tak stary jak ludzkość, w której – statystycznie rzecz ujmując – zawsze jest więcej niezadowolonych niż zadowolonych, głodnych niż nasyconych, biednych niż bogatych, niewykształconych i prymitywnych niż oświeconych i subtelnych. Prosty człowiek pragnący sprowadzić mumię jednego z największych zbrodniarzy świata do swojego kraju jest przykładem wiary w mit, który nie podlega żadnej racjonalnej krytyce, bo jest mitem właśnie.

Ponad dwa tysiące lat przed bolszewizmem Platon – najpierw w *Rzeczypospolitej*, potem w *Prawach*, opisał, jak powinno wyglądać państwo idealnej sprawiedliwości i równości. Ciekawe, że obok wielu monstualnych pomysłów Platon pomieścił w *Prawach* także projekt walutowy. W jego państwie „znajdować się będzie moneta posiadająca wartość wewnątrz kraju, ale nie posiadająca jej poza jego granicami. Prywatny człowiek, gdy jest zmuszony jechać za granicę, będzie mógł jechać, jeśli otrzyma od władz pozwolenie wyjazdu: po powrocie wpłaci obcą walutę, która mu została z podróży, do skarbu państwa”.

Ten fragment brzmi jak wszystkie szczegółowe rozporządzenia wszystkich urzędów finansowych wszystkich krajów komunistycznych. Groteskowe sceny z *Mistrza i Małgorzaty*, kiedy to za posiadanie dolarów szło się do łagru, nie są więc wyłącznie opisem ponurej, sowieckiej rzeczywistości, ale nawiązują do tradycji stale obecnej w europejskiej kulturze. W marzeniach prostego człowieka o platońskiej walucie nie ma nic złego, dopóki za sprawę nie wezmą się demagodzy i zbrodniarze.

Plac Zgody

Z czego cieszy się lud francuski w rocznicę rewolucji? Coroczne zdawkowe migawki w telewizji nie zawierają takich informacji. Czasami ujrzymy plac Bastylli. Zawieszony tu trójkolorowy sztandar przypomina o klęsce despotyzmu, tryumfie wolności i praw człowieka. Czasami na ekranie przemknie twarz prezydenta republiki i zaraz potem kamera pokaże nam ludowy festyn na jednym ze stołecznych placów lub w podparyskiej miejscowości. Bywa, że gdy rocznica jest okrągła, na ekranie zagości obraz fajerwerków lub smukły mirage w paradnym locie nad Sekwaną.

Ten wizualny stereotyp od lat nie został naruszony, można więc dla zabawy złamać go taką oto wizją: nasz korespondent stoi przy gilotynie i objaśniając widzom zasadę działania tej maszyny, wymienia liczbę ściętych głów, mówi dwa słowa o terrorze, zagaduje przy tym kata: „czy nasmarował pan już rowki, po których spadnie nóż?”. Dopiero w tym momencie orientujemy się, że gilotyna stoi na placu Concorde i że jesteśmy świadkami widowiska w rodzaju „dźwięk i światło”. Kamera precyzyj-

nie przeszedł tor uciętej głowy aż do wiklinowego kosza i chociaż dekapitacja została dokonana tylko na manekinie, to głuchy łoskot ostrza, radosny krzyk motłochu oraz strumień czerwonej farby tryskającej na bruk zapadną nam w pamięć na długo.

Takiej sceny nie obejrzymy jednak w serwisie informacyjnym. I nie dlatego, by telewizja dbała w jakiś szczególny sposób o nasz psychiczny komfort. Po prostu żaden z organizatorów rocznic francuskiej rewolucji nie odważyłby się w ten sposób akcentować narodowego święta.

„Kiedy w roku 1988 – pisze Daniel Gerould w swojej *Historii gilotyny* – członkowie ekipy telewizyjnej, realizującej cykl programów poświęconych Rewolucji, ustawili gilotynę na placu Concorde (dawny plac Rewolucji, na którym ścięto Ludwika XVI), przedstawiciel urzędu prezydenta kazał reżyserowi ją stamtąd usunąć. – Przepraszam pana, ale to nie jest nasz ideał Rewolucji – oświadczył urzędnik”. Dość niesłychany to incydent jak na kraj mieniący się kolebką swobód i wolności. W istocie oznaczał on, że państwo zakreśla sferę tabu w dziedzinie symboli historycznych. Deklaracja Praw Człowiek i Obywatela jest godnym nagłośnienia dziedzictwem rewolucji, terror i gilotyna zaś – faktem nieco wstydliwym, którego przypominać nie należy, skoro nie da się go – po orwellowsku – usunąć ze zbiorowej świadomości. Współczesna republika, uznając ustawienie gilotyny na placu Concorde za polityczną prowokację, dała świadectwo nie tylko głupoty swoich urzędników, lecz potwierdziła prawdę o tym, że jej skapany we krwi rodowód nadal pozostaje dwuznaczny.

A wszystko to zaczyna się od salwy śmiechu deputowanych do Zgromadzenia Narodowego pewnego jesiennego dnia 1789 roku. Debatowano nad reformą prawa karnego i wówczas to doktor Joseph-Ignace Guillotin, poseł, profesor anatomii, przed-



Maska pośmiertna Robespierre'a, muzeum M^{me}Tussaud

stawił projekt swej maszyny, wołając w uniesieniu: „Panowie, za pomocą mego urządzenia zetnę wam głowy w ciągu sekundy, i to bez żadnego bólu!”. Zapewne wielu z posłów, którzy wybuchnęli wówczas śmiechem, w ciągu następnych lat przypominało sobie ten incydent już bez śmiechu, zwłaszcza gdy sami kładli głowy pod naostrzony nóż. Machina doktora Guillotina nie stała się bowiem zwykłym narzędziem wymierzania kary śmierci. Rewolucyjne państwo uznało ją za instrument uprawiania polityki i wprowadziło w sferę życia codziennego. To, co zdumiewa w książce Daniela Geroulda, to właśnie opis tego życia, upływającego najdosłowniej w cieniu szafotu.

Wstrząsające obrazy terroru, denuncjacji, rządów szumowin, wyniesionych na chwilę do władzy przez rewolucyjną falę, okrutne sceny zbiorowych egzekucji, po których strugi krwi spływały do rynsztoków – wszystko to należy do klasyki gatunku i nikt z piszących o tych czasach nie może pominąć tej ciemnej strony rewolucji. Nie na tym jednak skupia się uwaga autora *Historii gilotyny*. Odtwarzając z niebywałą błyskotliwością techniczną ewolucję maszyny uśmiercania, szczególnie katowskiego fachu czy wreszcie teatralny, bo przecież reżyserowany przez oprawców, przebieg tysięcznych egzekucji, Gerould skupia się przede wszystkim na tym, jakie psychiczne i duchowe konsekwencje miało życie Francuzów pod nieustanną presją gilotyny. Nie tylko groza, potępienie – lub z drugiej strony pełna zachwyty apologia dla wynalazku doktora Guillotina, były produktem tej epoki. Folklor i przemysł zabawkarski, rozrywki towarzyskie, literatura piękna, nawet erotyzm nie były wolne od wyobrażeń, symboli i fetyszy zrodzonych w nieustannym stuku spadającego ostrza.

W znacznie wyższym stopniu przeraża jednak fascynacja śmiercią, jakiej ulegli wówczas niemal wszyscy. Publiczny i ma-

sowy aspekt uśmiercania, jego mechaniczna spektakularność owocowały niezdrowym stanem podniecenia. Jedną z najbardziej odrażających praktyk tej epoki było badanie ściętych głów. Czy zachowują one świadomość? Jak długo? Czy spoczywając w koszu, czują jeszcze ból? Uczni pisali rzeczowe raporty dla Akademii i deputowanych, a lud powtarzał niezliczone makabryczne legendy. Niewiele wniosło to do nauki, owszem, zdarzało się, że ścięta głowa mrugnęła okiem na dźwięk własnego imienia lub wystawiła język po spoliczkowaniu. W istocie gilotyńska, która zapewnić miała skazańcowi bezbolesną, „humanitarną” śmierć, stała się zaprzeczeniem ideałów rewolucji, poniewierając ludzką godność w stopniu dotychczas niespotykanym.

W książce Daniela Geroulda nie pada nazwisko profesora Spannera. Tego, który w budynkach gdańskiej Akademii Praktycznej Medycyny prowadził produkcję mydła z ludzkich włosów. Zapewne znał historię francuskiej rewolucji i wiedział, że peruki produkowano wówczas z włosów ofiar gilotyny.

Sprawiedliwość

Dokumentalny film BBC o japońskim cesarzu Hirohito należy bez wątplenia do arcydzieł gatunku i jako taki mógłby z powodzeniem otrzymać Oscara. Angielska szkoła dokumentu – rzeczowa, powściągliwa w komentarzu, oparta zawsze na bogactwie zgromadzonego materiału – potrafi ująć widza nie tylko sprawnością warsztatową, ale też czymś, co dziś stanowi w mediach wartość dość mało popularną, a mianowicie dążeniem do prawdy. Ta staroświecka kategoria okazuje się jednak niezwykle przydatna, zwłaszcza gdy temat jest tak egzotyczny

jak osoba japońskiego cesarza, a równocześnie tak drastyczny ze względu na problem dwudziestowiecznego ludobójstwa i rozliczenia zbrodni wojennych.

Hirohito, urodzony na początku naszego stulecia, w 1901 roku, obejmując obejmując dwadzieścia pięć lat później tron cesarstwa, za hasło i dewizę swego panowania obrał słowo *Showa*, co znaczy „światły pokój”. Jak na ironię, bo przecież jego panowanie i jego polityka doprowadziły Japończyków najpierw do wojny, potem do popełnienia masowych zbrodni, a wreszcie do bezprzykładnej klęski i ruiny kraju, czego ponurym *memento* stał się atomowy grzyb nad Hiroszimą i Nagasaki. Sekwencja po sekwencji film pokazuje tradycję, narastanie, konsolidację, a wreszcie apogeum mitu o boskiej prowienencji cesarza, będącej źródłem jego władzy absolutnej. W XX wieku żaden monarcha ani dyktator, zaczynając od Mussoliniego, poprzez Hitlera i Stalina, a na Kadafim czy Saddamie kończąc, nie posiadał władzy tak rozległej, tak niepodważalnie akceptowanej i tak zsakralizowanej jak właśnie Hirohito. W języku poezji haiku można by to wyrazić lapidarnie, że cesarz był duszą swojego narodu, ten zaś ciałem, któremu niepotrzebne były słowne nakazy i komendy, albowiem dusza nie potrzebuje słów, by z własnym ciałem się komunikować. Dusza bezsłownie objawia swą wolę, a ciało w lot uznaje ją za swoją...

Mit Hirohito posłużył jednak nie tylko Japończykom. Swoiście wykorzystali go Amerykanie. Uznali bowiem, że zbudowanie bezpiecznej, stabilnej demokracji w powojennej Japonii nie może się udać, jeśli cesarz – jak zwykły śmiertelnik – stanie przed sądem i odpowie za zbrodnie swojej armii. Dlatego sądzono i skazano generałów. Jediną karą, jaka spotkała zaś cesarza, było ograniczenie jego władzy do roli monarchy konstytucyjnego – jak w Anglii czy Holandii. Amerykanie sami przyczynili się do powstania „mitu

oczyszczającego”, wedle którego cesarz – jako osoba dla Japończyków boska – był w swoim pałacu, za zasłonami tradycji, etykiety, ceremoniału, odseparowany od polityki i realnych spraw państwa, pozostając kimś w rodzaju świętego, nieruchawego symbolu. Tymczasem było zupełnie inaczej: cesarz znajdował się w samym centrum spraw i żaden z generałów nie mógł kichnąć bez jego zezwolenia. Film pokazuje tę prawdę konsekwentnie, śledząc rok po roku narastanie japońskiego militarizmu, szowinizmu, wreszcie doktryny o rasowej i kulturowej wyższości Japończyków, których spoiwem i sprężyną była osoba Hirohito. Film ujawnia też prawdę bardziej gorzką i znacznie trudniejszą do przełknięcia: Amerykanie wiedzieli o tym od początku, a tylko ich pragmatyzm i polityczne kalkulacje pozwoliły ocalić od stryczka jednego z największych zbrodniarzy XX wieku, władcę „światłego pokoju”, cesarza Hirohito.

Podobnie nikczemny kompromis miał miejsce w Europie podczas procesu norymberskiego. Na ławie oskarżonych zasiędlili wprawdzie narodowosocjalistyczni zbrodniarze, ale wśród oskarżycieli nie zabrakło prokuratorów reprezentujących państwo nie mniej zbrodnicze niż hitlerowskie Niemcy. Dlatego w Norymberdze wyłączono sprawę Katynia, a nad sowieckimi zbrodniami rozciągnięto zasłonę milczenia. Podobnie jak w Japonii zadecydowała pragmatyka: Rosja była zbyt silna, jej wkład w zwycięstwo rzeczywiście ogromny, a jej armie zajmowały zbyt dużą część Europy, by klócić się o sprawę tak podrzędną jak powszechna – czyli dla wszystkich odmierzana tą samą ludzką miarą – sprawiedliwość.

Historia nigdy nie była jej domeną. Z tego smutnego faktu można najpierw wyciągnąć wniosek nihilistyczny: skoro tak właśnie jest, nie warto zatem zakłócać politycznej równowagi nierealistycznymi postulatami, by wszystkich i zawsze osądzać

jedną miarą, sprawiedliwie. Drugi wniosek ma charakter historiozoficzny: jeżeli w tego typu sprawach dopuści się manipulacji, procesy, o których była mowa, nie będą w historii ludzkości ostatnimi, a przecież takimi miały być w intencjach wspólnoty międzynarodowej. Za symboliczną ilustrację tego stanu rzeczy może posłużyć przykład dzisiejszych stolic: Moskwy i Berlina. Jeżeli w tym ostatnim, grupa demonstrantów przemaszeruje ulicami z portretem Hitlera czy swastyką, natychmiast zostanie aresztowana. Demokratyczne państwo niemieckie, całkiem słusznie, uznaje te symbole za coś, co nie mieści się w porządku ludzkim. W Moskwie natomiast widok demonstrantów z portretami Stalina i Lenina uchodzi za coś, co mieści się w porządku ludzkim, demokratycznym i rosyjskim. Co więcej – miliony telewidzów na całym świecie zdają się przyjmować ten fakt za naturalny składnik rosyjskiej sceny politycznej, zupełnie tak, jakby Stalin był nikomu nieznanym hodowcą gołębi, a Lenin miłośnikiem parlamentarnych debat z opozycją.

Tymczasem poczucie sprawiedliwości, zwyczajnej i elementarnej, każe być w opozycji do tego rodzaju dwumyślenia. Nawet jeśli historia dostarcza nieustannie przykładów gorszących i cynicznych. W wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” prokurator Daniuk, który domagał się w roku 1984 kary śmierci dla pułkownika Kuklińskiego, dziś podtrzymuje swe zarzuty, cytując kodeks karny, gdzie napisano, że za udzielanie obcemu wywiadowi informacji grozi kara od 5 lat więzienia do kary śmierci. Daniuk podkreśla, że za swoją działalność Kukliński otrzymywał pieniądze. Warto byłoby spytać prokuratora Daniuka, co sądzi o tych polskich politykach, którzy przez długie lata, udzielali wszelkich możliwych informacji: politycznych, gospodarczych i militarnych, nie szefom obcych wywiadów, lecz głowom obcych państw. I brali znacznie wyższe pensje niż pułkownik Kukliński.

Fuck Homer!

To wulgarne hasło, które w wolnym, nieco łagodzącym tłumaczeniu brzmi „Pieprzę Homera”, nie zostało – jak można by sądzić – zaczerpnięte z ulicznych graffiti, szpecących miasta Starego i Nowego Świata. Ujrzałem je na fotografii z prywatnej kolekcji profesora C., który do dziś nie może zapomnieć tamtych wydarzeń: studenckich strajków, szarżującej policji, pikiet i protestów, jakie w roku sześćdziesiątym dziewiątym przetoczyły się przez większość amerykańskich uniwersytetów. Dlaczego spośród wielu zdjęć zapamiętałem akurat to, na którym młoda, sympatyczna dziewczyna wyraża za pomocą niesionej planszy swój negatywny stosunek do Homera? Bo było to niezwykłe. W sytuacji gdy studenci domagali się równouprawnienia rasowego, prawa do współzarządzania uczelniami, reformy programów, swobody seksualnej, dostępu do funduszy, prawdziwej demokracji, a wreszcie zmiany mentalności całego społeczeństwa – ktoś taki jak blondynka z fotografii, potępiający akurat Homera, mógł wydać się dziwacznie groteskowy. Wokół roило się od haseł obrazoburczych, poważnych, politycznych: protestowano przeciwko broni atomowej, wojnie w Wietnamie, dyskryminacji kolorowych, tłumieniu seksu i swobody, a tutaj starożytny poeta – nie wiedzieć czemu winny. Pytanie o Homera nie jest jednakże absurdalne, jeśli spojrzymy na tamte gorące wydarzenia z perspektywy minionych dwudziestu ośmiu lat i trwałych zmian, jakie studencka rewolta spowodowała w amerykańskim – i nie tylko amerykańskim – życiu. Rozmowę z profesorem C., jego kolekcję fotografii i tamtą dziewczynę, która nienawidziła Homera, przypomniałem sobie, czytając głośną książkę Allana Blooma, wydaną w Polsce pod niewiele znaczącym tytułem *Umysł zamknięty*.

Dopiero jej podtytuł uchyla niewtajemniczonym rąbka tajemnicy. Jest wprawdzie nieco długi, lecz doskonale oddaje treść i polemiczną pasję autora, dlatego przytoczę go w całości. *Umysł zamknięty* jest rzeczą o tym, jak amerykańskie szkolnictwo wyższe zawiadło demokrację i zubożyło dusze dzisiejszych studentów. To mocne słowa, podobnie jak mocna, a może nawet bezlitosna, jest w całej książce argumentacja autora. Mówiąc lapidarnie, pokazuje nam on, że Ameryka nie jest zdolna do rozwiązywania swych najtrudniejszych problemów, ponieważ amerykański system edukacji zawiadł na całej linii. Przyczyn tego stanu rzeczy nie upatruje Bloom wyłącznie w postawach młodzieży, lecz raczej w przemianach cywilizacyjnych i mentalnych całego społeczeństwa. Narcyzm, nihilizm, relatywizm, hedonizm, konsumpcjonizm – te słowa brzmią jak hasła ze słownika nawiedzonego kaznodziei, który nie znosi liberalnej demokracji, lecz w ustach konserwatywnego profesora nabierają one zupełnie innego wymiaru: nie są oskarżeniem czy etykietą przyszpilaną przeciwnikowi, lecz opisem stanu rzeczy, efektu długotrwałych procesów, które zmieniły społeczeństwo obywatelskiej wspólnoty w zbiorowisko indywidualistów i grup, niepotrafiących już działać w imię jakichkolwiek spójnych i racjonalnie uzasadnionych wartości.

Jak nazwać ten proces? Ucieczką od rozumu? Obniżeniem poprzeczki wymagań? Przejściem od cywilizacji wzajemnych zobowiązań do cywilizacji psychodelicznych doznań i łatwych satysfakcji? Wypłukiwaniem tradycji? Pomieszczeniem pojęć i języków? Gdyby dziewczyna z fotografii mogła dzisiaj do nas przemówić, zapewne dowiedzielibyśmy się, że wersyfikacja, jakiej używał Homer, jest nie tylko przestarzała, ale wyraża przede wszystkim ducha imperialistycznej władzy mężczyzn nad kobietami. Ponadto poeta utwierdza zabobonną wiarę we

władzę bogów nad człowiekiem, pochwała niewolnictwo, małżeńską wierność, kapitalizm, rządy starców, dyktat tradycji, wolny rynek, burżuazyjną sztukę, wojnę w Wietnamie, muzykę symfoniczną, zakaz aborcji, tłumienie libido, wyzysk Trzeciego Świata oraz pozycję finansjery z Wall Street. Czy wobec powyższego zasadnym jest, by taki autor figurował na obowiązkowej liście lektur? Czy to się godzi? Należy wreszcie złamać tyranię uniwersytetu, który – Homera honorując – n a r z u c a młodym ludziom wartości przestarzałe, tłumiące osobowość i kreatywny rozwój jednostki. Tak, młodzi ludzie powinni wziąć sprawy w swoje ręce i żądać, by zamiast Homera komentowano na zajęciach inne książki, na przykład powieść kobiecą o doświadczeniu masturbacji lub mity afrykańskie, które przecież nie są gorsze od greckich...

Młoda dziewczyna, wznosząca hasło „Fuck Homer!”, oskarżająca profesora C. o wszystkie możliwe grzechy tego świata, pragnie wolności, nieskrępowanego prawa do własnej ekspresji i wyborów. Nikt nie był w stanie jej przekonać, że w takim razie powinna zrezygnować z uniwersytetu. I że hasła Herberta Marcusego, które powtarza na wszystkich demonstracjach, to głupia, tania, beznadziejnie płytka popłuczyna po marksizmie. Uniwersytet, zamiast zrezygnować z takich słuchaczy, zrezygnował z Homera. Zmieniono program nauczania, represyjny profesor literatury (pobity na wiecu przez studentów) stracił pracę, a nowy wykładowca – przyjazny, otwarty i na luzie – w niczym już nie krępował swobodnej kreatywności swych słuchaczy.

Allan Bloom, opisując podobne zjawiska, nie waha się użyć najostrożniejszych określeń. Co więcej, jego porównanie lewicującej młodzieży amerykańskiej z roku sześćdziesiątego dziewiątego z działaczami nazistowskimi z lat trzydziestych, którzy w podobny sposób tyranizowali niemieckie uniwersytety i pro-

fesorów, może wydawać się szokujące, ale nie bezzasadne. W obu wypadkach nastąpił, zdaniem Blooma, „ten sam demontaż struktury racjonalnych dociekań”, a miejsce sokratejskiego dialogu – owej istoty uniwersytetu – zajęły „nowe wartości”. Niewielu było też takich, którzy ośmielili się przeciwstawić fali ekstatycznego barbarzyństwa. „Profesorowie – stwierdza ze smutkiem Bloom – depozytariusze naszych najlepszych tradycji i najwyższych aspiracji intelektualnych, płaszczyli się przed hołotą...” Podobnie jak Martin Heidegger, który w roku trzydziestym trzecim w swoim rektorskim przemówieniu stwierdził: „czas na decyzje minął, decyzja została już podjęta przez najmłodsze siły narodu niemieckiego”.

Najmłodsza siła amerykańskiego narodu, wyposażona co prawda w inną ideologię, dokonała dzieła równie niszczycielskiego. Taka jest jedna z głównych tez *Umysłu zamkniętego*. Muzyka rockowa, słabe i silne narkotyki, swobodny seks, relatywizm posunięty do całkowitej skrajności, odrzucenie europejskich tradycji i płytką fascynacją innymi kulturami – oto zdaniem Blooma pokłosie tamtej rewolucji. Ameryka umiera – konkluduje autor – ponieważ zasady, na których ją budowano, zostały niemal powszechnie i od podstaw zakwestionowane. Miejsce apollinijskiego rozumu zajęło dionizyjskie upojenie. Racjonalizm oświeceniowej konstytucji ustąpił religii Freuda i Nietzschego – poprzykrzawanych na miarę klasy średniej i młodzieży. Irytujące? „Wielu czytelników tej książki – napisał Leszek Kołakowski – będzie oburzonych, ale nikogo nie pozostawi ona obojętnym”. Szacunek dla Homera nie jest tu bez znaczenia.

Ćmaga, potok, ostryga

W siódmym numerze „Kultury” z roku 1932, tygodnika wydawanego w Warszawie, czytamy: „brać literacka od Horacego do Chestertona nigdy nie wylewała i nie wylewa za kołnierz. Nie gardzi trunkowością Boy, Goetel, Grzymała-Siedlecki, w przyjacielskiej kompanii Nowaczyński pobija zwycięsko każdy rekord wysuszania butelek...” Pośród wyróżnionych pisarzy nie pada nazwisko Tuwima, może dlatego, że należał do innej, nieco młodszej generacji i jako skamandryta nie pasował do nobliwego towarzystwa? A przecież jego osiągnięcia – praktyczne, poetyckie, wreszcie teoretyczne – w dziedzinie określanej mianem trunkowości należą niewątpliwie do wybitnych, nie tylko w tamtej epoce. W tomie *Sokrates tańczący* wydanym przez Mortkowicza w roku 1924, dwa wiersze Tuwima poświęcone wódce zwracają uwagę czytelnika z kilku co najmniej powodów. Zarówno *Pijaństwo*, jak *Alkohol* to nie tylko świetne, obyczajowe obrazy z międzywojennej knajpy, gdzie „przez drzwi otwierane wpada ulica”, a „banalne walce kawiarniane urastają w tragiczne psalmodie”, ale też zapis zapadania w alkoholową toń – szarą, beznadziejną, niszczącą. Tematem obu wierszy nie jest wszak biesiadny dzban wina, radośnie rozlewającego pospołu z przyjaciółmi, ale woda, knajpa i samotność pośród sentymentalnej tandety. Klimat „zgrozy głupstw pogmatwanych” i „czarnego wichru porywającego po którejs tam szklance” odnajdziemy w wielu późniejszych utworach Tuwima, potrafiącego swoje własne, jak się wydaje, głębokie doświadczenie alkoholu wykorzystać nie tylko w wierszach.

W roku 1933 na posiedzeniu Towarzystwa Naukowego Warszawskiego profesor Bronisław Wieczorkiewicz wygłosił referat o *Polskim słowniku pijackim* Juliana Tuwima, dziele pozostają-

cym wówczas w rękopisie i nadal przez autora uzupełnianym. Dwa lata później Towarzystwo Wydawnicze Rój opublikowało tę pracę, łącznie z antologią polskich utworów poświęconych trunkowości, pod tytułem *Polski słownik pijacki i antologia bachiczna*, z ilustracjami Feliksa Topolskiego. Numerowany egzemplarz tego dzieła (227) wpadł mi w ręce w jednym z sopockich antykwariatów. Jego pierwszą lekturę wspominam z ogromnym sentymentem, ponieważ było to w epoce generałów, którzy nie tylko zajmowali się zwalczaniem imperializmu amerykańskiego (Jaruzelski), nie tylko ładem i porządkiem (Kiszczak), lecz przede wszystkim walką o zdrowie społeczeństwa (generałowie Żyto, Baryła i Oliwa), co przejawiało się racjonowaniem alkoholu (kartki) i zakazem jego sprzedaży przed godziną trzynastą na terenie całego kraju – od Ustrzyk Górnych aż po Hel.

Z jaką więc rzetelną przyjemnością można było wówczas czytać słowa Tuwima o tym, że „wolny, 30 milionowy naród, posiadający, skromnie licząc, pięć milionów zawołanych pijaków, powinien mieć jakiś leksykon, jakąś encyklopedję, w której zabłyśłyby świetności mowy ojczystej, w kieliszku odbite”. Z jak niekłamana satysfakcją (zapominając choć na chwilę nazwisk generałów) można było wyruszyć z poetą na poszukiwanie owych świetności mowy ojczystej, pomieszczonych w rozdziałach: „Wódka w ogóle”, „Wódka w zależności od smaku, mocy, zalet, wad, sposobów przyrządzania etc...”, „Pić, wypić”, „Pijatyka”, „Pijak”, „Pogwarki, okrzyki pijackie”, „Miary i naczynia”, „Ceremonie”, „Stan i stopień trzeźwości”, „Napoje różne” czy wreszcie „Varia”. Rzecz jasna wiele sformułowań odnotowanych w słowniku przetrwało w formie niezmienionej po dziś dzień: berbelucha, paliwo czy ochlaptus nie wymagają przypisów aktualizujących, ale już ćmaga (tak zwano gorzałkę we Lwowie), chrupnąć sroczkę (wypić dużo tęgim haustem) czy

labać (to znaczy pić, jak zapisano w Sprawozdaniu Komisji Językowej Akademii Umiejętności w Krakowie) zmuszają, by sięgnąć do wykazu źródeł drukowanych, które autor sumiennie pomieścił na końcu publikacji.

Gdyby współczesny barman posiadał egzemplarz *Słownika*, moglibyśmy bez ryzyka zamówić szrubkę, jodynę, banię, śmierdziuszkę, trociny, szmer, trzęsionkę, pacierz lub mykwę. Ci, którzy wolą wino, musieliby uważać, aby im nie podano bzdęgi, piżuli albo wańki (kolejno – podle, słabe i spleśniałe wino), lecz popiół – to jest wino stare. Ci, którzy lubią (jak Wieniczka Jerofiejew) ekstrawagancje, mogliby żądać czorta, czyli samogonu zaprawionego goździkami, cynamonem, miodem, sokiem i tabaką, trunku – jak pisze Tuwim – „niezwykle popularnego na naszych kresach”. Złożywszy zamówienie, musielibyśmy ustalić, jak pić. Może nie komplikować, to znaczy nie absorbować małymi kieliszkami? Pod język – czyli bez zakąski? A może linią, to jest przez kilka dni, czy też z przecinkami – jak skąpi Galicjanie? Czym wreszcie pić? Bernardynem? Angielką? Fifiką? Kubusiem? Smarkaczem? Gąską? Osramówką? Tulipaniem? Po rozpatrzeniu tych ważnych kwestii moglibyśmy wreszcie ciąć, alembikować, piznać, golić, grdykać, trąbić, lutować, grzmocić, dziobnąć, brukować, truć Iwana, tutkać, blachę przewracać, buzi dawać, doić, machać, wznosząc przy tym rozmaite okrzyki: od pospolitych, jak Aleluja, cyk, bach bach, gruch, jazda, tiapniem, poprzez erudycyjne – łytus benedyktus, cropez vous czy wreszcie z witkacowska brzmiące – rypen dupen szturken! Czynność naszą moglibyśmy nazwać łykawką, gulą, szmirą, cycem, wylewem etc. etc..., dopóki barman nie wyrzuciłby nas z lokalu, nazywając ze staropolska kufą, dybidzbanem, smoleniem lub współcześnie – grdyką, bibułą, trębaczem, bambusem albo potokiem. Ci, którzy ruszyliby na zapój

(ciąg, kilkudniówka), aby wybielać się dalej, zapewne zakupiliby na odchodnym fujarkę, czyli najmniejszą flaszeczkę wódki, udający się zaś na zasłużony odpoczynek, następnego dnia rano przyrzadziliby ostrą polską, czyli żółtko i pół cytryny zmieszane ze szczyptą soli i pieprzu – wedle Tuwima „niezawodne antidotum po pijaństwie”.

Nie bez słusznej dumy poeta stwierdza we wstępie do *Słownika*, że jego praca, „gdyby wszystko skrupulatnie policzyć”, dochodzi do dwóch tysięcy pozycji, podczas gdy petersburskie opracowanie P. Tichonowa obejmuje zaledwie sto terminów rosyjskich, a prace niemieckie (Lichtenberg, Bauer, Schrader) nie wychodzą ponad pół setki określeń. Zapewne niejedna profesorska głowa wytknęłaby dzisiaj Tuwimowi błędy metodologiczne, zarówno w pozyskiwaniu źródeł, jak w ich selekcji i klasyfikacji. Ale poetę ratuje poczucie humoru, widoczne zwłaszcza tam, gdzie podaje hasło współczesne, powołując się na konkretnego informatora. Któż z nas odważyłby się dzisiaj zamówić w restauracji pana Kokoszki katolicką charakteryzowaną? Tymczasem takiej wódki – podaje za Stanisławem Żeleńskim Julian Tuwim – zażądał kiedyś gość w warszawskim szynku „Pod Karaskiem”: katolickiej – bo to była niedziela, charakteryzowanej – „bo z kroplami...”

Tarcza, miecz, polisa

W czasach, kiedy o kasetach wideo z filmowymi przebojami nie śniło się jeszcze nikomu, w czasach, kiedy do kina chodziło się tak jak do kościoła – mniej więcej raz w tygodniu – w tych więc czasach, zwanych enigmatycznie PRL-em, reklama posiadała

wszelkie cechy sztuki czystej i abstrakcyjnej, a więc takiej, którą znamionuje pełna bezinteresowność. Może dlatego ówczesni potentaci socjalistycznego rynku za odpowiednie miejsce do swojej działalności uznali sale kinowe? Po latach wspominam tamten rytuał nie bez sentymentu: gdy ucichł już głos lektora Kroniki Filmowej, podsumowujący dożynki lub kolejny etap budowy Portu Północnego, wyświetlano tak zwany dodatek; czasami trafiały się tu rarytasy w postaci niezłego dokumentu, lecz najbardziej ekscytującym momentem przed wyświetleniem fabuły była właśnie reklama. „Sklepy WSS Społem Twoimi sklepami” głosił napis na nieruchomej planszy, co wywoływało pomruk rozbawienia wśród publiki, skazanej wszak – niczym na dożywocie – na korzystanie z usług handlu państwowego. Jeszcze głośniejszy aplauz wywoływała reklama sygnowana bodaj przez Centralę Zakładów Rybnych: kreskówka przedstawiająca bliżej nieokreślony asortyment połowowy zaopatrzona była w czytane przez lektora hasło – „ryba tego Ci nie powie, ale wzmacnia Twoje zdrowie”. Cóż mogli myśleć o takim sloganie obywatele państwa, które szczyściło się pięćsetkilometrową granicą morską, szóstą co do wielkości flotą rybacką, potężnym przemysłem stoczniovym, w którym to jednak państwie kupienie świeżej ryby graniczyło niekiedy z cudem? Rzeczywistość – nie tylko sali kinowej – przypominała najświetniejsze opowiadania Sławomira Mrożka, także wówczas, gdy przed upragnionym filmem na ekranie pojawiał się rzymski legionista i odrzucając w chrzeście swojej zbroi tarczę, a następnie miecz, wygłaszał buńczucznie formułę: „ani tarczy, ani miecza, PZU Cię ubezpiecza!”. Ten zgrabny wierszyk przypominam sobie, kiedy nadchodzi pora płacenia obowiązkowej składki OC za samochód: co roku nieustępliwie wyższej, i to niezależnie od wybranej firmy, zupełnie tak, jakby monopolistyczny upiór przeszłości chichotał

z naszej naiwnej wiary w zbawienne skutki konkurencji. W mojej prywatnej kolekcji surrealistycznych zabytków językowych minionej epoki ów reklamowy slogan PZU znajduje się na wysokiej pozycji, choć nie był w stanie zdystansować sentencji porucznika D. (Studium Wojskowe Uniwersytetu Gdańskiego): „jak student nie zabezpieczy odpowiedniej ilości w bunkrze, to tu się rodzi wręcz tragedia, bo trzeba bieżącą wodę ze słoika czerpać...”, lub zdania majora K. (jak wyżej): „jak student opuści zajęcia, to może je zaliczyć przez odbyt w równoległej grupie, ale tylko za zgodą przełożonych”.

Minęła epoka, moi wojskowi instruktorzy dawno przeszli na emeryturę, zrezygnowałem z usług PZU w dziedzinie ubezpieczeń komunikacyjnych, lecz duch groteski znowu przypomniał mi tę firmę, w nowej, zaskakującej formie. Otóż pewien mój znajomy, pasjonat Internetu, odnalazł w tym diabelskim pannotikum wypisy z powypadkowych raportów, które kierowcy sporządzają dla swego ubezpieczyciela. Już pierwsze zdanie antologii tchnie poetycką inwencją w najlepszym stylu francuskich nadrealistów: „Wracając do domu, podjechałem do złego domu i zderzyłem się z drzewem, którego nie mam...” – oświadcza poszkodowany, zapewne nie mniej zdumiony niż samo drzewo. Inny sprawca w swym oświadczeniu nawiązuje niewątpliwie do języka prawniczego, gdy stwierdza: „Mój samochód był legalnie zaparkowany, kiedy wjechał w inny pojazd”. Podobną sprzeczność wyraża równie smaczne zdanie: „zderzyłem się ze stojącą ciężarówką, nadjeżdżającą z drugiej strony”. Ciężarówki to rzeczywiście straszne potwory, widać to w kolejnym oświadczeniu: „ciężarówka cofnęła się przez szybę prosto w twarz mojej żony...” Ale czy tylko ciężarówki bywają na naszych drogach straszne? „Budka telefoniczna zbliżała się, kiedy próbowałem zjechać jej z drogi, uderzyła w mój pojazd”. Na

szczęście nie wszystkie budki posiadają takie zdumiewające zdolności, czasami to właśnie one padają ofiarą zmotoryzowanych, na przykład ich wrażliwości ekologicznej, czego przykładem jest kolejne zeznanie: „nie chcąc zabić muchy, wjechałem w budkę telefoniczną”. Bywają też kierowcy mistycy, którzy piszą: „niewidzialny samochód nadjechał znikąd, uderzył w mój i zniknął...”; kierowcy hazardziści – „byłem pewien, że ten stary człowiek nie dotrze na drugą stronę ulicy, kiedy go stuknąłem...”; kierowcy sadyści – „przechodzień nie miał żadnego pomysłu którędy uciekać, więc go stuknąłem”; kompletni naiwniacy – „inny samochód zderzył się z moim, nie ostrzegając o swoich zamiarach”. Ale zdarzają się także heroiczni piesi, o czym świadczy nie mniej zdumiewający opis: „przechodzień uderzył we mnie i przeszedł pod moim samochodem”, jak też heroiczni kierowcy, którzy do ostatniej chwili walczą z przeznaczeniem – „facet był na całej drodze i wiele razy próbowałem go wyminąć, zanim uderzyłem w niego...”

Zdenerwowanie, chęć umniejszenia własnej winy i zwykła nieporadność językowa stanowią bez wątpienia genezę tego rodzaju literatury. Powypadkowej antologii zdaje się patronować bardziej duch Gogola niżli rzymskiego legionisty: nie powinniśmy bowiem pytać, kto nas ubezpiecza, lecz raczej – z czego się śmiejemy?

Pani Steinbach do sztambucha

Kamienica, w której mieszkam, zbudowana została przed pierwszą wojną światową w dzielnicy Gdańska zwanej od stuleci po polsku Wrzeszczem, a po niemiecku Langfuhr, czyli

Długi Traktem. Dosłownie dwa kroki stąd biegnie główna arteria miasta, łącząca Gdańsk z Oliwą, a dalej – z Sopotem i Gdynią. Dziś na tym odcinku nosi ona nazwę alei Grunwaldzkiej, w czasach pruskich oraz Wolnego Miasta nazywała się Hauptstrasse, a po napaści Niemiec na Polskę i włączeniu Gdańska do Trzeciej Rzeszy przybrała wdzięczną nazwę patrona tego przedsięwzięcia – Adolfa Hitlera. To właśnie tędy w marcu 1793 roku toczył się powóz Henryka Florisa Schopenhauera, gdy wraz z żoną Joanną i synem Arturem – po zagarnięciu Gdańska przez Prusy – udawał się na emigrację. Kiedy codziennie wychodzę na Grunwaldzką, nie myślę jednak o Adolfie Hitlerze ani Joannie Schopenhauer, która w swoich pamiętnikach nazywała króla Prus wampirem. Przystając na rogu Sobótki i Grunwaldzkiej, zazwyczaj przypominam sobie dwie fotografie tej ulicy, wykonane w różnych epokach: pierwsza pochodzi z roku 1914, drugą zrobiono trzydzieści jeden lat później, a więc w roku 1945.

Hauptstrasse z roku 1914 jest pełną urody i zieleni aleją, z biegnącą pośrodku linią elektrycznego tramwaju oraz pierzejami secesyjnych kamienic, gdzie królują przepiękne loggie, wykusze, wieżyczki i portale. W centrum alei widzimy dwa zatrzymane składy tramwajowe; pasażerowie wyglądają przez uchylone drzwi i okna wozów, chciwi widowiska, podobnie jak szpaler gapiów stojący wzdłuż ulicy – na brukowanej jezdni i chodnikach. Jest na co patrzeć: długa i szeroka kolumna rosyjskich jeńców, wziętych do niewoli w bitwie pod Tannenbergiem, maszeruje przez centrum Wrzeszcza, poprzedzana konną eskortą żółtych huzarów, zwanych też huzarami śmierci – od emblematu trupich czaszek na ich wysokich czakach. Mieszkańcy nie sprawiają wrażenia fanatycznego tłumu – dama w eleganckim kapeluszu, pan w meloniku, urzędnik w magistrackiej czapce,

służąca w narzuconej na ramiona chuście czy robociarz w drelichowej bluzie przyglądają się wydarzeniu z zainteresowaniem, ale bez oznak entuzjazmu. Twarze Rosjan są zmęczone, poważne, lecz próżno szukać na nich przerażenia: wojna dopiero się zaczęła, cóż, po przegranej bitwie idą do niewoli, którą spędzą w stajniach, barakach i magazynach. W roku 1914 nikt nie myśli jeszcze o masowych dołach lasowanych wapnem, wielostrunnych szubienicach czy komorach gazowych – te wynalazki poczekać muszą jeszcze kilkadziesiąt lat; tak, pokonani w 1914 roku Rosjanie traktowani są jak ludzie, zapewne niewielu z nich słyszało o towarzyszu Leninie, zapewne żaden z nich nie słyszał nic o kapralu Hitlerze, zapewne byliby zdumieni, gdyby im powiedziano, że przy tej samej ulicy, którą teraz maszerują, za lat kilkadziesiąt profesor tutejszej Akademii Praktycznej Medycyny wyrabiać będzie mydło ze zwłok skazańców, których pod dostatkiem na każde telefoniczne zamówienie dostarczą więzienia i obozy.

Adolf-Hitler-Strasse w roku czterdziestym piątym przedstawia znacznie smutniejszy obraz. Nie tylko dlatego, że na fotografii widzimy schyłek zimy, wilgotną pluchę oraz spalone kamienice z oczodołami pustych okien. W roku czterdziestym piątym główną ulicą Wrzeszcza przeciąga długa i szeroka kolumna jeńców niemieckich: są to wyłącznie mężczyźni w wieku poborowym, ubrani po cywilnemu. Nie wiadomo, dokąd prowadzi ich czerwonoarmista o wyraźnych, kałmuckich rysach: zapewne wielu jeńców trafi do syberyjskich kopalń, wielu umrze w transporcie, może część z nich będzie miała szczęście i zostanie deportowana do którejś z okupacyjnych stref Niemiec. Niewątpliwie ich los jest gorzki, zapewne zdają sobie sprawę, że bezpowrotnie utracili swoją małą ojczyznę, zapewne też niektórzy z nich mają odwagę uświadomić sobie, dlaczego

tak się stało. O czym mogli myśleć, maszerując po raz ostatni główną ulicą Wrzeszcza? Być może o napisach „Polakom i psom wstęp wzbroniony” albo „Przybądź maju, uwolnij nas od Żydów”, które począwszy od trzydziestego trzeciego roku, pojawiały się na tutejszych murach, witrynach i świątyniach? O getcie przy ulicy Mysiej? O dołach w Piaśnicy, gdzie wrzucono do piachu niemal całą polską inteligencję z Pomorza: księży, nauczycieli, lekarzy, adwokatów, w liczbie około dziesięciu tysięcy? O listonoszach rozstrzelanych na Zaspie? Czy o zakładzie profesora Spannera? Być może nie chcieli o tym myśleć, zapewne nie mogli też przewidywać, że za pięćdziesiąt parę lat Polska stanie się potencjalnym sojusznikiem Niemiec w strukturze zwanej NATO i że korzystając z tego faktu, przewodnicząca Związku Wypędzonych, pani Erika Steinbach, oskarży rządy Czech i Polski o łamanie praw człowieka, ponieważ rządy te nie zechcą dyskutować o wypłaceniu odszkodowań i zwrocie mienia wypędzonym.

Nie żywię wrogich uczuć wobec pani Steinbach; w telewizyjnych migawkach stojąca obok kanclerza Kohla kobieta wygląda na sympatyczną, pełną wigoru i zrównoważoną, a jednak, spacerując po ulicy Grunwaldzkiej we Wrzeszczu, pragnąłbym wpisać kilka złotych myśli do jej sztambucha. Po pierwsze, że zacieranie granicy pomiędzy skutkiem a przyczyną jest typowym myśleniem utopijnym, które Europie i samym Niemcom przyniosło w przeszłości tyle nieszczęść. Po drugie, jeśli w imieniu wypędzonych zgłasza tego rodzaju roszczenia, powinna skierować je pod właściwym adresem: o zmianie granic Polski, podobnie jak o przesiedleniach milionów Niemców i Polaków, zdecydowała trójca mocarstw zwycięskiej koalicji i fakt ten – jakkolwiek smutny dla Polaków (nie mieli nic do powiedzenia) – należy respektować, chyba że nie przyjmuje się do wia-

domości faktów. Po trzecie wreszcie, w stosunkach między ludźmi powinno istnieć poczucie choćby minimum dobrego smaku i przyzwoitości: nie można bowiem – niczym postać rodem z Dostojewskiego – najpierw napaść na dom sąsiada, zgwałcić jego żonę, następnie zamordować kilkoro dzieci, po czym domagać się jeszcze zadośćuczynienia, ponieważ w trakcie i w wyniku tych czynności poniosło się uszczerbek na własnym zdrowiu oraz mieniu.

To prawda, że polscy i niemieccy politycy uspokajają i tłumaczą: Związek Wypędzonych nie jest wszak oficjalnym organem rządu ani parlamentu niemieckiego, a jego wpływy zdają się raczej tracić na znaczeniu. Prawdą jest jednak również i to, że na politykach – jak na nikim innym – spoczywa obowiązek nazywania rzeczy po imieniu. Jak do tej pory nie słyszałem, by berlińską deklarację związku reprezentowanego przez panią Steinbach nazwano tak, jak na to zasługuje, czyli bezczelną i arogancką próbą politycznego szantażu.

Idiotom do sztambucha

Będąc kresowym ludem pogranicza, Kaszubi w swojej historii nie mieli na ogół ani łatwych sytuacji, ani tym bardziej dobrej prasy. Już Gall Anonim nazywa ich odległych przodków – Pomorzan – wstrętnymi poganami, okrutnikami, ludem podstępny i wiarołomnym. W *Kronice* Galla uczciwi, waleczni i bogobojni są oczywiście Polacy. Z korespondencji urzędników krzyżackich o rdzennych mieszkańcach okolic Kościerzyny, Kartuz, Chojnic, Bytowa czy Słupska możemy się dowiedzieć, że są prymitywni, gnuśni, brudni, ciemni i że pod płaszczkiem prawdziwej wiary

wyznają pogańskie demony. Rozumni, pracowici, schludni, zorganizowani oraz głęboko chrześcijańscy są oczywiście koloniści niemieccy, przybywający na teren państwa zakonnego w celu „poprawy sytuacji”. W Rzeczypospolitej Obojga Narodów Kaszubi wspomniani byli nader rzadko, a jeśli już to jako chłopci i rybacy.

Jak możemy przeczytać w *Historii Kaszubów* Aleksandra Majkowskiego, niezbyt ściśle naukowo, ale napisanej z romantyczną pasją, ten stan rzeczy tłumaczył się oczywistym ciężeniem rodzimego rycerstwa albo ku Polsce, albo ku Niemcom. W ten sposób mowa kaszubska przetrwała jedynie w obejściach chłopskich lub szlachty zagrodowej, która niczym, oprócz posiadanego herbu, nie różniła się od gminu. Miejscowi książęta z linii gdańskiej zeszli ze sceny historycznej stosunkowo wcześniej na skutek wymarcia dynastii, linia zachodniopomorska zaś trwała wprawdzie nieco dłużej, ale chętnie i szybko uległa germanizacji. Kiedy w XIX wieku powstaje ruch młodokaszubów, o tym historycznym „osieroceniu pomorskiego ludu” mówi się często, podkreślając jego fatalne skutki dla kultury i stanu świadomości regionalnej. Dawną, na poły legendarną przeszłość tej krainy zaczęto idealizować wówczas nieco ponad miarę. Florian Ceynowa w powieści *Pomorzanie*, przypisuje istnienie tajemniczych, kamiennych kregów kultowych swoim „prastarym przodkom, Pomorzanom”. Majkowski nie waha się użyć określenia „państwo” w stosunku do dziedzicznego księstwa Świątopolka. W istocie trudno jednak uznać – nawet niezależne od Piastów – Księstwo Pomorskie za państwo Kaszubów, tak jak trudno nie zauważyć, że magię kamiennych kregów zawdzięczamy Gotom, którzy na okres około dwóch stuleci zatrzymali się tutaj w drodze z północy na południe Europy.

W niczym nie przekreśla to jednak zasług młodokaszubów, którzy – tak często pomawiani przez czynniki polskie o separa-

tyzm – w istocie byli pionierami nowoczesnego regionalizmu. Młodokaszubi marzyli o wolnej Polsce, w której Kaszuby zachowają swoją kulturę, język i tożsamość samorządową. Kiedy polscy ułani w śnieżnej zawieli roku 1920 wkraczali do Kartuz, Kościerzyny, Chojnic, nikt nie krył tutaj szalonego wręcz entuzjazmu: z budynków zrywano pruskie orły, a nad ulicami zawieszano transparenty ze słynnym hasłem Derdowskiego „Nie ma Kaszeb bez Polonii, a bez Kaszeb Polszczy”. Już jednak pół roku po tych wydarzeniach – wspomina Jan Karnowski – „widzimy patriotyzm zwarzony, apatie, upadek ducha narodowego, antagonizm szczepowy...” Dlaczego? „Ponieważ – wyjaśnia Karnowski – Pomorzan zepchnięto na niższy stopień obywatelski”. Nie dowierzano miejscowym działaczom, szydzono z ich mowy, wszystkie urzędy obsadzano przybyszami spoza Kaszub i Pomorza, a „każdy przybłęda, byleby pochodził z innej dzielnicy, rościł sobie prawo do szerzenia oświaty na Pomorzu...” A w roku 1933 Jan Trepczyk pisał: „język nasz spycha się do rzędu gwar polskich, pomimo że uczeni już dawno zaliczyli go w poczet samodzielnych języków słowiańskich, dzieje nasze stara się zatrzeć, względnie fałszować, Kaszubów się polonizuje i kolonizuje, urzęda publiczne obsadzone są ludźmi nieświadomymi naszych stosunków, występującymi przeciw nam i wszystkiemu co kaszubskie”.

Gorzkie to słowa, lecz prawdziwe. Odrodzona II Rzeczpospolita potraktowała Kaszubów po macoszemu i bez zrozumienia. A po II wojnie światowej i wyjątkowo bestialskiej na tym terenie okupacji niemieckiej, podczas której w Piaśnicy i Stutthofie wymordowano niemal całą kaszubską i pomorską inteligencję, polscy komuniści powtórzyli dokładnie gesty i praktyki przedwojennych urzędników z Warszawy, wzmacniając oczywiście ich represyjny charakter. W wielu szkołach dzieciom nie wol-

no było mówić po kaszubsku, nawet na przerwach. „Gwara” miała być licencjonowana wyłącznie w cepeliowskiej przetrzeźnieniu. Mimo to Kaszubi pozostali sobą. Obronili swoją tożsamość, swój język, swoją religijność, nie wywiało ich masowo do „Reichu”. Mają swoją liryczną, epicką i dramatyczną literaturę. Czują się pewnie i nie mają kompleksów, bo siedzą na swojej ziemi, w tym samym miejscu świata, dłużej niż tysiąc lat.

Jak wielkiej zatem trzeba ignorancji, pychy, głupoty, niewiedzy i złej woli, aby zabronić Kaszubom – mocą ustawy sejmowej (!!!) – produkcji, handlu i zażywania tabaki. To mniej więcej tak, jakby powiedzieć Francuzom, że nie wolno im odtąd produkować ani pić wina. Tabaka od kilku stuleci towarzyszy Kaszubom wszędzie: w domu, kościele, przy pracy, towarzyskim spotkaniu. Jest obyczajem, tradycją, konwenansem. Pięknie zdobione tabakiery przechodziły w starych rodach z ojca na syna, a powiedzenie „chce lo me so zarzec” należy do potocznych idiomów ich języka. Antoni Abraham, ten, który piechotą ruszył do Wersalu, aby tam bronić praw Polski do Kaszub i Pomorza, Alojzy Grulkowski, dziedzic piaszczystych morgów, ścigany przez Prusaków wyrokiem śmierci, nękany przez sanacyjnych urzędników „dwójki”, poszukiwany bezskutecznie przez gestapo (nagroda za ujęcie wynosiła 30 tysięcy marek), wyzuty na koniec z całego mienia przez polskich komunistów, Aleksander Majkowski, autor słynnego eposu o Remusie, czy Hieronim Derdowski – chyba przewracają się w swoich mogiłach, nie mogąc pojąć, dlaczego sejm, nareszcie wolnej i Najjaśniejszej pono Rzeczypospolitej Polskiej, znów potraktował Kaszubów jak niedorozwiniętych obywateli trzeciej kategorii.

Dodam od siebie, że nigdy nie byłem zwolennikiem lżenia polityków. Istnieje jednak pewna granica, po której przekroczeniu tych, co – utrzymywani za nasze pieniądze – uchwalają

idiotyczne ustawy, należy nazwać tak, jak na to zasługują: IDIOTAMI. Na Kaszubach słyhać teraz wielkie kichanie. Kaszubi kichają na taki sejm, takich posłów, taką ustawę. Mają rację. Demokracja - w tym konkretnym wypadku - zamiast chronić prawo mniejszości do zachowania jej tradycji kulturowej, bezczelnie to prawo ignoruje i depce. W imieniu zdrowej większości, jakby się kto pytał.

Spis treści

Imiona, miejsca	
<i>Aleksandria, rok 1886</i>	7
<i>Apollinaire</i>	10
<i>Arann Islands</i>	13
<i>Asfodelowe Łąki</i>	16
<i>Beckett</i>	19
<i>Caius Plinius Maior</i>	21
<i>Castorp</i>	24
<i>Cnotliwy człek Godlewski</i>	27
<i>Codex Floriae</i>	32
<i>Colonna, rok 1992</i>	36
<i>Cystersi</i>	39
<i>Dedalus, Dublin, Tulla</i>	42
<i>„Der Scherz”</i>	46
<i>Erotikos, rok 96</i>	49
<i>Ezra Pound</i>	53
<i>Faulkner</i>	56
<i>Frankfurt, 21 września 1860</i>	60
<i>Gdańsk, kwiecień 1773</i>	63
<i>Gdańsk, marzec 1793</i>	66
<i>Gławrepertkom</i>	70
<i>Haidgasse, rok 1927</i>	73
<i>Herondas</i>	76
<i>Hrabal</i>	80
<i>Jej Mość Magdalena</i>	83
<i>Jezioro Acheruzja</i>	88
<i>Klepsydra Aschenbacha</i>	91
<i>Krzeseł Conolly’ego</i>	94

<i>Księżę gdański</i>	97
<i>Księga, Wiedeń 1893</i>	100
<i>Kuźniczny Zaulek</i>	103
<i>La belle Polonaise</i>	106
<i>Lata Telimeny</i>	110
<i>Lewko, syn Jordana</i>	113
<i>Ludwik hrabia de Plelo</i>	117
<i>Luneville, 23 lutego 1766</i>	121
<i>Madame Tussaud</i>	125
<i>Marsowe Pole 1831</i>	128
<i>Me(u)rsault</i>	131
<i>Nike</i>	134
<i>Nóż Abrahama</i>	138
<i>Oczy Marii Mikołajewny</i>	141
<i>Öland</i>	146
<i>Pałac Zimowy, kwiecień 1998</i>	149
<i>Pan Hakagawa</i>	153
<i>Pogrzebacz Wittgensteina</i>	156
<i>Publiusz, Hispala, Bakchus</i>	159
<i>Sejny, rok 1997</i>	163
<i>Siena, rok 1977</i>	167
<i>Societas Jesu</i>	170
<i>Spoon River</i>	175
<i>Sycowa Huta, lato 1962</i>	178
<i>U Irlandczyka</i>	182
<i>Ulica Wielka Morska, rok 1998</i>	185
<i>W 1937 roku w Marienbadzie</i>	188
<i>Wisła, Leniwka, Nogat</i>	191
<i>Żuława, Pomezania, Prusy</i>	194

Inne sprawy	
<i>Mapa</i>	201
<i>Moje wykształcenie klasyczne</i>	204
<i>San Clemente</i>	209
<i>Drzewo Kraków</i>	213
<i>Demos</i>	217
<i>Anytos, Meletos, albigensi</i>	220
<i>Waluta Platona</i>	223
<i>Plac Zgody</i>	227
<i>Sprawiedliwość</i>	231
<i>Fuck Homer!</i>	235
<i>Ćmaga, potok, ostryga</i>	239
<i>Tarcza, miecz, polisa</i>	242
<i>Pani Steinbach do sztambucha</i>	245
<i>Idiotom do sztambucha</i>	249